ŚWIĄTECZNY „DUNAJEC" W PODWÓJNEJ OBJĘTOŚCI

O nadziejach i niepokojach u progu Nowego Roku: **Kazimierz Bandyk, Ludwik Dusza, Bronisław Dutka, Jolanta Joniak, Julian Kawalec, Bogdan Krok, Wanda Kudasikowa, Aleksandra Majeran, Lechosław Miksztal, Maria Możdżeń-Wójcik, Antoni Rączka, Marek Rusin, Franciszek Rusnarczyk, Barbara Słuszkiewicz, Stanisław Ślimak** ● Zwierzenia **Józefa Zatłoki**, chorążego **Józefa Wańczyka**, hokejowego asa — **Walentego Ziętary** ● W naszym gwiazdozbiorze — **Danuta Rinn** ● Pasterki w Ropie wspomina **Marian Janiga** ● Ze starej prasy sądeckiej i nowotarskiej ● *Pamiętnik sądeczanki* ● Partyzancka opowieść **Tadeusza Studzińskiego** ● Krzyżówka — horoskop — humor — świąteczny program telewizji.

DUNAJEC

Nowosądecki tygodnik PZPR

Nr 52-53
24 — 31 grudnia 1989 r.
Cena 300 zł

PL ISSN
0208-5968
Nr indeksu 35657

Fot. ROMAN SERAFIN

Czy wytrzymamy?

Piętnaście drukowanych poniżej wypowiedzi wiernie chyba oddaje stan naszych umysłów u progu Nowego Roku. Tylko jeden głos bez niepokoju i tylko jedna deklaracja całkowicie gorzka: *to, co się dzieje i dziać będzie w najbliższej przyszłości, nie napawa otuchą i nadzieją.* Pozostali uczestnicy naszego sondażu wyraźnie podkreślają zagrożenia, ale nie tracą wiary, że po wydarzeniach, które wstrząsnęły starym porządkiem w naszej części świata, zdołamy się jednak pozbierać.

Najpierw o tym, co niepokoi. Bezspornie na plan pierwszy wysuwa się troska o stan gospodarki. Drożyzna. Groźba bezrobocia. Los emerytów. Niepewność młodych. Wysychające źródła finansowania kultury. Biedni coraz biedniejsi, a na drugim biegunie — fortuny. Raczej powszechne przyzwolenie na urynkowienie gospodarki, ale równocześnie światła przestroga: *przedsiębiorczość — obok zalet — ma także drapieżne pazury, potrafi podeptać uczciwych, spowodować niezawinioną biedę i niezasłużone bogactwo.* Mnożące się wątpliwości: jak żyć, gdy węgiel drożeje pięciokrotnie? czy będzie stać rodzinę na kształcenie dzieci? co z samorządnością biedniejszych miast i gmin? jakie szanse dla drobnotowarowego rolnictwa? Do tego wszystkiego: chamstwo, wzrost przestępczości, egoizm, tendencje odwetowe w sprawach personalnych. I niepewność, czy wystarczy społeczeństwu cierpliwości.

Równolegle — nadzieja. Że zjednoczymy się wokół wartości nadrzędnych dla narodu. Że zmiany — bardzo głębokie i bolesne — wprowadzane będą rozsądnie. Że znikną nieżyciowe przepisy. Że zapanuje wreszcie pokój społeczny, życzliwość. Że miejsce urazów i złych emocji zajmie ofiarna, zgodna, dobrze zorganizowana praca. Nadzieja polityków na przezwyciężenie podziałów. Wiara, iż historia zbyt mocno nas już doświadczyła, byśmy nie spożytkowali jej nauk.

Chciałoby się życzyć naszym Czytelnikom i sobie, by nadchodzące dni potwierdziły punkt widzenia optymistów. Niestety, sygnały napływające z zakładów pracy, szkół, urzędów — raczej skłaniają do sceptycyzmu: marnujemy czas i energię na konflikty personalne, podsycana jest wrogość, nie widać oznak współpracy między odmiennymi orientacjami politycznymi. Od góry do dołu trwa wojna na słowa, nie słabną polemiki wokół ocen przeszłości, a nasza wspólna łódź nabiera wody.

Nie kraczę na wyrost. Sądzę jedynie, że zwycięzcy czerwcowych wyborów nietrafnie oceniają układ sił w Polsce i nieroztropnie próbują wypchnąć ze sceny wczorajszych przeciwników. W obliczu nadciągających trudności należałoby powściągnąć pychę i docenić cierpliwie wyciągniętą dłoń. O nadziei można będzie serio mówić dopiero wówczas, gdy ideę porozumienia potraktuje się wreszcie poważnie i dosłownie.

ADAM OGORZAŁEK

Nadzieja i niepokój

Kazimierz Bandyk, prezes Spółdzielni Inwalidów „Karpaty" w Grybowie:

— Oczekuję roku 1990 z nadzieją na dalszą demokratyzację życia we wszystkich jego sferach — począwszy od samorządów, a skończywszy na przedsiębiorstwach.

W latach kryzysowych moje życie i moja Spółdzielnia piły się do góry, więc chciałbym, aby nie zostało to zahamowane, a nawet by nabrało szybszego tempa. Wyrażam nadzieję, że dalsza konsolidacja wszystkich kręgów społecznych doprowadzi nasz kraj do ugody narodowej, która jest nam w tej chwili najbardziej potrzebna, zwłaszcza w obliczu wydarzeń za naszymi granicami.

Niepokojów nie mam — mimo wszystko jestem optymistą. Nie wyrażam obaw, ponieważ historia nas już zbyt mocno doświadczyła, zwłaszcza w ostatnich latach, abyśmy nie nauczyli się z tych doświadczeń wyciągać wniosków.

Moje nadzieje są także związane z rządem Tadeusza Mazowieckiego, jako przedstawiciela demokratycznych struktur. Z demokracją — a ściślej: ze Stronnictwem Demokratycznym — związany jestem już 30 lat.

Ludwik Dusza, emeryt, działacz ruchu ludowego z Gorlic:

— Niepokoję się o stan gospodarki naszej Rzeczypospolitej. Czy tak dalej wytrzymamy? Ceny pną się w górę, drożeje prawie wszystko, a w ślad za tym nie idą odpowiednie wynagrodzenia, renty i emerytury. Jak długo jeszcze przyjdzie nam czekać na poprawę bytu, zwłaszcza ludzi starszych? Społeczeństwo ma zaufanie do rządu premiera Mazowieckiego, ale chce też uzyskać nadzieję, że będzie lepiej.

Jako członek PSL „Odrodzenie" pragnę połączenia wszystkich tych grup ludowców, które pozostają jeszcze poza odrodzonym Stronnictwem. Liczę na to, że powołana podczas Kongresu komisja doprowadzi do zjednoczenia wszystkich działaczy ruchu ludowego.

Ciekaw jestem, jak będą przebiegać przygotowania do wyborów samorządu terytorialnego: jego kształt, możliwości decydowania o sprawach lokalnych, a przede wszystkim ludzie, którzy zostaną wybrani radnymi. Interesuje mnie także, jak rozstrzygnie się kwestię mienia komunalnego.

Od wielu lat jestem członkiem ZBoWiD, więc ciekawi mnie, co Senat zaproponuje Sejmowi, jeżeli chodzi o uregulowanie spraw kombatanckich. Większość nas, kombatantów, to ludzie w podeszłym wieku, chcielibyśmy więc, żeby zmiany w Związku następowały szybko, gdyż nie mamy przed sobą dużo czasu.

Niepokoi mnie to, że coraz więcej ludzi ma kłopoty z przeżyciem od wypłaty do wypłaty, od emerytury do emerytury. 10 tysięcy złotych z trudem wystarcza na jeden dzień, a niektórzy mają tę sumę na kilka dni. Co stanie się, gdy kopalnie uzyskają pełną samodzielność i podniosą ceny węgla? Kogo będzie stać na kupno opału?

To, co obecnie dzieje się w naszym kraju, mam na myśli zmiany społeczno-polityczne, było nieuniknione. Wydarzenia w sąsiednich krajach socjalistycznych wskazują, że i tam kocioł nabrzmiałych spraw dojrzał do wybuchu. Szkoda tylko, że ta Wiosna Ludów przypadła na najtrudniejszy okres jesienno-zimowy, i wówczas, gdy te państwa są w fatalnej sytuacji gospodarczej.

Tyle niepokojów. A nadzieja? Sądzę, że uda nam się rozsądnie wprowadzać zmiany w Polsce, że nie opuści nas wiara w lepsze jutro.

Bronisław Dutka — naczelnik Limanowej:

— Niepokój budzi niejasność sytuacji, w jakiej znajdziemy się po Nowym Roku. Wszystko jest jeszcze płynne, z dnia na dzień zachodzą zmiany. Nie wiemy, w jakich warunkach ekonomicznych przyjdzie nam żyć i pracować, jak szybko nastąpi stabilizacja. Sporo mówi się o samorządach terytorialnych, ale w gruncie rzeczy nie wiadomo, jak będą funkcjonować, co ma oznaczać samodzielność. Czy budżet miejski i gminny stanie się jedynym źródłem finansowania rozmaitych potrzeb, a także drogich inwestycji, takich jak uzbrajanie terenów pod budownictwo? Choć Limanowa, mając własne dochody jest w niezłej sytuacji finansowej — nie zdoła pokryć wszystkich wydatków. Co zrobią miasta i gminy, które nie zarabiają na siebie? Obawiam się też bezrobocia. Już teraz trudno o pracę, a wiemy, że nierentowne zakłady będą likwidowane. Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby ludzie zatrudnieni w innych miastach lub za granicą (głównie w Czechosłowacji) nagle wrócili i na miejscu szukali zajęcia. Turystyka, rzemiosło i usługi nie zdołają wchłonąć wszystkich bezrobotnych. Musi także upłynąć trochę czasu zanim powstanie normalny rynek pracy.

Mam nadzieję, że poradzimy sobie z kłopotami (choć nie nastąpi to od razu), że

(CIĄG DALSZY NA STR. 4-5)

Jerzy Masior

RODOWÓD PASTORAŁKI

To spośród gór są pastorałki
— z gałęzi jodeł wiatr przywlecze
nieposkromiony ich rodowód,
który i słodki jest, i piecze.

Który nie z chłodu drży na sianie,
kiedy na kolcach ostrężyny
ból swój rozwiesza i czekanie,
cierpki jak piołun i jak winy.

Bywa jak całe górskie niebo,
które po deszczach jest z pogody:
z niej pastorałki — kołysania
i nasze z szumów rodowody.

Bywa jak potok na przełomach,
jak pstrąg co chłodem syci skrzela,
wpisany w brulion, utknął w
tomach,
których już nikt dziś nie powiela.

Wśród pastorałek jak po strychach
ciepłe od gwiazdy drży powietrze,
słów kilka w wiernych
oktostychach
— wiersz ten z obrazów pyły
zetrze.

Wtedy od iskier, w wielkich
ogniach
nasz jest rodowód spamiętany.
Z każdej wigilii wstaje do dnia
gwiazdozbiór szronów uzbierany.

I przyjdą ludzie — ptak z
przedmieścia
nadleci skrzydłem otulenia
w ulicę naszych rodowodów,
tam się spotkamy w smugach
cienia.

„Kolędnicy" — obraz współczesny

SKRZYPCE W DOLINIE

I znów, jak co roku, w tych
słowiańskich górach
sfruną tu cheruby i zbiegną się ludzie.
Będą wypatrywać i spytają, która
gwiazda nad Kamianną pasterzy
obudzi.
Porzucą węzełki zgryzoty i żalu,
i chłodów swych fiolety i topnienie snów.
Przyjdą o Godzinie i ognie rozpalą
swoimi pożarami uzbieranych słów.

Odnajdą Betlejem, jak skrzypce w
dolinie,
nuty posrebrzone, by stanąć w kapeli.
Odnajdą swe chleby w najmniejszej
kruszynie
ludzie wciąż niesyci i syci anieli.

Dzisiaj w Betlejem

Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć lat temu w najdłuższą noc roku do Betlejem dotarł cieśla Josef z żoną Miriam. Oboje byli ogromnie znużeni. Wprawdzie obecni mieszkańcy Izraela zapewniają, że dobrym samochodem można przejechać ich kraj w ciągu trzech godzin wzdłuż i piętnastu minut wszerz, lecz za czasów króla Judei Heroda było inaczej. Z Nazarethu do Betlejem wędrowało się pustynnymi szlakami przez wiele dni i nocy. Brzemienna Miriam jechała na oślicy. Josef szedł obok, mocno ściągając lejce, żeby poskromić narowiste zwierzę. Ominęli święte miasto Jeruszalaim, którego Miriam dotąd nie widziała. Jedynym ich marzeniem był odpoczynek w spokojnym miejscu.

Nie znaleźli jednak takiego w Betlejem. Był akurat dzień targowy, więc tłoczny. W dodatku do miasteczka ściągały tłumnie osoby, wywodzące się z betlejemskich rodzin. Byli oni bowiem zobowiązani poddać się tutaj zarządzonemu przez cesarza Augusta powszechnemu spisowi ludności. Podlegał temu i cieśla Josef ben Jaakow, potomek królewskiego rodu Dawida.

Tymczasem zapadł mrok, a poszukiwania noclegu zawodziły. Wreszcie któryś z przechodniów, dostrzegłszy brzemienność Miriam, postanowił pomóc wędrowcom. Przeprowadził ich przez ściernisko i niewielki gaj figowy do jaskini wykutej w skale. Grota miała posłanie ze słomy i kamienny żłób napełniony jęczmieniem; na skalnej półce leżał bochenek chleba i stał dzban z mlekiem. Właściciel tego schronienia — pasterz — zapalił oliwną lampkę i postawił ją obok żłobu. Szybko pożegnał się jednak z przybyszami i zniknął w ciemnościach.

Tej właśnie nocy, dzisiejszego 24 grudnia, przyszedł na świat pierworodny syn Miriam i Josefa. *A w siódmym dniu* — jak pisze Roman Brandstaetter w „Jezusie z Nazarethu" — *przybył mohel i obrzezał Dziecię i nadano Mu imię Jeszua — co znaczy Jahwe jest zbawieniem — a po grecku imię to brzmi Jezus, i tym imieniem nazywają Go ludzie po dzień dzisiejszy, i nazywać Go będą po nieskończoność czasu.*

★ ★ ★

Czterdziestoosobowa grupa turystów „Orbisu" przyjechała do Betlejem z pobliskiej Jerozolimy wczesnym popołudniem jesiennego upalnego dnia. Przed wjazdem do miasta autokar stanął na lewym poboczu szosy, obok Grobu Racheli. Niewielki budynek z pobieloną kopułą wznosi się w miejscu gdzie, według legendy, pochowano piękną Rachel umiłowaną żonę Jakuba, protoplasty dwunastu pokoleń Izraela. Zmarła ona dając życie synowi Beniaminowi. Mimo nieszczęśliwego połogu Rachela jest od wieków patronką przyszłych matek. U jej grobu modlą się o pomyślne urodzenie i wychowanie potomka nie tylko Żydówki, lecz także Arabki w specjalnie dobudowanej niszy Mihrab, i turystki innych wyznań. Nigdy za wiele starań, gdy chodzi o los dziecka!

W małym, niespełna 30-tysięcznym miasteczku Betlejem, plac przed Bazyliką Narodzenia Pańskiego wydaje się ogromny: kilkanaście autokarów zajmuje na nim ledwo widoczny skrawek powierzchni. Autokary są puste, wokół żywego ducha. — *Kupcy arabscy strajkują* — wyjaśnia nasz przewodnik — *chętnie by pohandlowali, ale boją się, że ich „ideolodzy" spalą im sklepy, a nawet domy mieszkalne...*

Przyglądamy się Bazylice. Jest potężna. Jej fasada i jej boczna ściana robią wrażenie nie świątyni, ale fortecy: wysokie, gładkie mury bez jakichkolwiek otworów, przez które atakujący mogliby wtargnąć do wnętrza, bez gzymsów czy wykuszów, o które można by zahaczyć oblężnicze drabiny. Frontową i boczną ścianę (do drugiej przylega kościół Świętej Katarzyny) dodatkowo chronią masywne przypory. Wejście do przedsionka to jedna niziutka brama — dwie pozostałe zostały zamurowane. Sam przedsionek też jest bardzo niski i ciasny, w dodatku poprzegradzany wewnętrznymi ścianami i pozbawiony dopływu światła. Nic dziwnego, że tak umocniona świątynia oparła się atakom wrogich hord i wojsk regularnych, po których przejściu nawet w Świętym Mieście Jerozolimie nie pozostawał kamień na kamieniu.

W przeciwieństwie do ciszy i pustki na zewnątrz, w Bazylice panuje ożywiony ruch. Główna nawa, oddzielona od czterech pozostałych rzędami przepięknych kolumn z różowego marmuru z białymi kapitelami w stylu korynckim, pełna jest zwiedzających. Umyślnie nie piszę „pielgrzymów", choć na pewno są i tacy. Jednakże większość obecnych nie wydaje się ulegać nastrojowi miejsca, które widziało i cesarzową bizantyjską, późniejszą Świętą Helenę, i Świętego Hieronima, twórcę łacińskiego przekładu Pisma tzw. Wulgaty, i rzymskiego cesarza Hadriana, który na miejscu Żłobka kazał postawić posąg Adonisa, przez co osiągnął cel przeciwny zamierzeniom: uwiecznił miejsce Narodzenia, które pragnął wymazać z pamięci potomnych.

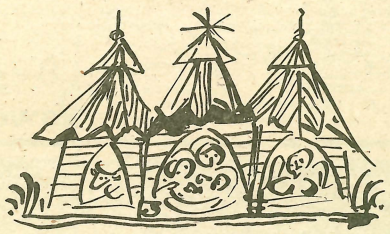

Również obydwa zejścia do Groty są zatłoczoną istną defiladą fotografujących turystów. Tylko najgorliwszym wyznawcom udaje się przyklęknąć i zmówić modlitwę. Pozostałym musi wystarczyć krótkie spojrzenie na wspaniałą czternastoramienną Gwiazdę, oznaczającą miejsce w którym Miriam-Maria powiła Dziecię, i na prawo od niego, kamienny Żłobek, w którym złożyła Jeszuę-Jezusa i dokąd tejże nocy przybyli najpierw pobliscy pasterze, a po nich trzej magowie, faktycznie kapłani-astrologowie znad dalekiego Eufratu. Tym pierwszym — przeczucie, tajemny głos wewnętrzny, a tym drugim — wiedza gwiazdorska powiedziały, iż właśnie w Betlejem i właśnie wtedy narodzi się przyszły król Izraela i Świata... Archeologia, która wciąż od nowa szuka potwierdzeń — albo zaprzeczeń — wiadomości biblijnych, zdaje się nie wątpić, iż Grota Narodzenia była odwiedzana przez wiernych od samych początków chrześcijaństwa.

IRENA FRĄCKOWIAK

Wigilie Władysława Orkana

Ubogo żyło się w odludnej chacie Macieja i Katarzyny Smaciarzów. Dzieci było troje: najstarszy Stanisław, najmłodsza Marianna i ten średni — Franciszek — później największy pisarz Gorców, znany pod pseudonimem Władysława Orkana. Dziewięć morgów kamienistego gruntu z trudem przy całorocznej ciężkiej pracy wystarczało na utrzymanie rodziny. Życie toczyło się jednostajnie, wyznaczone rytmem przyrody.

Najcięższa była zima. Dom stał wysoko na Groniu, na północnym stoku Gorców. Nad nim wznosiła się bezleśna Pustka, dalej czarnym lasem porośnięta Wasielka i coraz wyższe grzbiety, aż do najwyższego — Turbacza.

Dom nasz stał pod wierchem góry, nazywanej Pustka — pisze Marianna, siostra Orkana — *tośmy też zimę mieli jak w kraju północnym; przez półtora miesiąca nic nam słońce nie świeciło, bardzo nam żal było, że z tamtej strony Pustki słońce świeci, a nam nie. Jak zajrzało pierwszy raz, na Matkę Boską Gromniczną, tośmy je z taką radością witali.*

Ale zimą, kiedy — bywało — zaspy odgrodziły ich od reszty świata, przychodził ten dzień najpiękniejszy z pięknych, jedyny, nigdy nie zapomniany: wigilia Bożego Narodzenia. Ten dzień zachował Władysław Orkan w pamięci jak klejnot, którego blasku nie przyćmiły późniejsze trudne lata.

Siano obrusem nakryte na stole —
Białe opłatki —
Ojca błogosławiące ręce —
Serdeczne rozrzewnienie Matki —
O, niepowrotne wzruszenie dziecięce
W rodzinnym kole!...

Święto pokoju, zaufania, bezpieczeństwa. Dzień przymierza *ze zwierzem polnym i ptactwem powietrznym i płazem ziemskim.* I z tymi najbliższymi zwierzętami — domowymi, bo to one — woły — były pierwszymi świadkami Narodzenia.

Z pamięcią wilij z lat chłopięcych przychodzi mi na oczy serca ojciec mój... Słowianin, zamiłowany w przyrodzie i rozumiejący jej ducha — on, który znał mowę ptaków jak nikto, a z bydlętami, jako gazda, tak się zaobchodzić umiejący, iż gdy woły (...) przedawał, to wołom — twierdził — łzy z ócz ciekły...

Przypomina mi się przy wieczerzy wigilijnej, jak drżącą ze wzruszenia ręką bierze opłatek, leżący na sianie nakrytym białym obrusem, podaje matce w milczeniu i życzy jej wszystkiego tymi dobrymi, siwymi oczami, na których w tej chwili błyszczą dwie łzy... a potem z nami się łamie...i gdy już siedzimy z łyżkami, czyni krzyż dłonią nad grzybową polewką, mówiąc złamanym przez wzruszenie głosem; „Pobogosław, Panie te dary..." A po wieczerzy idzie z opłatkiem do stajni — do bydląt...i kruszy im opłatek, do „wilii". — Wierzyłem święcie, że we wiliję we wieczór bydlęta z gazdą rozmawiają... Utwierdzało mnie w tej wierze zaobejście się z nimi mego ojca.

A potem, nocą, jeśli śniegi nie były za wielkie, szli do leżącego w dole, odległego o kilka kilometrów, drewnianego kościółka na pasterkę, zwaną jutrznią, by połączyć swoją radość ze świątecznym uniesieniem zebranych tam zewsząd ludzi.

Zabłysły wszystkie świece —
Rozlśnił się pająk szklany —
Kościół tysiącem serc radosnych dyszy —
Organ ogłosił tajemnice —
Zadygotały ściany —
„Wśród nocnej ciszy!"...

MARIA OLSZOWSKA

WRÓŻBY i przysłowia

Wieczerza wigilijna odzwierciedlała pojednanie wszystkich stworzeń niby w raju. Żywych i umarłych — wierzono bowiem, że dusze przodków także zasiadają przy stole, że zwierzęta mówią ludzkim głosem, że tak jak w raju panuje wieczne lato, więc mogą zakwitać w tę noc drzewa, że woda w studni zamienia się w wino lub miód.

Wszystko, co się tego dnia wydarzy, stanowić będzie o całym przyszłym roku: *Ten dzień jaki, cały rok taki. Jakiś we Wiliję, takiś cały rok.*

Nie należało w ten dzień nic pożyczać, a jeśli się coś ukradło — przynosiło szczęście. Toteż parobcy uganiali się po wsi, by coś komuś zabrać. Przyłapany na takim uczynku był pośmiewiskiem wsi przez całe Gody i nie miał prawa chodzić po kolędzie.

Jeżeli dziewczyna w wigilię tarła mak — mogła mieć duże nadzieje na szybkie zamążpójście. Nie należało się myć w ten dzień, by we żniwa się nie pocić. A jeżeli ktoś się mył — to do wody powinien wrzucić srebrny pieniądz lub obrączkę.

Od świtu wigilijnego dnia zwracano uwagę na szczekanie psa, kształt dymu unoszącego się z komina, krakanie wron. Wszystko to mogło powiedzieć, jaka będzie przyszłość. Jeśli pierwszy przyszedł do domu mężczyzna — wróżyło to szczęście i dostatek, jeśli kobieta — zwiastowało plotki, nieporozumienia sąsiedzkie, a nawet śmierć któregoś z domowników.

Najczęściej sprawdzały się przepowiednie dotyczące pogody: *Narodzenie po wodzie, Zmartwychwstanie po lodzie. Gdy choinka tonie w wodzie, jajko toczy się po lodzie,* lub *Jeśli w polu czarno, gdy się Chrystus rodzi, to będzie biało na łanie, kiedy Chrystus zmartwychwstanie,* a *Jeśli w Gody zielono, to na Wielkanoc śniegu będzie za kolano. Jak w Wiliję gwiazdy świecą, kury dobrze jajka niesą, Jeśli dzień wigilijny pogodny, roczek będzie urodny.*

Śnieg, gwiazdy lub mróz w dniu wigilijnym znamionowały dostatek i urodzaj na przyszły rok: *Śnieg w święto Narodzenia gdy na sady spadnie, kwitnąć będą obficie — i prostak to zgadnie.* Wierzono, że *Śnieg gdy Bóg się rodzi, owoc bardzo obrodzi.* Ojcowie zaś swym synom przepowiadali: *Kiedy na Gody pogody, ciesz się, oraczu młody.* Ostrzegano: *Gdy na Boże Narodzenie mróz, szykuj chłopie wóz.* Złą wróżbą był nów księżyca: *Gdy Gody przypadają na nowiu, trudny rok w pogotowiu.*

Łyżkę każdej wigilijnej potrawy odkładano i zostawiano na noc na stole dla duchów przodków. Izbę zaścielano słomą i sianem, a w rogach stawiano snopy niemłóconego owsa, żyta, jęczmienia. Ziarnem ze stołu świątecznego karmiono drób, używano go również na wiosnę do siewu, a obrus wigilijny służył siewcy za płachtę. Resztkami jadła karmiono bydło i konie. W dniu św. Szczepana wynoszono słomę z izby — część palono, a częścią gospodarz owijał drzewa w sadzie. Przykładał przy tym siekierę do pnia i groził: — *Zetnę cię, bo nie chcesz rodzić.* Uczestnicząca często w tych zabiegach gospodyni osłaniała jabłonkę czy gruszę i przekonywała: *Teraz już będzie rodzić, nie trzeba jej ścinać.*

Pierwsza gwiazda na niebie jest granicą między codziennością a świętem, które się zaczyna — świętem niezwykłym, jedynym w roku; między światem bliskim, znanym, a światem cudów, nadprzyrodzonych zjawisk, tajemnicy. Niektórzy wierzyli, że w ten wieczór czas zatrzymuje się chwilę i przychodzą dusze przodków, opiekuńcze i dobre, których nie należy rozgniewać. Trzeba poruszać się po domu ostrożnie, by nie nadepnąć na ducha, nie wylewać wody, by nie zmoczyć i nie znieważyć go. Należało cały czas trzymać ogień pod piecem dla zziębniętych dusz.

Wigilijna wieczerza jednoczyła wszystkich — parobek jadł z gospodarzem przy jednym stole, rzecz nie do pomyślenia w inne dni. Akurat w Wigilię, według zwyczaju, przypadał termin wygaśnięcia umów o pracę, więc parobek stawał się wolnym człowiekiem, mógł robić co chciał, jeść, pić, psocić bezkarnie.

Gdzieniegdzie stawiano na stole chleb, a na nim nóż, zaś na nożu opłatek. Nazajutrz badano z której strony rdza padła na nóż. Jeśli od opłatka — oznaczało to zarazę na pszenicy, jeśli od chleba — dobry plon.

W czasie spożywania wieczerzy nie należało wstawać od stołu. Źle, jeśli kto zobaczył swój cień na ścianie. Wróżono też z siana wyciąganego spod obrusa: kto wyciągnął źdźbło długie — mógł liczyć na długie życie. Po wieczerzy każdy z domowników zdmuchiwał płomyk świecy palącej się w lichtarzu. Jeżeli dym unosił się w górę, wróżyło to zdrowie, jeżeli wahał się, przepowiadało chorobę, jeżeli zmierzał wprost do drzwi, trzeba było myśleć o śmierci.

W pierwszy dzień świąt wystrzegano się jakiejkolwiek pracy, nawet nic nie gotowano, tylko spożywano potrawy, które zostały od wigilii. Nie wolno było gospodarzowi ani gospodyni położyć się w łóżku przez dzień, ponieważ pokładałoby się zboże na polu na przyszły rok.

JAN URYGA

JAN URYGA

„Świąteczne drzewko"

Tradycja świątecznej choinki jest reliktem starego, pogańskiego kultu drzew, symbolizujących wszechświat, życie, płodność.

Bożonarodzeniowe drzewko to przeważnie jodła. Wycinano je w Polsce masowo przez prawie dwa wieki na każde Gody, toteż stanowiska jodły na całym niemal obszarze kraju zostały wyniszczone. Jodła to piękne drzewo, lecz wymaga dużej wilgotności powietrza i gleby. W Tatrach osiąga do 50 metrów wysokości i zachwyca swą urodą, strzelistością i długowiecznością. Może trwać nawet sześć stuleci, a kwitnie dopiero w wieku 30 — 40 lat. Występuje do wysokości 1317 m nad poziomem morza. Nasiona wydaje co 10 — 12 lat. Stanowi 20 procent drzewostanu Tatr i chyba najskuteczniej opiera się wiatrom halnym.

Początków tradycji świątecznej choinki na polskich ziemiach szukać musimy przed wiekami, kiedy to świętowano grudniowe przesilenie nocy z dniem, gdy natura zaczynała budzić się do życia, a w ludzi wstępowała nadzieja. Z tej okazji palono stosy suchego drewna, a bóstwu słońca składano dary ofiarne.

Chrześcijaństwo wniosło w te pogańskie obyczaje nowe treści: o ile dawniej witano słońce jako dawcę życia, teraz zaczęto czcić radośnie rocznicę narodzin Chrystusa, który przyszedł na ziemię, by zbawić ludzi. Zwyczaj ustawiania w domach leśnego drzewka narodził się w Alzacji około 1495 r. Początkowo drzewka te ubierano tylko jabłkami (na pamiątkę zakazanego owocu, który zjedli w raju Adam i Ewa). Z biegiem czasu zaczęto stroić je świeczkami i różnymi smakołykami. W XVIII wieku choinki były już bardzo popularne, zwłaszcza w krajach protestanckich.

Kościół początkowo niechętnie patrzył na choinki, dostrzegając w nich echo pogańskich zwyczajów. Później zaczęto utożsamiać je z rajskim drzewem żywota, a zawieszone na nich kuliste opłatki — z łaskami udzielanymi ludziom przez Boga.

W Polsce siedemnastowiecznej obdarowywano dzieci w wieczór wigilijny gałązką szpilkowego drzewa, na której zawieszano różne smakołyki. Był to obyczaj przyniesiony zapewne z Niemiec lub któregoś z państw skandynawskich.

Na wsi, w chłopskich zagrodach, wieszano od wieków „podłaźniczki" czyli ucięte tuż przy czubku jodełki, przybrane czerwonymi jabłuszkami rajskimi, kolorowymi opłatkami i łańcuchami ze słomy.

Tak przed laty o podłaźniczce pisał Kazimierz Laskowski:

Praprawnuczko starych braci, sosen,
Jakie echa żegnały cię w boru?
Że aż dotąd grasz pobudką wiosen,
Szumisz nutą ojcowskiego dworu,
Że cię dotąd noszę na żrenicy
W złotej łunie, wśród białej świetlicy!
Widzę ciebie w pośrodku komnaty
Rozbłyszczoną, naszych drzewin chłopko!
Strojna w barwne, opłatkowe „światy"
Z kołysaną u gałązek szopką.

Kariera choinki nie we wszystkich regionach i rodzinach przebiegała jednakowo. Drzewko najwcześniej pojawiło się w domach warszawskiego mieszczaństwa, potem trafiło do salonów magnackich, w połowie XIX wieku strojono już choinki w większości szlacheckich dworków. Lud wiejski zachował (zwłaszcza w rejonach podgórskich) podłaźniczkę, nieraz towarzyszącą choince.

Choinka, kupiona lub przyniesiona wprost z lasu, musiała być aż do sufitu. Nabitą na stojak, stawiano w pokoju, do którego dzieci nie miały wstępu. Czego na niej nie wieszano! Czerwone jabłuszka, orzechy owijane srebrnym lub złotym papierem, ciastka w formie gwiazdek, cukierki w specjalnie postrzępionych papierkach, szklane „sople lodu", anioły, łańcuchy ze słomy i bibuły. Potem nie mogło zabraknąć na choince kruchych szklanych bombek, które zaczęto wytwarzać w latach trzydziestych ubiegłego stulecia we Francji, Anglii, Niemczech i Włoszech. Wyobrażały symbole religijne, lecz także kwiaty, ptaki, liście czy śniegowe gwiazdki. Mieniły się tęczą barw, a producenci prześcigali się w pomysłach, co by jeszcze nowego na nich umieścić.

Berlińska firma braci Gosse robiła bańki z pozytywkami grającymi kilka taktów kolędy, paryska firma Natiera specjalizowała się w bombkach malowanych w zimowe krajobrazy czy zdobionych wizerunkami słynnych zabytków, obrazów, rzeźb. Bombki amerykańskie przedstawiały znanych aktorów, bohaterów bajek Disneyowskich i komiksów książkowych. Zaczęto nadawać bombkom choinkowym różne kształty — owoców, aniołów, świętych Mikołajów, gwiazd, komet, a także samolotów i rakiet kosmicznych. Są bombki, które pod wpływem domowego ciepła zaczynają wydzielać zapach świerkowego lasu, pszczelego wosku, dymu z jałowca itp.

Dziś choinka straciła wiele uroku, coraz częściej zastępowana drzewkiem z masy plastycznej. Jednak zawsze budzi w sercach radość, wyzwala wspomnienia, daje bogactwo uczuć i powrót w świat młodości.

Wanda Łomnicka-Dulak

Kolędniki

Na samem wiyrsyeku cosi migo w nocy
moze gwiozdka z nieba abo wilków łocy
hej gwiozda, gwiozdecka złotem wyklijana
głosi Narodzenie Niebieskiego Pana
a z góry łod lasa śpiywka dolatuje
nowiększom wesołość nom syćkiem zwiastuje
idom kolędniki, gwiozdecka sie kręci
nie wiys cy to ludzie cy tyz z nieba święci
bo Anioł na przodzie skrzydłami biołemi
tak furko co ledwo dotyko sie ziemi
zaś górol z żołniyrzem chycili sie w pory
ze ledwo nadązy za niemi Żyd stary
głosami jak dzwony zawiedli śpiywanie
ło Bogu co lezy na pochnącem sianie
zaćęli sie kręcić jaz Żyd skołowacioł
na garbie ze siana do potoka zlecioł
i gwiozda dobrała do tońca łochoty
a śniyg łod kręcenio cerwony to złoty
ino Heród smutny śmierci sie przybowo
bo mu naumyśnie przed łocami stowo
tak dośli do wioski do piyrse chołpecki
ciesom sie dzieciska, hej grajom skrzypecki
nie śpijcie gazdowie łotwórzcie syroko
pokozemy cuda zbieleje wom łoko
drzwi sie łotworzoły, buchneła sparota
wstoł dziod ze ślufanka i babka z łokota
a diaboł dopiyro zacął wydziwianie
strasenie nomłodsych i dziopek skubanie
zaś wiater roznosiuł śpiywanie i granie
jak mróz biołe kwiotki po cały polanie
skończyli kolęde, zapłate dostali
z dziećmi, psami polecieli dali

★

kolędniki roków nomłodsych
nie chodźcies jesce do nieba
przecie wom gazdynie
dadzom spyrki, grosy, chleba
pocekejcie nim dzień z nocy
biołe iskry wykrzese
jesce konduś małom chwilke
niech sie wami naciese.

Na szkle malowane — ANNA MADEJA (Szczawnica)

Fot. ANTONI ŁOPUCH

Nadzieja — i niepokój

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

znikną nieżyciowe przepisy i zostaną stworzone warunki, dzięki którym każdy człowiek znajdzie swoje miejsce. Wiem, że nie da się tego osiągnąć bez rozbudzenia aktywności — jednostkowej i społecznej. W naszym regionie, a zwłaszcza w Limanowej, którą znam najlepiej, ludzie niejednokrotnie dowiedli, że stać ich na wielki wysiłek i potrafią pracować wspólnie. To dobrze wróży na przyszłość. Sobie życzę, aby zapał z jakim na wiosnę tego roku podejmowałem pracę, nie minął.

Jolanta Joniak z klasy maturalnej LO w Nowym Targu:

— Dzisiejsze czasy niosą chyba więcej niepokojów niż nadziei. Pierwsza niewiadoma, jaka staje przede mną — to matura. Potem zastanawiam się, czy jako osoba wkraczająca w życie mam jakieś perspektywy. Owszem, widzę sens dalszego kształcenia się, ale szkoła może też zarazić pesymizmem, jeśli chodzi o szanse dostania się na studia. Zaczynam się obawiać, czy bez protekcji i znajomości w ogóle mogę dostać indeks. Wbrew temu, co słyszę od przedstawicieli starszego pokolenia, jestem jednak optymistką: wierzę, że wiedza, oczytanie — choć łut szczęścia też musi im towarzyszyć — zostaną docenione.

Gdybym się nie dostała na studia — wiem, że po czterech latach ogólniaka, bez konkretnego fachu, jestem przekreślona i czeka mnie chyba przyklejanie znaczków na poczcie. Ogólnohumanistyczne średnie wykształcenie nie daje określonego zawodu, nie daje więc pewności ani pełnej satysfakcji.

Jeśli zaś dostanę się na wyższą uczelnię, przyjdzie obawa o środki utrzymania, o warunki, w jakich odbywać się będzie studiowanie. Młodzi mają teraz bardzo utrudniony start. Wiem, że o wiele możliwości byłam uboższa niż młodzi ludzie w większych miastach, że nie miałam na przykład dostępu do teatru i rzadko mogłam sobie pozwolić na wyjazd do Krakowa, ale mam nadzieję, że po pierwszym roku uda mi się to wyrównać.

Potem — cóż, jestem chyba w stanie przyjąć status inteligenta i zgodzić się na takie warunki życia, jakie będą, bo nie widzę się w innej roli. Najważniejsze to być w zgodzie z samym sobą, a dla mnie najważniejsze — żebym robiła to, co lubię, co chcę robić.

Julian Kawalec, pisarz:

— Jestem pełen obaw. Oczekuję Nowego Roku z lękiem i niepokojem. Zapowiedziano już kolejne podwyżki cen, słyszy się sugestie, iż wkraczamy w trudniejszy niż obecnie okres. Lepiej ma być potem. Słuchając takich prognoz myślę, jak przetrzymają to wszystko zwykli ludzie. Od dłuższego czasu sztandarowym słowem jest odmieniana na wszelkie sposoby „przedsiębiorczość" — jedyne ponoć lekarstwo na nasze kłopoty. Zapomina się o tym, że obok zalet przedsiębiorczość ma także drapieżne pazury, potrafi zepchnąć w dół i podeptać uczciwych ludzi, spowodować niezawinioną biedę i niezasłużone bogactwo. Biednym zaś proponuje się miskę taniej zupy. To przykre i poniżające, przypomina mi czasy sprzed wojny, gdy rozpoczynałem studia. Dziś jest to nie do przyjęcia. Niepokoi coś jeszcze — odradzające się nacjonalizmy, które wywołują przykre skojarzenia. Nie chciałbym tylko narzekać, ale trudno dziś zdobyć się na optymizm.

Wiele składa się na to, że moje nadzieje są na razie bardzo ostrożne. Najbliższy okres widzę pesymistycznie, w przyszłość przenoszę oczekiwania — gdy zanikną emocje i zadomowi się w kraju tolerancja, gdy nie będzie przykrych incydentów, takich jak manifestacje młodych burzycieli pomników — dopiero wówczas wszyscy spojrzymy jaśniej. Musimy przejść przez trudny okres docierania się poglądów, przyzwyczajania do współpracy i przyswoić sobie kulturę polityczną, stosowaną na co dzień. Mam nadzieję, że to się powiedzie.

Jako pisarz muszę stwierdzić, iż teraźniejszość stwarza twórcom wspaniałe warunki — sporo wydarzeń, a rozmaite zadziory, ukryte dotychczas wstydliwie, wychodzą na zewnątrz. Czasem jestem wręcz przygnieciony tematami. Szukam formy dla myśli, które zwrócą znów uwagę na odwieczne, podstawowe wartości.

Bogdan Krok z Bobowej, przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej:

— Zadaję sobie pytania, na które trudno dziś odpowiedzieć — czy nadal będzie się obniżał poziom naszego życia, czy pogoń za pieniędzmi nie zniszczy kultury odstawionej na dalszy plan i czy jej kosztem wielu ludzi nie zechce łatać dziur w budżecie państwa, regionu i gminy. Pani minister Izabella Cywińska zapewnia, iż środków na Fundusz Rozwoju Kultury nie zabraknie. Wiem jednak, jak trudna jest już dziś sytuacja w miejskich i gminnych placówkach, które ponadto atakuje się z wysokich gremiów jako „przeżytki stalinizmu". Bolą takie niesprawiedliwe opinie, są one niebezpieczne. Szkoda, że w Sejmie nie widać ludzi zajmujących się upowszechnianiem kultury — oni rozumieliby, jak ważne jest istnienie gminnych ośrodków dla wiejskiej społeczności, zwłaszcza dla młodzieży.

Obawiam się o przyszłość młodzieżowych organizacji. Nie wiem, czy ZMW będzie teraz stać na urządzanie konkursów i festiwali dla młodzieży szkolnej, dzięki którym odrodziło się zainteresowanie ludowymi tradycjami.

Mam jednak nadzieję, że poradzimy sobie, jak już nieraz, z kłopotami dużymi i małymi. Spodziewam się, że przyszły samorząd terytorialny będzie naprawdę samodzielny. Jest tylko obawa — co dzielić i czym rządzić, zwłaszcza w biedniejszych gminach, gdzie brak dochodowych przedsiębiorstw. Warto przypomnieć ludziom, którzy zechcą pracować w samorządach, że zasadniczym celem nie może być osobista wygrana i zaspokojenie ambicji. Najistotniejsze jest znalezienie odpowiedzi na pytanie, co potrafię zrobić dla innych?

Chciałbym doczekać czasów, kiedy młodzi ludzie znajdą się na kierowniczych stanowiskach różnych szczebli. Widzę wielu młodych, pełnych zapału i wiary w swoje możliwości — także w swojej organizacji — i dlatego jestem dobrej myśli.

Wanda Kudasikowa — bibliotekarka, kieruje „Świarnymi":

— Niepokoję się — jak wszyscy — czy tych „milionów" wystarczy.

Boję się o język polski na ulicy — tak potworny w ustach młodzieży, że ona chyba nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, a taka ładna jest dziś młodzież, tak ładnie ubrana... Nasza młodość była biedna — z mysimi ogonkami, w prążkowanych pończochach.

Obawiam się o moralność góralskich rodzin, bo strasznie upadła — przez Amerykę, przez kupę pieniędzy, z których nawet nie potrafią zrobić użytku. Domy teraz pozamykane jak fortece, a kiedyś chałupa góralska otwarta była dwadzieścia cztery godziny na dobę, klucz leżał na czwartym węgle.

Nadzieja w odrodzeniu wsi, bo niemożliwe, żeby mamona zapanowała nad całą góralską dziedziną. I w tym, że zaczynają nareszcie w środkach masowego przekazu mówić ludzkim językiem, że ludzie zaczynają sobie wierzyć. Przyszły rok na pewno będzie lepszy, choć trudny, choć będziemy się borykać. Ważne, żeby człowiek dostrzegał drugiego człowieka, bo to się gdzieś zagubiło, a ludzie łakną życzliwości, zainteresowania — żeby ktoś im dał choć ciepłe słowo.

Mimo, że młodzież jest biedna, że się miota — w niej nadzieja, bo jest wielu wspaniałych młodych. Wierzę, że dostrzegą w pewnym momencie wartości prawdziwe i potrafią je spożytkować.

Jak nasza kultura będzie wyglądała bez pieniędzy — też się obawiam. Nie wiadomo, które formy będą musiały odejść, które się obronią. Młodzieży jednak nie wolno zostawić, trzeba ją przytulić.

Myślę, że wszystko powoli się poukłada, stanie na nogach, tylko ludzka mentalność musi się zmienić. Najgorsze, co się stało, to spustoszenie moralne i wszyscy zostaliśmy tym dotknięci.

Ufam, że już będziemy z sobą rozmawiać otwarcie, nikt nie będzie decydował zaocznie, szeptał za plecami.

Ufam, że się urodzą nowi społecznicy, bo starsi są „na wymarciu". Ale młodzi muszą wiedzieć, że coś im przyjdzie z tego społecznikostwa.

W ogóle dużo nadziei można czerpać z zewnątrz — starczy popatrzeć na słońce, na góry, uśmiechnąć się, podziękować za każdy dzień.

Aleksandra Majeran, długoletnia pracownica sądeckiego radiowęzła, a obecnie — Wojewódzkiego Ośrodka Kultury:

— Niepokoi mnie zbyt łatwe pozbywanie się majątku narodowego. Zagraża nam oddanie się w ręce kapitału zagranicznego. Niepokoją, a nawet denerwują — zbyt długie deliberacje w Sejmie i Senacie.

W Nowym Sączu jest tak, jak być musi, gdy władzę sprawują ludzie przypadkowi. Odnosi się to zarówno do miasta, jak i województwa. Znajdujemy się niemalże w przededniu wyborów do samorządu terytorialnego. Kogo wybierzemy? Prawdziwych sądeczan już nie ma, a jeśli są, to w podeszłym wieku, i nie bardzo chcieliby podjąć się rządzenia. Jak na razie czuwają nad nami przybysze, a tacy nie za bardzo troszczą się o miasto, co nie wynika ze złych chęci, lecz po prostu z braku obywatelskiego, sądeckiego sentymentu. Dawniej w Sączu była rzeźnia miejska, miejska elektrownia, handel miejski, targowiska miejskie, wodociągi, a nawet areszt miejski w podziemiach Ratusza. A dziś? Dziś miasto nie ma nic. Od czego zacząć nasze terytorialne rządy, by mieć własne dochody? Sprawa trudna, wymagająca rozsądku i mądrej, gospodarskiej, sądeckiej głowy. Obecnie nic nam nie gwarantuje dobrego startu.

Moje dalsze niepokoje łączą się z przyszłymi podwyżkami czynszu, cen opału i energii. Dzisiaj sięgamy jeszcze do „zaskórniaków", a gdy one się skończą... Co dalej? I to właśnie nie pozwala mi mieć żadnych na najbliższą przyszłość nadziei. Niepokojące są apele o cierpliwość, ona przecież ma swoje granice.

Należę do osób niezależnych. Nie miałam i nie mam powiązań z żadnymi ugrupowaniami, dlatego tak jak dawniej mogę pozwolić sobie na własną ocenę tego, co nas otacza. To, co się dzieje i dziać będzie w najbliższej przyszłości, nie napawa otuchą i nadzieją. Ja jej nie mam, po prostu straciłam wiarę.

Czego pragnę? Spotkać jeszcze ludzi, którzy potrafią wyciągnąć miasto i nasz kraj z tego dołu — zresztą o tym marzymy wszyscy. A może tacy się znajdą? I to jest moja ostatnia nadzieja.

Lechosław Mikształ, polonista, pedagog z Nowego Sącza:

— Wydaje mi się, że rok 1990 będzie rokiem decydującym o unormalnieniu życia w kraju. Obawiam się, że pierwsza jego połowa będzie trudna pod względem ekonomicznym. Zapowiedzi dotyczące realizacji programu ekonomicznego rządu nie kryją tego. Mam nadzieję, że starczy nam wszystkim cierpliwości w przyjmowaniu nowych trudnych decyzji z przekonaniem, że jest to droga do wyjścia z kryzysu i wejścia w etap lepszego życia.

Tylko ta społeczna cierpliwość może zaowocować społecznym spokojem, który traktuję jako warunek godziwego życia w rodzinie, w zakładzie pracy, w organizacji społecznej, w partii. Myślę, że budowaniu pokoju społecznego podporządkujemy swoje działania wszyscy, bez względu na orientację polityczną, wyznawany światopogląd czy zajmowane stanowisko.

Z tym wiąże się nadzieja na międzyludzką życzliwość, która niewiele kosztuje, a jest dziś, niestety, również dobrem deficytowym. Chciałbym, by z tej życzliwości wypływały gesty pomocy ludziom, którzy jej potrzebują, by likwidowała ona zazdrość i szerzące się zwykłe chamstwo, by eliminowała z naszego języka wulgaryzmy, którymi go zachwaszczamy.

Jak widać, więcej nadziei. Obawa podstawowa: czy starczy nam wszystkim sił, by tak było.

Maria Móżdżeń-Wójcik z Raby Wyżnej, prowadząca chór „Rabiańskie Dzieci":

— Obawiam się dalszego wzrostu cen i coraz trudniejszych warunków życia. Odbije się to również na amatorskim ruchu artystycznym, ograniczy działalność placówek i zespołów. Na razie wszystko działa jeszcze siłą rozpędu. Co jednak będzie, gdy z braku pieniędzy zamrą festiwale i konkursy, urwą się nawiązane z trudem kontakty? Jak dzieciom i dorosłym wyna-

Fot. JULIUSZ JAROŃCZYK

grodzić całoroczną bezinteresowną pracę w chórze czy teatralnym zespole? Planowaliśmy wyjazd do Francji, za własne pieniądze. Teraz wizja podróży oddala się, nie wiem, czy koszty nie przerosną naszych możliwości. Czy dotychczasowych sponsorów (Urząd Gminy, Rada Narodowa i firma „Plastsurf-Chemical") będzie stać na dotacje dla naszego chóru? Podobne obawy żywią kierownicy wielu zespołów. Boję się także skutków obecnego kryzysu — gdy najważniejszy jest pieniądz, zanika zainteresowanie pracą społeczną. A przecież kultura w naszym regionie opiera się głównie na ruchu amatorskim.

Jestem jednak, mimo wszystkich obaw, optymistką. Wierzę, że sytuacja w kraju ustabilizuje się, a ruch amatorski nie zostanie pozostawiony tylko własnym siłom. Liczę, że zespoły takie jak nasz uzyskają pomoc utworzonej niedawno Sądeckiej Fundacji Kultury i Oświaty, by przetrwać najgorszy okres.

Jako nauczycielka oczekuję zmian w systemie oświaty, zwłaszcza rozsądnego okrojenia programów nauczania. Niech będzie jasne, co każdy uczeń musi wiedzieć i w jaki sposób może rozwijać umiejętności w obranym kierunku. Wszyscy nie muszą i nie powinni uczyć się wszystkiego, bez względu na predyspozycje.

Prywatnie mam nadzieję, że w 1990 roku przeniosę się z rodziną do budowanego już od 10 lat nowego, wymarzonego domu.

Antoni Rączka, I sekretarz KW partii:

— Chciałoby się, żeby nadziei było jak najwięcej, ale realia sprowadzają na ziemię i dlatego zacząć trzeba od podstawowego pytania: czy uda nam się — mimo politycznych rozbieżności dzielących społeczeństwo — skupić i zjednoczyć ludzi wokół wartości nadrzędnych dla narodu? Na razie nie zdołaliśmy stworzyć wspólnej platformy — urazy, pretensje, rozbieżności nadal są faktem. Ponawiam więc kolejny raz prośbę, by te różnice poglądów starać się przezwyciężyć w imię wspólnego dobra. I Polska, i nasz region potrzebują dziś zespolenia wysiłków ludzi, którzy nieraz występowali przeciwko sobie.

Trudno przewidzieć, jak przebiegnie XI Zjazd PZPR, ale nie ulega wątpliwości, że partia która po nim powstanie, kierować się będzie dobrem człowieka, że odrzuci ona balast przeszłości, błędy minionej epoki i wszystko, co się przeżyło. Wiem, że wielu moim rodakom partia nasza kojarzy się ze złem, z niedogodnościami codziennego życia. Historia zobiektywizuje te oceny, bo przecież były i dokonania pozytywne. Mam nadzieję, że wyjdziemy z XI Zjazdu na tyle zjednoczeni, by sprawnie uczestniczyć w przebudowie polskiego życia. Na pewno będzie to zupełnie inna partia, niż ta która kończy obecnie swą działalność.

Niepokój dotyczy kwestii następującej: jaka jest wytrzymałość ludzi? Czy te reformy, które są przeprowadzane — i muszą być przeprowadzone — zyskają społeczną aprobatę? Ktokolwiek byłby dziś u steru, musiałby się na nie zdecydować, bo w gospodarce cudów nie ma. Idzie o to, by mieć społeczne przyzwolenie... Nie znamy granicy wytrzymałości obywateli, nie wiemy, czy trudne pierwsze półrocze zakończy pomyślnie pewien etap reformy i dokona przełomu. Jeśli w połowie przyszłego roku poprawi się sytuacja i ludzie zaczną żyć lepiej, wówczas niepokój ustąpi.

I jeszcze jedna sprawa: już się wyraźnie zarysowują dwa bieguny, biegun biedy i bogactwa. Partia nasza będzie brać w obronę ludzi, którym coraz bardziej zagraża niedostatek. Żadna partia postępowa nie może tego obowiązku zaniechać. Nie jesteśmy przeciw przedsiębiorczości i przeciw bogaceniu się. Ale niech się to dokonuje uczciwie, niech człowiek rzetelnie pracujący ma gwarancje przyzwoitej egzystencji.

Na koniec o niepokoju, który się wiąże z narastaniem tendencji rozliczeniowych. Niosą one poważne niebezpieczeństwo, gdyż nie kwalifikacje zawodowe, nie predyspozycje, lecz związanie się z określoną ideą przesądza o ocenie człowieka. Są personalne ataki na zdolnych, uczciwych i ofiarnych pracowników tylko za to, że kiedyś wchodzili w skład tak zwanej nomenklatury. Jeśli się ten sposób oceny ludzi upowszechni, będziemy mieć do czynienia z groźnym zjawiskiem szykanowania za poglądy. Powstałaby rychło nowa nomenklatura. A przecież jedynym kryterium awansowania ludzi, powierzania im stanowisk kierowniczych powinna być rzeczywista przydatność człowieka, zdolność sprostania obowiązkom, a nie jego poglądy polityczne.

Mam jednak nadzieję, że przeważy rozsądek a nie urazy i emocje. Tylko na gruncie realizmu możemy znaleźć wspólną platformę i pójść do przodu. A pójść do przodu to znaczy zająć się rozwiązywaniem konkretnych problemów.

Korzystając z okazji pragnę zwrócić się do wszystkich sił politycznych w regionie, by — niezależnie od różnic — dążyły do takiego zbliżenia wokół wartości nadrzędnych, które umożliwi nam współdziałanie.

Marek Rusin — przewodniczący MRN w Nowym Targu, prezes Sądu Rejonowego:

— Akurat w naszym mieście nie ma teraz spraw tak bardzo konfliktowych, że stawiałyby Radę *pod ścianą*. To nam, radnym, daje nadzieję, że spokojnie skończymy kadencję. Boję się jednak konfliktów zastępczych, które miałyby „przygotować" nową kampanię wyborczą.

Jeśli chodzi o samo miasto — sprawę budowy szpitala rozjaśniła wizyta pani senator Zofii Kuratowskiej: powstała koncepcja, jak zagospodarować szpital o tak wielkich parametrach, budowany bez rozeznania lokalnych potrzeb i możliwości.

Najbardziej niepokojący jest dla mnie natomiast brak informacji o przygotowywanych zmianach w przepisach dotyczących samorządu terytorialnego. Czas szybko płynie, a radni dalej nie znają harmonogramu, jaki opracował rząd: kiedy zrodzą się projekty, kto je będzie konsultował, kiedy wejdą pod obrady Sejmu, wreszcie kiedy będą wybory? Czy robimy do końca kadencji, czy już wcześniej musimy się rozliczyć? Jeśli taka sytuacja potrwa jeszcze miesiąc, to żaden radny nie będzie zainteresowany pracami Rady ani komisji.

Patrząc przez pryzmat zaopatrzenia sklepów — choćby w żywność — niby ludzie mają powody być bardziej optymistycznie nastawieni, ale realne są też obawy o to, co będzie w przyszłości. Mówi się o bezrobociu, o wymienialności złotówki, ale na razie nie odczuwa się tego i praca wciąż jest bardzo tania. Może się okazać, że pomoc żywnościowa doprowadzi do krachu w naszym rolnictwie, bo polskiemu chłopu przestanie się opłacać produkowanie mięsa i mleka. Wielu ludzi obawia się o swoje bezpieczeństwo, swoje zdrowie, mienie, życie, o to, że nie ma ich kto bronić — prawie nikt wieczorem nie chce sam wychodzić, okratowują się. Sądząc z ilości wpływających spraw, rzeczywiście bardzo wzrosła ilość przestępstw i bardzo dużo jest nie wykrytych. Na terenie miasta nie ma nocy bez włamania. Trzeba jasno i prosto załatwić sprawę z milicją, żeby zniknęła nieufność między milicją a władzą i odwrotnie. Ludzie w większości negatywnie są nastawieni do amnestii. Odzywają się głosy, żeby znanych z dobrej reputacji obywateli wyposażyć w pistolety gazowe do samoobrony.

Nadzieja jest w tym, że ludziom chce się pracować i przejawiają dużą skłonność do dzielenia się swymi dochodami z państwem: dają pieniądze na fundusz Mazowieckiego, na fundusz „SOS", na cele charytatywne. Zauważyłem też, że stanowisko urzędnika państwowego — wliczam tu także nauczycieli — zyskuje na wartości dzięki zapewnionemu podnoszeniu uposażeń. Choć pewnie nigdy nie dorównają te uposażenia zarobkom pracowników dobrze prosperujących firm... Bardziej optymistyczne nastawienie urzędnika do pracy, kiedy wie już, że będzie przez państwo poważnie traktowany, zmieniło z kolei jego stosunek do interesanta.

Franciszek Rusnarczyk, poseł na Sejm, pedagog z Mszany Dolnej:

— Bałbym się kreślić prognozy... Musiałyby to bowiem być albo moje życzenia, a więc to czego pragnę — albo wzięcie pod uwagę aktualnej sytuacji, opieranie rozważań o te realia. I obawiam się, że życzenia okazałyby się bardzo rozbieżne z tym, co umożliwiają realia.

Bardzo chciałbym, aby sytuacja w Polsce rozwinęła się tak, jak ją kształtować zaczęliśmy, a zaczęliśmy od ustaleń „okrągłego stołu", i z wielką nadzieją, że po trudnych latach, po doświadczeniach stanu wojennego i okresu, który nastąpił po nim, potrafimy wznieść się ponad trudności i realizować przyjęte kierunki.

Teraz odnoszę wrażenia dwojakie — czasem, że dzieje się rzeczywiście tak, jak mi to kreśliła nadzieja, a czasem, że wydarza się coś, co nadzieję burzy.

Bardzo bym chciał, aby nasza praca w Sejmie postępowała, żeby kadencja Sejmu trwała tyle, ile przewiduje Konstytucja, bo w tym czasie może zdołalibyśmy dokonać najtrudniejszych zmian. Okres przejściowy potrwa co najmniej kilka lat, może procesu zmian nie uda nam się zakończyć, ale jeśli potrafimy przeprowadzić kraj spokojnie przez najbliższe, „przejściowe" lata, to zyskalibyśmy pewność, że dalej już pójdzie dobrze.

Ale rzeczywistość tworzą fakty i one będą miały wpływ na rozwój sytuacji. Społeczeństwo czeka trudny okres. Czeka nas uświadomienie sobie, że na ten poziom życia, jaki już mieliśmy, po prostu nas nie stać. Żyliśmy przecież na kredyt, zaciągając pożyczki.

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Czy konieczność przejściowego pogorszenia sytuacji życiowej znacznej części społeczeństwa zostanie zrozumiana i zaakceptowana? Dziś wszystko wskazuje na to, że poparcie dla rządu i dla zmian jest duże, ale trudno określić, gdzie jest granica społecznej cierpliwości.

Wiem, że innego wyjścia nie ma, że trzeba zrobić wszystko, aby rozpoczęty proces przemian został doprowadzony do końca, nawet jeśli te czy inne grupy społeczne będą musiały zapłacić za to warunkami swego bytu. Na razie nie stać nas na zbudowanie systemu ochronnego. Będzie to możliwe dopiero wówczas, gdy zostanie nakręcony mechanizm produkcji.

Bardzo pragnę zmian i wierzę (a myślących tak jak ja jest dużo), że innej drogi nie mamy.

Byłem i jestem optymistą. Nie — człowiekiem naiwnym, ale właśnie optymistą. Mój optymizm wynika z przekonania, że jeśli potrafimy kierować się nie emocjami, a rozsądkiem, możemy liczyć na wygraną.

Barbara Słuszkiewicz — kierowniczka Archiwum w Nowym Targu:

— Wszystkie zmiany, które się dokonały, wyzwoliły we mnie nadzieję, że zacznie się dziać lepiej. Drgnęło na górze w ustawodawstwie — które i tak zresztą nie nadąża za życiem — ale w mieście dalej widzę chaos, marazm, zdezorientowanie. Jawią się możliwości, ale nie widzę jeszcze pola do działania. Słucham obrad i cieszę się, że są ludzie zdrowo myślący, że na podstawie ich wypowiedzi mogę sobie wyrobić własne zdanie. W mieście — ludzie albo liczą „na przetrwanie" albo nie chcą się wychylać z inicjatywą.

Bliskie mi są też sprawy zawodowe — mam nadzieję, że nasza praca będzie przebiegała bez zakłóceń, póki nie doczekamy się nowego lokalu i lepszych warunków.

Człowiek patrzy w przyszłość z nadzieją — to zmiana w świadomości. Przedtem pozostawałam z boku, patrzyłam z rezerwą, teraz mam jakąś osobistą perspektywę, w sobie weryfikuję zmiany. „Góra" tak jakby daleko, a ludzie jeszcze nie są zarażeni innym sposobem myślenia.

Oczywiście denerwuję się, kiedy zobaczę w sklepie przeterminowane masło, a innego nie ma i nikt nie pomyśli o przecenie. Jeszcze nie wybieram sklepów ze świadomością, że gdzieś dostanę towar za niższą cenę, z mniejszą marżą. Całe metry powierzchni pawilonów handlowych są niewykorzystane. A cóż przeszkadza, by sklepy przekształcały się w małe domy towarowe — wielobranżowe i funkcjonalne?

W kulturze też tu prawie pustynia — nie widzę teatrzyków w przedszkolach, do szkół nie zaprasza się aktorów. Poza wystawami może, które zresztą mają stałych bywalców — życie kulturalne zamiera. Myślę o powstaniu kółek zainteresowań, ale autentycznych, prowadzonych przez fachowców. Kółka tradycyjne upadają po kilku miesiącach — dzieci wyczuwają, że ktoś sobie nie radzi, nie umie ich porwać. Uzdolnione mamy dzieci, ale one potrzebują mistrzów. Tylko od nas zależy, czy będziemy żyć jak na prowincji czy inaczej. Ludzie jeszcze by się znaleźli, ale każdy energiczny, nieprzeciętny, może zostać „zniwelowany", skrytykowany przez tych, którzy stoją z boku. Wszyscy kupą musieliby się wziąć za polepszanie bytu.

Zdaję sobie sprawę, że przed wieloma osobami stanie teraz problem, jak się przestawić, jak przetrwać. Mało tu mamy do wyboru, więc ludzie się mogą znaleźć w ciężkiej sytuacji. Może się okazać, że praca, która czeka, nie leży w ich możliwościach. Ale pracować się musi. I trzeba.

Stanisław Ślimak, naczelnik Nowego Targu:

— Bogactwem Podhala są ludzie — ofiarni, nie szczędzący sił w pracy dla regionu. Działając prawie dziesięć lat w administracji państwowej przekonałem się, że jest ich naprawdę wielu — w osiedlach, stowarzyszeniach, partiach. Teraz doszli ci, którzy stali dotąd na uboczu. Stąd bierze się mój optymizm. Każdy, kto czuje się Polakiem, gdy popatrzy w przeszłość bez uprzedzeń, bez zacietrzewienia, zobaczy dorobek pokoleń, które pracowały dla Polski przez ostatnie dziesięciolecia.

Teraz, u progu Nowego Roku, muszę zintensyfikować swoją pracę. Czekają nas wybory, nowe ukształtowanie administracji. Chciałbym z zespołem, z którym byłem w trudnych latach, przygotować Urząd i miasto rzetelnie i godziwie do tego, co nas czeka.

Nadrzędny cel to rozwój Nowego Targu i Podhala. Na to trzeba uzyskać wiarygodność, wykorzystać szanse, jakie nowe uwarunkowania społeczne, gospodarcze, polityczne stwarzają samorządowi. U nas zresztą samorząd zawsze wiedział co robić. Nowotarscy radni nigdy bezradni nie byli. Mają rozum i serce, są konsekwentni, czasem wręcz nieustępliwi w walce o swoje racje, ale nie złośliwi.

Nowy Targ wkrótce obchodzić będzie swe 650-lecie. Czeka nas wiele prac. Trzeba zrobić wszystko, byśmy mieli wreszcie swój szpital. Byłem uczestnikiem spotkania senator Zofii Kuratowskiej ze służbą zdrowia i na tym spotkaniu lekarze jednoznacznie się zobowiązali, że wezmą w swoje ręce doprowadzenie tej inwestycji do końca. Pilnego rozwiązania wymaga gazyfikacja i zaopatrzenie w wodę. Czy władze wojewódzkie będą wierne decyzjom władz centralnych i własnym zapowiedziom, że gospodarkę wodną uporządkuje się od źródeł? Jeśli tak, to po zbudowaniu oczyszczalni zakopiańskiej powinna ruszyć budowa nowotarskiej.

A jak siebie widzę w tym nowym roku? Nie jestem mieszkańcem Nowego Targu, lecz przepięknego Białego Dunajca, więc do władz nowotarskich wejść już zapewne nie będę mógł. Zawsze jednak będę się interesować sprawami tego miasta i będę mu służył pomocą. Jako naczelnik, a przede wszystkim jako podhalanin, darzę je ogromną sympatią.

Ze starej prasy * Ze starej prasy

Różnorodność życia publicznego w Polsce międzywojennej odzwierciedlały liczne czasopisma, także lokalne. Jakimi barwami się ono mieniło w naszym regionie, zobaczy Czytelnik z prezentowanego poniżej wyboru tekstów. Pochodzą one z *„Gazety Podhalańskiej"* (rok 1924), z *„Gońca Podhalańskiego"* noszącego podtytuł: niezależne pismo polityczne, społeczno-gospodarcze i literackie (fragmenty artykułów z lat 1926-27) oraz z *„Podhalańskiego Kurjera Tygodniowego"* (te same dwa lata), który określał się jako bezpartyjny tygodnik ziemi sądeckiej, grybowskiej, limanowskiej oraz uzdrowisk.

Wypędził babę

Jeden gazda, który był szukać skarbów zbójeckich, a nie znalazł, z tej złości wypędził babę z domu i krowę jej, a cielaka sprzedał i słomę — no i ma pieniądze chłop, choć zbójeckich nie znalazł. Drugi poszukiwacz skarbów dostał pensyjkę inwalidzką dość ładną, krowę ostatnią sprzedał, także jest przy pieniądzach.

Chrzciny

W Dzianiszu odbyły się chrzciny u Józefa Bukowskiego Gruszkularza. Jak to zwykle na chrzcinach bywa, było dość wszystkiego, śmierdziuchy też nie brakowało. Tak się popili wszyscy, aż się pobili. Byliby dobrze wypuckali kumotra Jana Zubka, ale się im jakoś nie udało. Jeden starszy gazda nie mógł bić, lecz zębami kąsał (...) Odbyła się też młocka z muzyką i bitką u Kundziorza.

Przestroga

Kobiety, co mają mężów w Ameryce, niektóre źle się prowadzą — przestrzegamy je, że wymienimy ich nazwiska, jeśli się nie poprawią.

Mniej świąt

Na podstawie rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 15 listopada 1924 roku ograniczono znacznie ilość dni świątecznych wolnych od pracy. Zatem od dnia 1 stycznia 1925 r., którego to dnia rozporządzenie powyższe wchodzi w życie, będziemy święcić oprócz niedziel tylko następujące dni: Nowy Rok, Trzech Króli, Trzeci Maj, Wniebowstąpienie Pańskie, Boże Ciało, Piotra i Pawła, Wniebowzięcie N.M.P., Wszystkich Świętych, Niepokalanie N.M.P. Ograniczenie to nastąpiło z wiedzą i za zgodą Kościoła, a złożyło się na to wiele przyczyn. Na Zachodzie święci się znacznie mniej niż dotąd u nas, gdyż jeden dzień świąteczny niewątpliwie przynosi stratę gospodarstwu narodowemu, czego zwłaszcza dzisiaj unikać należy. Nie dziw więc, że cudzoziemcy ganili tę polską ochotę świętowania, co uważali za równoznaczne z chęcią próżnowania i nieróbstwa, a tego rodzaju mniemanie o nas za granicą nie przynosi chyba zaszczytu, zwłaszcza, że nasza kiepska organizacja i niedołęstwo na wielu polach gospodarki państwowej znane jest w Europie.

Pożyczka z Ameryki

Według doniesień z Ameryki przedstawiciele polscy układają się z bankierami amerykańskimi o wypuszczenie w Ameryce pożyczki w sumie 25 do 50 miljonów dolarów na ożywienie kredytu w Polsce. Pożyczka ma być zabezpieczona na całym przemyśle polskim, podobnie do pożyczki niemieckiej według planu Dawesa. Konjunktury bardzo sprzyjają pożyczce, gdyż finansiści amerykańscy chcą uruchomić olbrzymie kapitały nagromadzone po wojnie i leżące w Ameryce bezczynnie.

Z Rady Miejskiej w Nowym Targu

Dzisiejsze co dwa tygodnie jarmarki nie mogą wystarczyć na potrzeby miasta, a przytem w ostatnich latach skutkiem przyłączenia Spisza i Orawy stały się jarmarki tak tłumne, że całe miasto literalnie szczelnie zabite wozami tak, że tylko z trudem przy największym wysiłku policji państwowej i miejskiej da się jaki taki ruch utrzymać. W razie jakiego ognia groziłaby w dniu jarmarcznym nieobliczalna straszna katastrofa, a na to jest właśnie rada urządzać częstsze jarmarki, gdyż przez to będą mniej tłumne. W związku z tą uchwałą, ale dopiero po uzyskaniu tegoż prawa, postanowiono jarmarki przenieść na czwartek.

Ministerstwo Skarbu

wypuszcza pierwszą serię biletów skarbowych na ogólną sumę 15 miljonów złotych. Bilety te w odcinkach po 25 i 100 zł oprocentowane są w stosunku rocznym 8 proc. Odsetki z góry płatne. Termin płatności biletów przypada na 1 lutego 1925. Bilety skarbowe przeznaczone są w pierwszym rzędzie na wykup bonów złotych, poza tym są bardzo dobrą krótkoterminową lokatą kapitałów nawet dla posiadaczy drobnych oszczędności.

Zmiany w rządzie

Pertraktacje p. Grabskiego z klubami poselskimi zostały zakończone i rekonstrukcja gabinetu dokonaną. Ustąpili ministrowie: sprawiedliwości p. Wyganowski, spraw wewnętrznych p. Hübner, pracy i opieki społecznej p. Darowski. Na ich miejsce Prezydent Rzeczypospolitej zamianował p. Ratajskiego ministrem spraw wewnętrznych, dr. Żychlińskiego ministrem sprawiedliwości, p. Sokala ministrem pracy i opieki społecznej oraz p. Thugutta ministrem bez teki.

Poseł Bednarczyk o „Gazecie Podhalańskiej"

Niech nie będzie nasza gazetka wypełniona tylko samemi nieszczęśliwymi wypadkami, które powstały z naszej winy na weselach, chrzcinach, zabawach, gdzie uprawiamy nożownictwo, strzelaninę i w ogóle zapasy bratobójcze. Straszny wstyd, że o takich wypadkach czytają nasi bracia za oceanem i w całym świecie. Niech zamiast tych brzydkich nieszczęśliwych momentów czytają, że w tej lub tamtej gminie były zebrania, odczyty, przedstawienia, śpiewy narodowe, a wtenczas inaczej by nas sądzili.

Z nowym rokiem będziemy Wam pisać dużo ciekawych rzeczy, dużo naszych podhalańskich powieści, tak, że będziecie z gazetki zadowoleni, tylko jednego od was żądamy, abyście czytali i odpowiedzieli na pytanie we wstępie postawione „czy czytanie gazet jest potrzebne?".

Wiec urzędników

Najbardziej praworządny i rozumiejący potrzeby państwa element urzędniczy organizuje się, gdyż czuje, iż mimo krańcowej cierpliwości nie otrzymuje za swą pracę tej minimalnej nagrody, jaką jest wystarczające do życia zaopatrzenie pensyjne.

I nasi pracownicy państwowi nie zasypiają sprawy, zwłaszcza, że powiat nasz sądecki znajduje się pod względem kosztów utrzymania na wyjątkowem miejscu. Abstrahując od tego, że jest to powiat górzysty, mało urodzajny — leży on w rejonie uzdrowisk, które stwarzają sztuczną drożyznę artykułów targowych. Stąd ceny naszego targu są anormalnie wysokie i istnieje kolosalna trudność w nabywaniu artykułów.

Stosunki te anormalne zmusiły pracowników naszego powiatu do postawienia specjalnych żądań, które sprecyzowano na wiecu ogólno-urzędniczym 20 listopada i przesłano Radzie Ministrów. Zapadłe rezolucje domagają się przyznania od stycznia 1927 dodatku mieszkaniowego, przyznania na okres 5 miesięcy letnich 30% dodatku uzdrojowiskowego oraz wydelegowania specjalnej Komisji do zbadania kosztów utrzymania.

Apel mieszkańców Grybowa

Mieszkańcy Grybowa zwracają się do Województwa w Krakowie z prośbą o wzięcie ich w obronę przed samowolą Zarządu Tymczasowego miasta, względnie — wszechpotężnym sekretarzem gminnym, który kpi sobie nie tylko z obywateli tutejszych, ale nie respektuje Władz.

Mandaty połowy radnych od blisko 2 lat wygasły, a mimo to wyborów nie rozpisuje się — a co lepsze, ma nie rozpisywać się, bo pan sekretarz zajętym jest dozorowaniem robót przy układaniu chodnika do starostwa. Mamy nadzieję, że apel ten odniesie pożądany skutek i że nie będziemy zmuszeni upomnieć się o nasze prawa w inny, więcej może przykrzejszy sposób.

Bibljoteka im. Józefa Szujskiego

Niestety, mało kto z inteligentniejszych nawet ludzi wie, gdzie ona się znajduje i co w niej znaleźć można. Prócz uszczerbku w książkach sprowadziła wojna inną, gorszą jeszcze klęskę na bibljotekę: utratę stałego pomieszczenia. Jesienią 1922 została przeniesiona do szkoły im. Mickiewicza w mieszkanie właśnie zmarłego dyrektora. Okazało się jednak, że dla celów szkolnych potrzebny jest cały budynek, a więc i pokoje zajmowane przez bibljotekę. Ta tymczasowość pomieszczenia (pod ciągłą groźbą przeniesienia) uniemożliwia należyte jej urządzenie, zwłaszcza wcale obfitego działu archiwaljów. Można mieć nadzieję, że miasto znajdujące się w rękach ludzi światłych, znaczenie książki rozumiejących, sprawę tę pomyślnie załatwi.

Z kroniki

Na dochód katolickiego Zakładu sierot odbyła się wenta gospodarcza w dniu 14 bm. w sali Magistratu.

P. Trychułkównej J., nauczycielce z Roztoki skradziono z wozu przy ulicy św. Kunegundy futro wartości 800 zł. Dzięki energji tut. policji śledczej udało się wykryć złodzieji w osobach N. Oleksego i Kunegundy Kulig, tegoż kochanki.

Naprawić krzywdę

Niedawno prasa codzienna doniosła o zatargu inwalidów z Krakowską Izbą Skarbową o wymierzanie rent wdowich i sierocych. Zarząd Główny Inwalidów Wojennych stwierdził, że Krakowska Izba Skarbowa wyznacza niższe renty, niż nakazuje ustawa. Takim sposobem skrzywdzono wdowy i sieroty po poległych żołnierzach w 44 powiatach Małopolski, między któremi — powiat nowosądecki, grybowski i nowotarski. Skutkiem takich „obliczeń" cierpią głód i chłód tysiące rodzin.

Z Krynicy

Przedmiotem obrad Komisji Zdrojowej był budżet na rok 1927. Projekt przewiduje oprócz dochodów i wydatków zwyczajnych, szereg pozycji przeznaczonych na inwestycje niezbędne z powodu powiększenia się Zdrojowiska. Z najważniejszych należy wymienić: budowę wychodków publicznych, budowę garażu, kupno beczkowozu automobilowego do skrapiania ulic, budowę kortów tenisowych i budowę nowych chodników. Ogólem suma wydatków wynosi 519.000 zł i ma być zarównoważoną dochodami z wpływów i taks, pobieranych od gości.

Zjeżdża do Krynicy codziennie po kilkanaście osób. Pomiędzy bawiącemi obecnie zauważyliśmy: Stefana Jakobsona, właściciela dóbr z Krukowa, Adolfa barona Brunieckiego, wł. dóbr z Dubienia Wielkiego, Blankę Czarnecką z Wejherowa i wielu innych.

Policja, sąd, kryminał

Niejaki Jan Kurucki, zamieszkały przy ul. Gwardyjskiej w Nowym Sączu tak gorąco zakochał się w pannie N., że w bezgranicznej zazdrości o nią zamordował swego kolegę i rzekomego rywala. Sąd przysięgłych skazał go na śmierć przez powieszenie. Oskarżony wyroku nie chciał przyjąć. Żal mu młodego życia i umiłowanej, choć zdradliwej narzeczonej.

Kopacz Stanisław, lat 17 zaledwie liczący, a już kilkakrotnie karany, leniąc się do pracy, a mając nie lada apetyt, był prawdziwym szkodnikiem dla pełnych piwnic, strychów i śpiżarni w naszym mieście. Ogałacał je z zapasów, nie gardził też winem, koniakiem i likierami. Skończyła się jednak sielanka i Kopacz kopie teraz, ale śnieg na kryminalnem podwórku.

Sejmik oświatowy

Dzięki inicjatywie T.S.L. odbył się w niedzielę 19 bm. sejmik oświatowy połączony z uroczystością ku czci H. Sienkiewicza w sali Magistratu, który ku wstydowi miasta, mającego chyba pretensje do kultury, zgromadził jeno małą garstkę słuchaczy i to przeważnie ze sfer nauczycielstwa. Sejmik otworzył prof. Śliwa. W dyskusji, która się wywiązała, przyrzekli współpracę z T.S.L. reprezentanci Związku Katolickiej Młodzieży i Związku Inwalidów. Rzucono myśl połączenia wszystkich bibljotek sądeckich w jedną bibljotekę, myśl którą propaguje od dawna ceniony i uczony bibljotekarz czytelni im. Szujskiego, prof. Saturnin Żytyński. Zakończyła uroczystość dekoracja medalami 3 Maja zasłużonych pracowników oświatowych. Dziwi tylko, że tego rodzaju uroczystość odbyła się w sposób bardzo prymitywny, mało uroczysty, bez obecności reprezentanta starostwa, a nawet miasta.

Dla odbudowy Zamku

W sobotę odbyło się w Ratuszu przy współudziale 50 osób ze świata kulturalnego, zebranie w sprawie renowacji Zamku. Prof. Reguła w rzeczowym, jasnym referacie przedstawił konieczność założenia muzeum ziemi sądeckiej. Prof. Szyszko Bohusz przyrzekł swą pomoc.

Handel mieszkaniami

Brak mieszkań wolnych gnębi nas wszystkich i zdaje się, że nie ma na to ratunku. Jednakże mieszkania wolne są i czekają na szczęśliwych nabywców — mogących zapłacić w dolarach, zwykle kilkuletni czynsz. A czynsze duże, od 200 do 1000 dolarów. Znamy sami wypadek, gdzie za trzy pokoje wziął właściciel 500 dolarów tytułem czynszu za lat kilka! Czy nie ma na te transakcje sposobu?

Epidemia

Szerząca się w powiecie nowosądeckiem szkarlatyna, przeniosła się na powiat grybowski, tak że niektóre wsie są nią objęte. Pojawił się też tyfus we wsi Krużlowej.

Matrymonialne

Sądeczanin, przystojny brunet lat 27, przemysłowiec, pozna pannę gospodarną i majętną. Posag dla otwarcia interesu w miejscu kąpielowym. Pierwszeństwo mają seminarzystki. Fotografia wymagana — zwrot za słowem honoru. „Nusiek".

Minister — demokrata

W dniu 21 bm. zajechało pod wieczór przed restaurację p. Oleksego auto, z którego wysiadł generał lat średnich, najnaturalniej w świecie wszedł do lokalu, pozdrowił obecnych i prosząc o kolację usiadł skromnie w separatce! Dopiero nadbiegła policja wskazała na to, że to nie zwyczajny generał, ale sam p. Minister, dr. Sławoj-Składkowski. Nie koniec na tem, bo jedzący na sali kierowca auta oświadczył naszemu reprezentantowi, iż pan Minister — aczkolwiek w przejeździe będący oświadczył, iż gdyby kto z ludności miał doń bezpośredni interes, chętnie go przyjmie! Pomyśleć tylko, sam pan Minister 30-miljonowego mocarstwa — nie waha się ni chwili, ba — nawet pamięta o tem, że przecież może się znaleźć ktoś, kto chciałby z Nim mówić i oświadcza gotowość przyjęcia go w czasie kolacji, którą dopiero spożywa.

„Sylwester" w kasynie oficerskim

Tradycyjny w Nowym Sączu „Sylwester" był obchodzony tego roku niemniej wesoło jak zwykle, przytem jednak uroczyściej ze względu na osobę naszego Dowódcy garnizonu, płk szt. gen. Włada, który po raz pierwszy miał sposobność przyjmowania w gościnnych komnatach pułkowych elity tutejszego towarzystwa. Pierwszą część wieczoru wypełnił koncert orkiestry 1 psp. Z uderzeniem godziny 12 weszło na salę 4 heroldów-trębaczy, którzy odegrali fanfarę, potem w serdecznych słowach złożył płk Wład zebranym gościom życzenia noworoczne. Odpowiedział mu dr R. Sichrawa. W wesołym nastroju puszczono się w pląsy, trwające do białego rana, a kierowane zgrabną ręką ppor. Kosmykiewicza.

W Domu Robotniczym

Wieczór sylwestrowy w Domu Robotniczym zgromadził tłumy i udał się dzięki inicjatywie p. Matkowskiego, Teatru Robotniczego oraz panów Filipowicza i Bunera (część kabaretowa) doskonale! Bawiono się do rana przy frekwencji 150 par tańczących.

Jazzband w Nowym Sączu

Miasto nasze naprawdę powoli europeizuje się. Oto znana w naszem mieście kawiarnia „Imperjal" pragnąc naśladować stolicę zamieniła swe dotychczasowe trio koncertowe na jazzband, dając w ten sposób możność mieszkańcom naszego grodu poznania tej iście murzyńskiej muzyki.

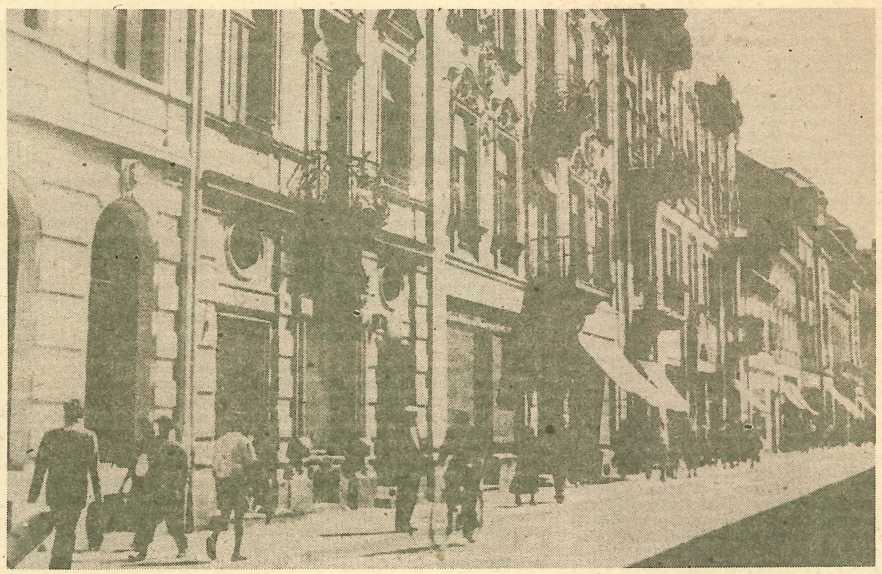

Repr. JOANNA GAJDA

Moszczenica — Krynica

15 grudnia 1926 odbyło się w Gorlicach, w sali „Sokoła" liczne zebranie przedstawicieli instytucji publicznych i prywatnych, tudzież osób zainteresowanych projektem budowy normalnotorowej linii kolejowej Moszczenica-Gorlice-Wysowa-Krynica. Zebranie zagaił burmistrz miasta Gorlic, Kazimierz Murdziński, poczem powołano jednomyślnie na przewodniczącego b. premiera, dra Aleksandra hr. Skrzyńskiego, na zastępcę — dyrektora Karpackiego Towarzystwa Naftowego w Gliniku Marjampolskim, inż. Eryka Cięciałę, na sekretarza — dyrektora Seminarjum Nauczycielskiego Żeńskiego, prof. Edmunda Kowarza. Na podstawie szczegółowego referatu wygłoszonego przez dyrektora Magistratu gorlickiego, Konstantego Laskowskiego, uchwalono dążyć do urzeczywistnienia projektu budowy kolei i w tym celu wybrano Komitet budowy. W skład Komitetu wchodzą: dr Aleksander hr. Skrzyński jako prezes, Kazimierz Murdziński — burmistrz miasta Gorlic, jako wiceprezes.

Po ukończeniu zebrania Magistrat miasta Gorlic wydał na cześć prezesa Komitetu budowy obiad na 40 nakryć w niedawno odnowionej i pięknie ozdobionej kwiatami sali posiedzeń gorlickiej Rady Powiatowej.

Z Rabki

Staraniem Kółka amatorów tutejszych pod kierownictwem dyr. szkoły, pana Michała Wyskla, odbyło się w Chabówce, w sali szkolnej przedstawienie amatorskie. Granoszłuczkę „Kachna". Należy się uznanie dyr. Wysklowi, jak również nauczycielowi panu Hejdzie, za pracę w tym kierunku, młodzież bowiem zamiast wałęsać się lub rozbijać po karczmach, spędza wieczory na próbach.

Z Limanowej

Celem nabycia organów do tutejszego kościoła zawiązał się komitet obywatelski, na czele którego stanął były burmistrz, pan Bieda. W akcji pomaga dzielnie panu Biedzie cichy pracownik na niwie społecznej, pan Leśniowski.

Onegdaj okradziono restaurację w Rynku, gdzie po wyważeniu żaluzji z okna wystawowego, zabrano wszystkie flaszki z wódką.

Z Zakopanego

Wcześnie spadły śniegi, które zadecydowały o powodzeniu sezonu zimowego. Jeszcze przed świętami pociągi przychodziły tu przepełnione, tak że niektóre (szczególnie luksusowe) pensjonaty wypełniły się po brzegi. Bawi tu wielu dygnitarzy, naszych i obcych. Pan premjer Bartel, poseł turecki, ambasadorowie amerykański, duński, bawi również Kornel Makuszyński, zbierając materjał do dalszych „Listów z Zakopanego".

Zakopane ogarnęła epidemia samobójstw. W nocy z 23 na 24 grudnia, w restauracji „Mieszczańskiej" dokonał zamachu samobójczego strzeliwszy do siebie z rewolweru młody kuracjusz, Jan Prus-Strowski. Powodem było krytyczne położenie finansowe, doprowadzone życiem ponad stan. Strowski żyje.

Zmarł w szpitalu były kierownik księgarni dworcowej „Ruch", Tadeusz Krzywkowski. Przebywał tam z powodu zaczadzenia. Zaczadzenie nie było przypadkowe, lecz spowodowane umyślnie w celach samobójczych. Poprzedziło je zażycie trucizny. Powodem samobójstwa był niedobór przeszło 1000 zł w kasie księgarni.

Bójka w kawiarni „Tatrzańskiej"

W noc wigilijną wywiązała się sprzeczka między personelem a jednym z gości. Podczas usuwania siłą z kawiarni owego gościa doszło do bójki, w której udział wzięło kilkanaście osób ujmując się za wyrzucanym. Po zlikwidowaniu sporu doszło do ostrzejszej jeszcze bójki między osobami godzącemi powaśnione strony.

Do Was, syci i dobrze ubrani

Czy zastanawiasz się dobrze ubrany, syty i roztańczony obywatelu Nowego Sącza — ile też nędzy i biedy jest w naszem mieście? Czy uprzytamniasz sobie, ile chudych, bosych, głodnych i chorowitych dzieciaków błaga o kawałek chleba? Chciej tylko przyjrzeć się zapadłym oczom i blądym buziom nędzarzy, a z pewnością wypalisz mniej jedno cygaro i złożysz jego równowartość na szlachetny i obywatelski cel! A sposobność masz bo oto Narodowa organizacja kobiet w osobach pani inż. Gryglaszewskiej, pani inż. Knapikowej i pani Kwolewskiej wszczęła już akcję! Już 115 małych biedaków otrzymuje w lokalu „Robotnika" za darmo śniadania złożone z herbaty i dwu bułek. Jak długo to potrwa — od Ciebie zależy. Czy nie mógłbyś złożyć trochę mąki czy cukru, herbaty, chleba, ewentualnie starych ubranek czy parę groszy? Zatem — skoroś przeczytał, nie idź drzemać czy opychać się jedzeniem, ale zapamiętaj te słowa i ofiaruj cokolwiek. Dary przyjmuje pani Gołębiowska, ulica Szujskiego.

Życzenia na Nowy Rok składa „Goniec Podhalański"

— Prezydentowi miasta, dr-owi Sichrawie — dożywotniego stanowiska burmistrza w stolicy Podhala

— Księdzu prałatowi Mazurowi — rychłego zostania biskupem

— Staroście Kępińskiemu — stanowiska wojewody

— Komendantowi P.P. — panu Hanusowi — pozostania na dotychczasowem stanowisku

— Kupcom Fertigowi i Oleksemu — wzbogacenia się na niepłaconych rachunkach

Rekwizycje

Mieszkańcy okolicznych wsi nie chcąc płacić opłat mytowych wzięli się na sposób, przepędzając bydło bocznemi ścieżkami. Aliści Magistrat to zoczył i zupełnie słusznie postawił i tamże swoich funkcjonariuszy celem ściągnięcia opłat. Niesłusznem jest jednak rekwirowanie z koni derek na poczet zapłaty, co rozgorycza biedną, okoliczną ludność.

Z kroniki

Z dniem 1 marca 1927 zacznie kursować regularnie autobus między Nowym Sączem a Krakowem. Wyjazd z Nowego Sącza o godz. 6 rano, powrót o 10 wieczorem.

Mieszkaniec Krynicy, Michał Kohut dopuścił się zbrodni gwałtu publicznego, znieważając czynnie na dworcu kolejowym w Nowym Sączu posterunkowego policji państwowej.

DUNAJEC

Odrodzenie ruchu ludowego

(rozmowa z JANEM KOMORNICKIM, przewodniczącym Wojewódzkiego Zarządu PSL „Odrodzenie")

— Powstało Polskie Stronnictwo Ludowe „Odrodzenie". Czy może Pan naszym czytelnikom przedstawić wrażenia z Kongresu oraz najbliższe zamierzenia Waszej partii?

— Chętnie. Tym bardziej, że dotychczasowe relacje z przebiegu obrad w środkach masowego przekazu niewiele mają wspólnego z tym, co się na Kongresie rzeczywiście działo. Z żalem muszę stwierdzić, że na sali obrad nie było telewizji, chociaż operowała w kuluarach, a potem publikowała pełne pikanterii ciekawostki.

Zanim opowiem o samych obradach Kongresu Odrodzenia Ruchu Ludowego, kilka zdań o przygotowaniach do niego. Zaangażowane w to były szerokie kręgi naszego aktywu. Delegatów wybierano w gminach. Nowosądeckie miało 53 delegatów ze wszystkich gmin (z wyjątkiem Kamienicy, która zrezygnowała z własnych delegatów na rzecz ościennych gmin). Z woli całej nowosądeckiej grupy delegatów zostałem przewodniczącym tzw. zgromadzenia delegatów naszego województwa. Zgodnie z regulaminem wyboru władz — przed wyjazdem na Kongres wyłoniliśmy naszych przedstawicieli do władz krajowych. Do Rady Naczelnej PSL „Odrodzenie" — **Marka Lutego, Stanisława Śmierciaka, Ignacego Wojakowicza** i mnie. W tym samym trybie do Głównej Komisji Rewizyjnej wszedł **Bogdan Krok,** a do Głównego Sądu Partyjnego — **Franciszek Bochenek.** Zanim wyruszyliśmy do Warszawy, spotkaliśmy się u grobu błogosławionej Kingi w starosądeckim klasztorze klarysek (bł. Kinga jest patronką Sądecczyzny i wsi polskiej).

Do Warszawy jechaliśmy z wolą zakończenia działalności Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i reaktywowania PSL, którego idee i głębokie tradycje przetrwały na wsi i w szeregach ZSL. Rozpoczęcie obrad poprzedziła msza, w czasie której spotkałem mojego brata Piotra, delegata z województwa krośnieńskiego.

W czasie Kongresu wraz z prezesem Stanisławem Śmierciakiem pracowaliśmy w komisji wyborczej. Zasadniczą grupę delegatów stanowili rolnicy, ale nie brakowało też nauczycieli, działaczy kultury, leśników, pracowników administracji państwowej. Niewielu było etatowych pracowników ZSL.

Muszę tutaj sprostować nieprawdziwe informacje, jakie były publikowane: delegaci nie uchwalili wotum nieufności wobec wicepremiera Janickiego. Ani nie mieli takiego zamiaru, ani też — formalnie rzecz biorąc — prawa. Owszem, była krytyka działań rządu dotyczących rolnictwa. Krytykowano upór rządu, by nie dopłacać rolnikom różnicy między kosztami produkcji a cenami zbytu. A przecież rolnicy nie mogą produkować poniżej granicy opłacalności, nie można też dopuścić, by wyzbywali się stada. Krytyczne głosy nie były jednak skierowane przeciw rządowi premiera Mazowieckiego, ale w trosce o to, by rząd, akceptowany przez znaczną większość narodu, niwelował swoje błędy.

Sporo emocji przeżyliśmy w czasie wyboru prezesa Naczelnego Komitetu Wykonawczego. Najpewniejszym kandydatem na to stanowisko był minister Aleksander Bentkowski, ale ku zaskoczeniu delegatów zrezygnował z kandydowania. Podobnie — Józef Zych. W wyborcze szranki stanęli więc Kazimierz Olesiak i prof. Stanisław Dąbrowski. Działo się to już o trzeciej nad ranem, byliśmy potwornie zmęczeni. Kongres przebiegał bardzo demokratycznie i dlatego proces wyborów przeciągał się.

Drugim dramatycznym momentem był wybór prezesa Rady Naczelnej PSL „Odrodzenie". Pierwsza tura głosowania nie dała rezultatu, bo żaden z trzech kandydatów nie uzyskał potrzebnej ilości głosów. Wówczas wycofał swą kandydaturę Władysław Żabiński, działacz „Solidarności" Rolników Indywidualnych, który miał największe szanse na wybór. Nastąpił impas. Ściągnięto przewodniczącego klubu poselskiego ZSL — Józefa Zycha i marszałka Mikołaja Kozakiewicza, który najskuteczniej potrafił kierować obradami. Józef Zych poinformował, że klub poselski ZSL pragnie być klubem ruchu ludowego bez względu na wyniki Kongresu. Wówczas Roman Jagieliński, nie rezygnując z kandydowania, zwrócił się do delegatów, by wybrali Zycha. W tajnym głosowaniu Józef Zych uzyskał 87 procent głosów, co delegaci przyjęli owacją.

Poseł Wiesław Woda z Krakowa zaproponował w imieniu klubu poselskiego, by Kongres dokonał zapisu w statucie, umożliwiającego odwoływanie prezesa Naczelnego Komitetu Wykonawczego w normalnym trybie przez Radę Naczelną. Wniosek został zaaprobowany. Honorowym prezesem PSL „Odrodzenie" wybraliśmy nestora ruchu ludowego — Tadeusza Nowaka, jednego ze współpracowników Stanisława Mikołajczyka, uczestnika plenum PSL z 1947 r., na którym podjęto uchwałę o zawieszeniu działalności Stronnictwa.

W dyskusji plenarnej miało wystąpić dwóch delegatów z naszego województwa — Marek Luty i ja. Chciałem mówić o pryncypiach filozoficznych i ideologicznych ruchu ludowego. Zrezygnowałem jednak z wystąpienia i zaproponowałem zamknięcie merytorycznej dyskusji dla zyskania czasu na omówienie projektów programu i statutu. Statut uchwalono jednomyślnie, hurtem niejako odrzucając poprawki z sali, by nie zburzyć konstrukcji tego dokumentu, gdyż jedna zmiana pociąga za sobą następne. Podobnie było z programem.

Pierwszy artykuł naszego statutu głosi: *Polskie Stronnictwo Ludowe „Odrodzenie" jest ogólnonarodową partią polityczną wyrosłą z chlubnych tradycji Ruchu Ludowego, dążącą do urzeczywistnienia swego programu dla dobra Narodu i Państwa Polskiego. Celem PSL „Odrodzenie" jest umacnianie demokratycznego państwa, zdobycie i utrzymanie odpowiedniej pozycji społecznej wsi, wyżywienie narodu oraz kształtowanie i ochrona środowiska człowieka.*

Nie bylibyśmy partią polityczną, gdybyśmy nie dążyli do udziału w sprawowaniu władzy w państwie. W programie zapisaliśmy to następująco: *Polskie Stronnictwo Ludowe stojąc na gruncie demokracji parlamentarnej, jako systemu sprawowania władzy, dąży do jego umacniania. Naszym celem jest zdobycie władzy w państwie drogą demokratycznych wyborów parlamentarnych.*

Kongres zakończyliśmy w duchu jedności i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Odśpiewaliśmy nasz nowy hymn — pierwszą zwrotkę „Roty". Wielu delegatów płakało.

Jestem przekonany, że nastąpi połączenie wszystkich odłamów ruchu ludowego. Wymaga tego interes wsi polskiej i narodu, od tego w dużej mierze zależy rozwój demokracji w naszym kraju. Silny ruch ludowy może nie dopuścić, by jeden monopol przekształcił się w drugi, jedna nomenklatura w drugą. Powołaliśmy Komisję Pojednania Ruchu Ludowego.

Teraz czeka nas praca nad zrealizowaniem uchwał Kongresu. Odbywamy spotkania delegatów z kołami — w formie zebrań otwartych. Do czasu wyboru władz terenowych PSL „Odrodzenie" — na szczeblu wojewódzkim partią kieruje zgromadzenie delegatów. Władzę w gminnych organizacjach oraz w kołach sprawują dotychczasowe komitety i zarządy kół Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. W I kwartale 1990 roku odbędą się wybory zarządów kół, zarządów gminnych i zarządu wojewódzkiego.

Aczkolwiek członkowie ZSL stają się niejako automatycznie członkami PSL „Odrodzenie", to czeka nas wyczyszczenie spraw członkostwa. Nie zależy nam na statystyce ani na martwych duszach. Potrzebne nam są wielkie i gorące serca, a nie armia członków. Funkcje prezesów będą pełnione społecznie. A etatowy aparat? Będzie, jeśli organizacja zarobi sobie na ten cel pieniądze. Statut zezwala nam na prowadzenie działalności gospodarczej. Na razie wszyscy etatowi pracownicy ZSL dostali wypowiedzenie pracy, nawet kobiety w ciąży.

Niezależnie od działań organizacyjnych będziemy prowadzić rozmowy z innymi nurtami ruchu ludowego, by utworzyć jedną silną partię chłopską. Przed Kongresem ZSL był bezpardonowo krytykowany. Ci, którzy nas atakowali, zapomnieli, że mieliśmy prawdziwą bazę na wsi, że zawsze się wzajemnie szanowaliśmy i mamy swój honor. Ataki nie rozbiły naszych szeregów, lecz nas skonsolidowały. Nie pozwolimy się obrzucać epitetami. Przeżywamy trudny okres w historii kraju i ruchu ludowego. Robimy rozrachunek z własnym sumieniem. Na pewno wielu ludzi wyrzeknie się polityki. Liczymy jednak zarówno na doświadczonych weteranów naszego ruchu, jak na młodych i prężnych, którzy stanowili znaczną grupę delegatów na Kongres.

Najważniejsze jest to, że ruch ludowy się odrodził, ma demokratyczny statut i ambitny, wybiegający ku przyszłości program. Sięgamy korzeniami do dwóch wielkich wartości ideowych: niepodległego i suwerennego państwa polskiego oraz godnego miejsca chłopów w społeczeństwie i państwie.

Notował ROMAN KOSTANECKI

Piszą do nas

Mgr **Paweł Stefanowski** występujący w imieniu Obywatelskiego Kręgu Łemków w Bielance nadesłał kopie dwóch listów otwartych. Pierwszy — adresowany do Sejmu i Senatu PRL oraz do ministra ochrony środowiska — postuluje zwrot lasów ich hipotecznym właścicielom. Wcześniejsze wystąpienie w sprawie wstrzymania ścinki drzew w łemkowskich lasach nie doczekało się odpowiedzi ze strony Ministerstwa Rolnictwa i Leśnictwa.

W tej sytuacji Obywatelski Krąg Łemków pragnie, aby arbitrem w tej sprawie były: Senacka Komisja Praw Człowieka i Praworządności oraz Sejmowa Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Stronami natomiast byłyby: Obywatelski Krąg Łemków z jednej i Minister Ochrony Środowiska, Leśnictwa i Zasobów Naturalnych (z udziałem wojewodów: krośnieńskiego, nowosądeckiego, przemyskiego i rzeszowskiego) — z drugiej strony.

Drugi list — adresowany do łemkowskiej i polskiej inteligencji — zwraca uwagę na krzywdy, jakie były udziałem Łemków w latach czterdziestych. Przede wszystkim jednak zawiera postulat uchylenia dekretu z roku 1949 o konfiskacie mienia oraz domaga się rehabilitacji Łemków i Bojków.

Przy okazji dziękujemy za zaproszenie do Bielanki. Jeśli do postulowanych negocjacji dojdzie, prosimy o wiadomość.

● Czytelniczka ze Słowikowej (nazwisko do wiadomości redakcji):

Dojeżdżam do szkoły już cztery lata, dlatego funkcjonowanie i obsługę PKS znam dokładnie. Są oni niekulturalni, ale zachowaniem w dniu 5 grudnia br. przeszli siebie samych. Tego dnia autobus relacji Nowy Sącz-Siedlce z godz. 13.10 został odwołany, następny — o godz. 14 — nie odjechał z powodu... zbyt dużej liczby pasażerów. Wniosek o odwołanie kursu zgłosił kierowca. Kiedy poprosiłam dyżurnego ruchu o książkę skarg, wniosków i zażaleń — kategorycznie mi odmówił. Po stanowczym ponowieniu prośby poprosił o wejście do dyżurki. Nie mogłam jednak spokojnie wpisać swej uwagi, gdyż kierowca powracający tym kursem do domu, krzycząc próbował podać mi treść uwagi. Dyżurny ruchu zażądał dowodu osobistego, wcześniej pchnął moją mamę i powiedział: nie wypuszczajcie ich! Wychodząc usłyszałam słowa jednego z kierowców: — dziewczyny, wy jesteście dobre, ale do stosunku!

Czy to wymaga komentarza?

Od redakcji: Prosimy dyr. Rośka o zbadanie, czy krytykowane przez naszych czytelników niekulturalne zachowania nie dotyczą przypadkiem ciągle tych samych kierowców?

● Mgr **Władysław Krok** w imieniu dyrekcji sądeckiego oddziału PKS:

W odpowiedzi na list Czytelniczki z Wojnarowej, którego fragment zamieszczono w rubryce „Piszą do nas" z dnia 3. 12. 89 uprzejmie wyjaśniamy, że zakłócenia w komunikacji wynikają głównie z braku taboru (w ilości 10 % stanu posiadania) oraz z przyczyn atmosferyczno-drogowych. Pomimo że linia autobusowa Nowy Sącz-Wojnarowa (i do dalszych miejscowości na tej trasie) przebiega przez stosunkowo równinny teren, to częste są przypadki nieprzejezdności dróg (zaspy i gołoledź) na innych liniach w terenie górzystym, co powoduje pozostanie autobusów na trasach, a tym samym ich brak do obsługi kolejnych kursów.

Przypadki braku uprzejmości ze strony niektórych kierowców, jak i ich zaniedbań w zakresie utrzymania czystości autobusów, są każdorazowo surowo karane z chwilą ich ujawnienia. Prowadzone są ponadto systematyczne narady produkcyjne i szkolenia służby ruchu dla poprawy kultury obsługi podróżnych i jakości usług.

Pragniemy sprostować opinie o wysokich cenach za przejazdy autobusowe zarówno w komunikacji pospiesznej jak i zwykłej, oraz za bilety miesięczne. Stwierdzamy, że ceny te w stosunku do wszystkich artykułów systematycznie spadają, nie gwarantując przedsiębiorstwu korzystnych relacji ekonomicznych, co również ma wpływ na brak środków na zakup taboru (pomimo częściowej dotacji państwa tylko do komunikacji zwykłej), a tym samym na pogorszenie naszych usług. Dla przykładu podajemy tylko, że cena biletu miesięcznego w podanej relacji (do Wojnarowej) jeszcze 10 lat temu równała się cenie 12 kg cukru, podczas gdy obecnie równa się 6 kg, w tej samej relacji cena biletu jednorazowego stanowiła wartość 1 kg — dzisiaj natomiast stanowi cenę 10 dkg. Porównania do innych artykułów (wędlin, nabiału, chleba) zarówno spożywczych jak i przemysłowych, wykazują spadek około dziesięciokrotny cen za przejazdy autobusowe PKS.

Jest rzeczą oczywistą, że podejmujemy wszelkie środki dla poprawy trudnej sytuacji komunikacyjnej — przepraszając wszystkich pasażerów za kłopoty związane z korzystaniem z naszych usług.

● Pan **Julian Luliński** z Nowego Sącza ponownie krytykuje Okręgową Spółdzielnię Mleczarską:

Mleko oddawane przez rolników na osiedlu Poręba Mała jest zaliczane przez cały miesiąc do klasy pierwszej i tak wpisywane do „książeczki dostawców". Natomiast na liście płac klasa pierwsza figuruje tylko do połowy miesiąca... Takie postępowanie jest moim zdaniem karalne. Co się dzieje z pieniędzmi, które pozostają w Spółdzielni? Dostawcy mleka żądają wyjaśnienia powyższej sprawy i wyrównania im krzywd.

● Pani **Maria Kapłon** z Rabki:

W Rabie Niżnej od dwóch lat tworzy się na jezdni zimową porą spore wylewisko wody. Jest to powodowane bezmyślnością jednego z gospodarzy, który rów wodny zastąpił dwoma belkami, i ta woda odbija na jezdnię, tworząc garby (usuwane już w tym roku przez służbę drogową). Jest dopiero początek zimy, dlaczego przez czyjąś lekkomyślność toleruje się zagrożenie na drodze? Moim zdaniem wystarczy te dwie belki usunąć, a woda zamiast na jezdnię pójdzie pod most. Niechże służba drogowa zrobi to natychmiast, nie czekając na jakąś poważną kolizję.

● Mgr inż. **Stanisław Sieciechowicz,** wiceprezes zakopiańskiego „Społem" w odpowiedzi na notatkę z 3 grudnia:

Zmniejszenie sieci detalicznej nastąpiło na skutek realizacji uchwały Rady Narodowej o uchyleniu publicznej gospodarki lokalami użytkowymi. W związku z powyższym Spółdzielnia nasza zgodnie z tą uchwałą i obowiązującym prawem przekazuje sklepy uprawnionym prywatnym właścicielom, którzy chcą zakończyć z nami współpracę. Niemniej, jesteśmy otwarci na wspólne działania gwarantujące korzyści dla obydwu stron.

Podając te fakty, przepraszamy naszych klientów za utrudnienia związane z zakupem podstawowych artykułów spożywczych — lecz nie PSS „Społem" w Zakopanem było inspiratorem podjęcia decyzji w zakresie gospodarki lokalami. Spółdzielnia nasza oferuje przekazanie sklepów spożywczych na bardzo dogodnych warunkach na ajencję. Informacji udziela Dział Spraw Prac. PSS „Społem" Zakopane, ul. Krupówki 41, tel. 34-64.

KACik ppłk. Glińskiego

Obaj panowie przyszli do pracy w nastroju wczorajszym. Wypili po urzędniczej herbatce, lecz kac-okruta nie chciał ich opuścić. Wiedzieli z życiowej praktyki, że najskuteczniejszym lekarstwem na takie dolegliwości jest klin — najlepiej piwko, rozchodzące się błogo po przepalonym wnętrzu. Musieli jednak rozłożyć papierki i udawać, że są zapracowani niemiłosiernie, gdyż kierownikowi przydarzył się tego dnia zły humor, a w takich przypadkach lepiej mu w drogę nie wchodzić. Wreszcie około jedenastej atmosfera się poprawiła. Kierownik gdzieś się zawieruszył, a obaj panowie znaleźli powód, by wyjechać do miasta.

Z dzielnicy Gorzków do centrum Nowego Sącza jednak daleko. Nic więc dziwnego, że samodzielny referent Marek postanowił, że pojedzie własnym „maluchem", by niepotrzebnie płuc i nóg nie nadwerężać. Wspólnie z nim w podróż ku zbawczemu piwku wybrał się instruktor — pan Bolek. Gdzie byli — historia i ludzie dotychczas milczą. Z akt sprawy wyczytać jedynie można, że pan Bolek w knajpie kategorii podrzędnej zakupił piwko „na wynos".

Pan Marek spod knajpy ruszył dziarsko i bez żadnych perturbacji przejechał ponad kilometr, aż dotarł na ulicę Jagiellońską, gdzie ruch jest duży. Tuż przed samochodem pana Marka jechała na rowerze jakaś kobieta. Kierowca „malucha" włączył, najzupełniej prawidłowo, kierunkowskaz i przystąpił do (jak to się fachowo nazywa) manewru wyprzedzania. Coś jednak tego dnia było u niego na bakier z oceną odległości, strona prawa poplątała mu się z lewą — i w rezultacie najechał na rowerzystkę, powodując jej upadek. Sytuacja wyglądała poważnie. Poszkodowana kobieta doznała paru widocznych obrażeń. Zrobiło się zbiegowisko. Większość zgromadzonych zaczęła udzielać pomocy lub przynajmniej dawać dobre rady. Korzystając z zamieszania, czmychnął najpierw pieszo pan Bolo, potem po angielsku z miejsca zdarzenia oddalił się swoim „maluchem" pan Marek. Na szczęście ucieczkę tę zauważyli taksówkarz Józef N. i kierowca jednego z samochodów, Eugeniusz S., więc samorzutnie zapoczęli szukać uciekinierów. Najpierw Józef N. wskazał funkcjonariuszom milicji pana Bolka, który niby niczego nie świadom defilował krokiem chwiejnym po sąsiedniej ulicy. W tym czasie Eugeniusz S. zlokalizował miejsce postoju „malucha" i zrobił zasadzkę na właściciela. Pojawił się on wkrótce, łatwo odgadnąć w jakim stanie. Usiłował jeszcze uruchomić swój pojazd, lecz dopadnięto go i obezwładniono. Wypytywany o przebieg wypadku oświadczył, że nic nie wie. Jego bełkotliwe wynurzenia stały jednak w jawnej sprzeczności z tym, co widoczne było na klapie bagażnika i reflektorze. Potem zmienił zdanie i oznajmił, że winien pan Bolek — tu użył dosadnego określenia. Stan kierowcy Marka najlepiej oddaje wynik badania zawartości alkoholu we krwi, który wyraził się cyfrą 2 i coś tam jeszcze po przecinku.

★

Podobną historię przeżył mieszkaniec Dzianisza — Tadeusz Ł. Wieczorem spotkał się z paczką znajomych i potrunkował srodze. Jak pić to pić, do dna — takie hasło obowiązywało w owym towarzystwie. Impreza przeciągnęła się więc do świtu. Zmęczony Tadeusz Ł. dowlókł się do domu i zwalił na posłanie synka. Wstał koło południa i dla przyzwoitości wziął się za jakieś prace domowe. Udręki cielesne w postaci suszenia w gardle dały jednak znać o sobie. Nasz bohater obrał kierunek na miejscowy bar, gdzie zamówił parę kufelków piwa, które przyniosło mu ulgę w cierpieniach.

Gdy wychodził z knajpy, już zmierzchało. Pokręcił się jeszcze trochę po obejściu i doszedł do wniosku, że warto by się nieco ukulturalnić. Miał na myśli pójście do miejscowej remizy, gdzie odbywała się potańcówka, zwana bardziej z miejska dyskoteką. Po cóż jednak trudzić zmęczone nogi? Tadeusz Ł. wyciągnął „syrenkę" i pojechał na tańce. Trochę potańcował, potem trafił do bufetu (wprawdzie nieoficjalnego, ale ogólnie dostępnego) i tam też trochę wypił.

Władysław S., Andrzej K. i Stanisław S. — uczestnicy tańców widząc, że goście, z uwagi na spóźnioną porę, już ubywa, postanowili wracać do domów. Szli poboczem drogi. W pewnej chwili Stanisław S. oglądnął się i zobaczył jadący zygzakiem, od krawężnika do krawężnika, samochód. Krzyknął i odskoczył w bok. Było już jednak za późno. „Syrenka" potrąciła lekko Władysława S., zaś Andrzej K. znalazł się na masce. Przejechał tak parę metrów i spadł na jezdnię. Kierowca „syreny" nie zatrzymał się.

Stan Andrzeja K. był ciężki. Nieprzytomnego zabrało pogotowie.

Stanisław S. niewiele mógł powiedzieć o pirackim samochodzie. Wiedział jedynie, że była to „syrena". Grupa dochodzeniowa z zakopiańskiego RUSW-u, która przybyła na miejsce wypadku, podjęła niezwłoczne czynności rozpoznawczo-ustalające. Nad ranem trafiono na Tadeusza Ł. i zażądano pokazania samochodu. Tadeusz Ł. wykręcał się zawiłą opowieścią. Samochód zdołał już ukryć. Dotarto jednak do „syrenki". Ślady były widoczne; to — oraz świadomość, że ciężko zranił kolegę — skłoniło go do szczerości. Nie umiał powiedzieć, dlaczego nie zatrzymał się po wypadku. Bo i cóż mógłby odpowiedzieć? Przyczyna była jasna. Wódka, kac, piwo, wódka. Od chwili, gdy na masce samochodu zobaczył człowieka, przejechał jeszcze kilkaset metrów. Potem zatrzymał się i czekał, co będzie. Wreszcie usłyszał sygnał karetki pogotowia. Po kilku minutach syrena odezwała się ponownie. A więc człowiek, którego potrącił, żył jeszcze. Tadeusz Ł. uspokoił się i odjechał.

★

Józef J. wstał grubo przed świtem. Zamierzał pojechać na targ do Mszany Dolnej. Wspólnie z bratem przygotowali szybko wóz do drogi. Przejeżdżali przez Kasinę Wielką, gdy Józef J. najpierw usłyszał szum samochodowego silnika, a potem poczuł, że coś uderzyło w tył jego wozu konnego. Szarpnęło dyszlem, wozem zarzuciło, a koń znalazł się na poboczu. Sprawca uderzenia — samochód marki „żuk" nie zatrzymał się jednak lecz z dużą szybkością odjechał. Józef J., zajęty utrzymaniem konia, nie zwrócił uwagi na numery rejestracyjne drogowego pirata. Gdy koń się uspokoił, Józef J. poszedł obejrzeć straty. Nie były wielkie — złamana deska, rozbita lampka odblaskowa. Na połamanej desce zauważył okruchy czerwonego lakieru. Zżymając się na niefrasobliwość i głupotę kierowcy „żuka", wsiadł na wóz i ruszył. Nie ujechał daleko. Około kilometra dalej został zatrzymany przez kierowcę ciągnika, który powiadomił go, że na drodze leży nieprzytomna, najprawdopodobniej potrącona przez jakiś pojazd kobieta. Józef J. wspólnie z nieznajomym wezwali karetkę Pogotowia Ratunkowego. Niestety — lekarz stwierdził zgon ofiary wypadku.

Wkrótce przybyła grupa operacyjno-śledcza milicji. Na miejscu śmiertelnego potrącenia staruszki znaleziono odpryski czerwonego lakieru wyglądającego tak samo jak ślady na furmance Józefa J. Były też odłamki szkła z reflektorów-halogenów.

Nie dokończono jeszcze milicyjnych czynności w Kasinie Wielkiej, gdy nadszedł kolejny meldunek o wypadku drogowym. W Mszanie Dolnej potrącona została przez samochód dostawczy jadąca rowerem Apolonia R. Na szczęście kobieta nie odniosła groźnych obrażeń, a tylko rower został całkowicie zdezelowany. I tu znaleziono odpryski czerwonego lakieru świadczące, iż w rejon Mszany przemieścił się nieznany pirat drogowy.

Z relacji Apolonii R. wynika, że sprawca wypadku był pod znacznym wpływem gorzałki, gdyż samochód tańczył po drodze. Szeroko zakrojone działania wywiadowcze jeszcze przed południem doprowadziły milicję na podwórko Józefa W. w Lubomierzu. Stał tam mocno sfatygowany czerwony „żuk", na którym gołym okiem dostrzec można było znaczne, świeże ubytki lakieru i uszkodzenia halogenów oraz zderzaka. Właściciel pojazdu spał srodze utrudzony. Po przebudzeniu niezbyt pamiętał swe wczesno-ranne wyczyny.

Dnia poprzedniego Józef W., zgodnie z rodzinnymi zwyczajami udał się do szwagra, który mozolnie wznosił dom mieszkalny. Popracował wydajnie przez dzień cały przy betonowaniu, a wieczorem wspólnie z innymi zasiadł przy suto zastawionym stole, gdyż pewien etap budowy został zakończony i fakt ten należało uczcić. Wystartowano ostro. Józef W., choć w kieszeni miał kluczyki od „żuka", w tyle nie zostawał. Gdy wypito już wszystko, przyszła pora opuszczenia miejsca pracy i zabawy. Józef W. zaproponował, że wszystkich poodwozi do domów. Ofertę przyjęto. Po uporaniu się z tym czynem społecznym Józef W. powrócił do sąsiada szwagra, który miał wobec niego jakieś dawne zobowiązania. Sąsiad, człowiek honorowy, wyciągnął oczywiście półlitrówkę. Potem następną... Pito długo w noc. Potem Józef W. zaczął „podróżować" między Lubomierzem a Kasiną Wielką. W trakcie tych pirackich slalomów spowodował trzy wypadki. Cudem nie doszło do następnych. Gdy energia mu się wyczerpała, poszedł spać. O tragediach, które spowodował, zaczął myśleć dopiero po zatrzymaniu.

Zawiniła wódka

GLINA z NIŻSZYCH SFER

O chorążym **Józefie Wańczyku** z Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Nowym Sączu mówią, że ma nosa i bezbłędnie potrafi wytypować sprawcę przestępstwa. Sądeccy prokuratorzy cenią jego wigor i znajomość ludzkiej psychiki. Józef Wańczyk tak opowiada o swojej trzydziestoletniej pracy stróża ładu i porządku:

— Przypadek zrządził, że zostałem milicjantem. Byłem kowalem w Spółdzielni Metalowej „Dunajec". Zarabiałem 750 zł miesięcznie, zaś w milicji zaoferowano mi 1100 zł. Długo się więc nie zastanawiałem i w kwietniu 1960 roku wstąpiłem do służby. Wysłano mnie na dziesięciomiesięczne przeszkolenie w szkole podoficerskiej. Po powrocie zostałem dzielnicowym, najpierw na Starym Mieście, a następnie w Gorzkowie.

Byłem młodym, ambitnym i odważnym człowiekiem. Całe dnie spędzałem w terenie. Nawet o północy spacerowałem po moście wiszącym nad Kamienicą. W owych czasach dzielnicowi nie mieli aż tyle papierkowej roboty, co obecnie. Dzięki temu znałem wszystkich mieszkańców podległych mi rejonów, a zwłaszcza osoby będące na bakier z prawem. Kiedy zakonnice poskarżyły się, że jacyś dowcipnisie, poprzebierani za diabły, podglądają je włażąc na wysokie drzewa wokół Białego Klasztoru, nie miałem wątpliwości, komu przypisać te wygłupy...

W latach sześćdziesiątych brzegi Kamienicy porastały gęste zarośla, które stanowiły raj dla przestępców i chuliganów (zwłaszcza członków tzw. ZIP). Zdarzały się więc bójki, rozboje, a nawet morderstwa. Dochodziło do brutalnych gwałtów, których ofiarami padały łatwowierne nastolatki. Pewnego razu w tych zaroślach ukrywał się poszukiwany przeze mnie przestępca, dopiero przy pomocy wojska udało się go ująć.

Przy ulicy Marii Konopnickiej mieszkała stara handlara. Zasygnalizowano, że skupuje flizy z budowy Technikum Samochodowego. Kiedy zwróciłem jej uwagę, zamierzyła się na mnie z siekierą. Szybko wziąłem nogi za pas. Po roku okazało się, że zamordowała młodą kelnerkę z baru „Turystycznego", a zwłoki usiłowała spalić w piecu. Kiedy się o tym dowiedziałem, włosy stanęły mi dęba...

Na początku lat sześćdziesiątych Komenda Powiatowa MO miała tylko jeden samochód i to raczej do celów reprezentacyjnych. Szarzy funkcjonariusze chodzili pieszo lub jeździli na rowerach. Dzisiaj też nie jest lepiej: RUSW ma tylko jeden radiowóz, zresztą milicyjnym „fiatom" czy „polonezom" sporo brakuje do samochodów, jakimi poruszają się przestępcy.

Prowadziłem wiele spraw, trudno wszystkie opowiedzieć. Jedna najmocniej utkwiła mi w pamięci. Zimą 1962 zmarł w kinie, podczas nocnego seansu, mężczyzna. Obsługa wywlokła trupa z sali i wezwała milicjanta, którym — na swoje nieszczęście — byłem ja. Nikt specjalnie nie kwapił się z pomocą, zarzuciłem więc zwłoki na plecy i wyniosłem na ulicę. Akurat przejeżdżał jakiś „żuk". Udało mi się więc odwieźć nieboszczyka pod cmentarz, następnie znów wziąłem go na plecy i zaniosłem pod kostnicę. Zanim ją otworzono, spędziłem najbardziej upiorne godziny w swoim życiu: północ, ciemno, skrzypiące drzewa i towarzystwo nieboszczyka.

Często mojemu życiu zagrażało niebezpieczeństwo. W Łososinie Dolnej oberwałem butelką w głowę. Podczas zatrzymywania podejrzanych też trzeba się nieraz z nimi naszarpać, a co człowiek usłyszy pod swoim adresem to jego... Rzadko nosiłem przy sobie broń, ale pałkę czy miotacz gazu — tak.

Pod koniec lat sześćdziesiątych przeniesiono mnie na wieś. Przez cztery lata byłem posterunkowym w Chełmcu, potem komendantem w Łososinie Dolnej, od 1972 do 1983 roku pracowałem w Podegrodziu, a teraz jestem starszym inspektorem w sekcji dochodzeniowo-śledczej RUSW.

Z perspektywy lat widzę, jak bardzo różnią się od siebie wieś i miasto. Na wsi ludzie wszystko o sobie wiedzą, milicjant nie czuje się intruzem i łatwiej mu pracować sprawę. W mieście ludzie mniej się sobą interesują. Są wygodni, nie mieszają się do cudzych spraw, by nie napytać sobie biedy. Prowadziłem nie tak dawno sprawę zabójstwa w biały dzień młodego chłopaka w okolicach restauracji „Stylowa" w Sączu. Świadków było sporo, ale nie zgłosił się żaden naoczny. Sprawca pozostaje więc na wolności.

Na wsi niewiele da się ukryć przed oczami sąsiadów, którzy często wcześniej niż milicja znają nazwisko złodzieja czy mordercy. Wśród spraw, jakie prowadziłem, zdarzały się kradzieże, oszustwa, pomówienia, pyskówki, sąsiedzkie waśnie. Były także morderstwa, na przykład podpalenie w Olszanie, w wyniku czego zginęło 6 osób. Byłem na miejscu zdarzenia, widziałem tlące się jeszcze zwłoki. Tego widoku nie zapomnę do końca życia. W rok później także w Olszanie, w przysiółku Budzyń, mąż zamordował swoją — młodszą o 33 lata — żonę, a zwłoki usiłował ukryć pod stertą liści. Morderca zmarł w Kobierzynie. Jako kurator sądowy opiekowałem się sierotami po tych nieszczęsnych rodzicach.

Kuratorem jestem od jedenastu lat. Ta praca nie zawsze daje satysfakcję, bo kto raz zejdzie z prostej drogi, niełatwo daje się nawrócić. Zresztą są problemy ze znalezieniem pracy dla osób, które kiedyś weszły w konflikt z prawem. Przedsiębiorstwa boją się ich, chcą uczciwych. Ponadto większości „niebieskich ptaków" czy recydywistów nie zależy na stałej pracy. Znam przypadek człowieka, który ma już 8 dzieci (najstarsze chodzi do podstawówki), a wcale nie chce pracować, woli żyć z zapomóg. Załatwiliśmy mu zajęcie stróża. Wytrzymał trzy dni i powiedział, że nocą chłop powinien spać przy swojej babie, a nie pracować...

Pasożytów, byłych kryminalistów — niestety — jeszcze przybędzie po amnestii. Obserwuję, że następuje liberalizacja prawa, nacisk na stosowanie tzw. kar wolnościowych. Wielu ludzi obawia się jednak, czy nie spowoduje to wzrostu przestępczości, czego niepokojące objawy już obserwujemy. Rozwiązano ORMO. Z pewnością wiele przemawiało za takim krokiem, gdyż w przeszłości różnych ludzi werbowano do pracy w jego szeregach. Uważam jednak, że poddając totalnej krytyce ORMO skrzywdzono wiele osób, które społecznie i bezinteresownie pomagały nam.

Wokół naszej pracy narosło także wiele nieporozumień, mówi się o przywilejach i krociowych zarobkach. Fakt — i w naszych szeregach trafiały się czarne owce; przyjmowano do ZOMO przypadkowych młodych ludzi, bez zasięgania o nich szczegółowych informacji. Nie można jednak wszystkiego potępiać w czambuł. Milicja jest niezbędna, choćby po to, żeby obywatele czuli się bezpieczni w swoich domach i na ulicy. Nas nie trzeba kochać, ale też nie można nienawidzić, bo to nikomu nie przyniesie korzyści.

DANUTA BINEK

STANISŁAW GLINKA

OBYCZAJE

Jadwiga K. jest wdową od wielu lat. Siedzi naprzeciw mnie w fotelu, napięta. Jej prawa ręka niespokojnie ugniata oparcie fotela. Siwe włosy przypominają polerowane srebro. Ułożone skąpymi pasmami, wydają się być młodsze niż twarz zorana latami trudu i zmartwień. Niebieskie źrenice, zamglone, zmętniałe, ożyły nagłym niepokojem, kiedy zapytałem o syna.

— Syna straciłam. — I zaraz dodała: — Nie wiem, czyja to wina, ale chyba moja...

I trysnął z niej potok słów ciężkich od żalu i wyrzutów. Mówiła, że Wiktor był dobrym chłopcem i początkowo niczym się nie odróżniał od innych dzieci. Może tylko tym, że miał krótkie i zwinne palce, które lubiły liczyć, proszę pana, a to kamyczki, a to patyki lub kartki zeszytów i książek. — Nie, pisać nie lubił — powiedziała. — Ani czytać. Tylko liczyć...

Spytałem, czy Wiktor lubił pieniądze.

— Tak — odparła bez namysłu. — Oj tak! Nawet otrzymane cukierki czy inne słodycze, proszę pana, sprzedawał. Sam nie zjadł, tylko innym dzieciom odstępował za pieniądze.

Nie wie, mówiła, co się z nim potem stało na punkcie tej przeklętej mamony, bo przecie wiele dzieciaków za młodu lubi składać pieniążki. Ot, tak sobie. Dla zabawy. Ale kto by pomyślał, że dla pieniędzy wyrzeknie się matki, ojcowizny czy jak pan woli — ojczyzny, ba, Boga swojego!

Mógł przecie zostać na miejscu, postawić dom na działce, mówiła, którą dostał ode mnie. Mógł się tu ożenić. Miał przecie dziewczynę... A jeżeli już tak bardzo chciał tych zielonych kusicieli trochę zarobić, to mógł, proszę pana, pojechać do tej osławionej Ameryki, do brata mojego, jak mówię, uzbierać pieniążków i wrócić, a nie rzucać tu panne piękną i żenić się tam z jakąś Niemką, niech ją, chadrę, i przechodzić na jej wiarę, tę, no... ewangelicką — wstyd!

— A ja, no cóż — powiedziała. — Mąż mnie odumarł, gdy Wiktor był jeszcze malutki. Sama zostałam z jedynakiem...

Załkała.

★ ★ ★

I tak, słowo po słowie, powstawał przede mną coraz pełniejszy obraz Wiktora K., człowieka, który miał rysy twarzy drobne, oczy szare z błyskiem zuchwałości, często zimna, jakie wkradało się w nie z biegiem lat coraz bardziej. Miał włosy koloru jesiennych liści kasztana, układające się nad czołem w wachlarzyk, nazywany suchym wilkiem. No i miał krótkie palce, które ze zwinnością automatu potrafiły liczyć banknoty, gdy się ich z czasem dorobił.

Wiktor dorastał szybko i zdrowo. Z pilnością i oddaniem przeszedł przez obrządki dobrego katolika: komunię, bierzmowanie... Uczęszczał do kościoła chętnie i wykonywał wszystko, co księża nakazywali. Jednak w tę, początkowo żarliwą, wiarę stopniowo zaczął wkradać się chłód, może nawet wyrachowanie...

— O, chociażby sprawa krzyżyka — powiedziała pani Jadwiga — który otrzymał przy chrzcie.

Krzyżyk był ze złota — i początkowo Wiktor całował go z wiarą, nabożnie, a potem, gdy skończył piętnaście, może szesnaście lat — tylko dlatego, że był złoty.

W wieku dwudziestu trzech lat, po odsłużeniu wojska, pojechał do Ameryki, żeby zarobić trochę zielonych na budowę domu. Pojechał więc do tej Ameryki, rok było wszystko w porządku, a potem — jak grom z jasnego nieba — przyszła wiadomość: żeni się z jakąś tamtejszą panną.

Żenię się mamo, napisał Wiktor K. w liście krótkim, zdawkowym. Obiecał, że wszystko wnet wyjaśni, ale zamiast tego — nastąpiło długie milczenie.

— I ja milczałam — powiedziała pani Jadwiga. — Nie mogłam się odezwać — powiedziała. — Może to urażona ambicja sprawiła, może co innego, nie wiem, ale nie potrafiłam wziąć za pióro... O szczegółach zawiadomił mnie brat. Napisał, że antykryst Wiktor poleciał na pieniądze jakiejś Niemki z pochodzenia, jakiejś Margarit Wolf, pisał, córki właściciela stacji benzynowej. Takiej większej stacji, z kawiarenką. Tłumaczyłem mu, pisał, dziesięć razy, sto razy, prosiłem, namawiałem, żeby tego nie robił, że ma czas, przypominałem też o dziewczynie w Polsce, a jakże. Wszystko na nic! Mówiłem, przestrzegałem, pisał, że zdradza kraj i wiarę — na nic! Pełny portfel ponoć Wiktor wyciągnął, proszę pana, i klepiąc go — gadał, że tylko to się liczy, wujku, tylko to!...

★ ★ ★

Pani Jadwiga nie mówi, ona wypłakuje słowa. A ta niespokojna ręka nie przestaje nerwowo ugniatać poręczy fotela. Jej niebieskie oczy jeszcze bardziej zmętniały i wydaje się, jakby poszukiwały w kątach pokoju kogoś trzeciego, kogo przywołała wyobraźnia. Ale jest to trud jałowy, kaleczący tylko matczyne serce. Bo przecież Wiktor daleko. Nie wiadomo, kiedy odwiedzi kraj: i nie będzie to już ten sam syn, jakiego pamięta matka.

Przez chwilę milczeliśmy, a potem pani Jadwiga powtórzyła, jak gdyby do samej siebie:

— Tak, proszę pana, straciłam swoje jedyne dziecko. — I dorzuciła: — Z własnej winy, bom go w życiu źle pokierowała. — I nagle pani Jadwiga ożyła: — Ojej, podam herbatę — powiedziała z troską.

Kiedy wyszła do kuchni, odetchnąłem głęboko i poczułem gorzki zapach. Spojrzałem w okno — tak, krzew jaśminu rósł tuż pod ścianą domu, obsypany białym kwieciem.

Powrót do Polski

Pochodzi z Pasierbca koło Limanowej. Od lat mieszka nie opodal, w małej wiosce Bałażówka. Zanim jednak **HELENA GUZIK** znów osiadła w rodzinnych stronach, jak wielu Polaków podczas wojny, musiała przejść długą wędrówkę po świecie.

— Mam 67 lat. Rzadko wspominam młodość. Zeszła mi na tułaczce i ciężkiej pracy. Poznałam strach i głód. A jeszcze rok przed wojną wszystko wróżyło dobrą przyszłość. Mieliśmy w Pasierbcu gospodarstwo. Gdy ojciec zarobił w Ameryce trochę dolarów, zamarzył o kupnie wielkiego pola. Tutaj w okolicy chętnych do gospodarzenia było więcej niż ziemi. Rodzice postanowili więc wyjechać na wschód, gdzie koło Zaleszczyk osiedlało się wielu rolników z przeludnionego południa kraju. Na ojcowiźnie została najstarsza siostra, Zofia.

Zamieszkaliśmy w osadzie Worwolince. Ledwie ojciec skończył budować dom, wybuchła wojna. Pamiętam, że zima 1939 roku była ostra. Na początku lutego, pewnej nocy przyszli do wioski radzieccy żołnierze. Kazali wszystkim prędko się pakować. Tłumaczyli: — *Tutaj będzie przebiegał front. Musimy was wywieźć w bezpieczne miejsce.* Każdy zabierał co miał pod ręką — trochę ubrań i żywności. Matka wzięła także tobół z pościelą. Błogosławiliśmy później jej przezorność. Wsadzono nas z kilkuset innymi ludźmi do towarowych wagonów kolejowych i powieziono. Nikt nie wiedział dokąd. Na większych stacjach dawano nam *kipiatok* i pajdy chleba. Stłoczeni na słomie, brudni i wymęczeni jechaliśmy może tydzień, może więcej. Wreszcie pociąg zatrzymał się na pustkowiu. Przesadzono nas na konne wozy. Wielu musiało iść pieszo. Zagłębiliśmy się w lasy Syberii.

Koło wioski Pojma, nad rzeką Birusą, stały baraki. Za nimi cmentarzysko, na którym chowano dawniej katorżników. Zamieszkałam z rodzicami i czwórką rodzeństwa w jednym z baraków. Gnieździliśmy się wraz z dwudziestu rodzinami. (Ze znajomych pamiętam tylko Musiałów z Tymbarku.) Na środku izby stał piec z odkrytym paleniskiem. Ogień dawał trochę ciepła i oświetlał wnętrze. Cieńkie drewniane ściany nie chroniły przed zimnem, a przy 40 stopniach mrozu zamarzał nawet oddech. Ludzie zaczęli chorować na tyfus i czerwonkę, zmorą były pluskwy. Chodziliśmy codziennie do pracy w lasach. Mężczyźni ścinali drzewa, kobiety i starsze dzieci piłowały gałęzie i korowały pnie. By dać znać komukolwiek, iż żyjemy, wycinaliśmy na drewnianych balach swoje nazwiska.

Mijał dzień za dniem, każdy taki sam. Chodziliśmy wiecznie głodni, w strachu czy wyrobimy normę, bo wówczas nie dostaniemy nawet chleba przydzielanego na kartki. Gdy padł w lesie któryś z koni zwożących drewno, krasiliśmy zupę-wodziankę końskim mięsem. Latem było łatwiej. Zbierało się grzyby, jagody, łowiło ryby. Właściwie nie pilnowano nas. Kto mógłby uciec z tego pustkowia i dokąd, skoro nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy. Otaczały nas mokradła i rzeki. Muszę przyznać, że biedni tutejsi ludzie odnosili się do nas życzliwie. Pomagali, ofiarowali czasem żywność, choć sami nie mieli co jeść.

W 1941 roku dowiedzieliśmy się, że możemy opuścić osadę. Rząd radziecki zawarł porozumienie z generałem Sikorskim, powstawała polska armia i wszyscy Polacy otrzymali amnestię. Niektórzy młodzi mężczyźni powędrowali zaraz do oddziałów Andersa. Nie wiem, czy dotarli. Wielu zostało jednak na Syberii i pracowało w trochę lepszych warunkach w tutejszych kołchozach. W 1943 roku zmobilizowano pozostałych mężczyzn i potem — także kobiety. Nie mogli iść tylko chorzy, starsi i obarczeni małymi dziećmi. Wraz z siostrą Anną postanowiłyśmy wyruszyć do Sielc nad Oką. Z bólem serca pozostawiałyśmy schorowanych rodziców i młodsze rodzeństwo. Podróż — piechotą, na tratwie i przygodnych wozach trwała długo. Nie zapomnę wzruszenia na widok polskiego orła na bramie, witającego w Sielcach ochotników, którzy ściągali ze wszystkich stron. Otrzymałyśmy mundury (na co dzień i wyjściowe), uczono nas strzelać i obsługiwać urządzenia nadawcze. Obie znalazłyśmy się w służbie łączności. Miałam siedemnaście lat, siostra o rok mniej.

Moja wojaczka nie trwała długo. Z początkiem kwietnia 1944 roku dotarłyśmy z Armią pod Kijów. Tutaj rozpętało się piekło. Niemieckie bombowce zaatakowały lewy brzeg Dniepru. Dzielnica Kijowa — Darnica stanęła w ogniu. Zapaliły się cysterny z ropą naftową, płonęły składy pociągów z bronią i amunicją. Słyszałam tylko huk i krzyki ofiar. Zginął mój dowódca, porucznik Kurczewski oraz kapral Rogowski. Zgubiłam siostrę i koleżanki. Odłamek pocisku zranił mnie w kolano. Nie chciałam iść do szpitala. Nalot trwał, obawiałam się więc, że mogę zostać pod gruzami budynku. Zresztą, było tak wielu rannych, że wszyscy nie mogli się pomieścić. Nasi chłopcy z artylerii przeciwlotniczej zdołali zestrzelić kilka niemieckich samolotów.

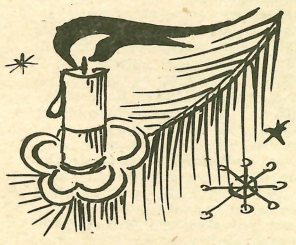

Rana nie pozwoliła mi iść dalej. Zostałam w Kijowie i gdy przyszłam do siebie, zamieszkałam u dwojga staruszków pod miastem. Traktowali mnie jak córkę, chcieli, bym została z nimi już na stałe. Tymczasem wojna się skończyła. Jak dowiedziałam się później, siostra dotarła z polskim wojskiem do Warszawy. Przez Czerwony Krzyż odnalazła ojca i rodzeństwo, potem także mnie. Matka nie doczekała wyzwolenia. Zmarła na Syberii. Nie mogę nawet złożyć kwiatów na jej grobie. Z dziewięcioosobowej rodziny Musiałów przeżył tylko syn Józef.

Moja siostra Anna osiedliła się w Połczynie-Zdroju. Do niej zjechaliśmy wszyscy po powrocie ze Związku Radzieckiego. Tam poznałam przyszłego męża, Piotra Guzika z Bałażówki. Jakiś czas mieszkaliśmy w Głuszycy koło Wałbrzycha, potem (już z dwójką dzieci) wróciliśmy pod Limanową. Nie mogłam nadrobić straconych lat, cieszyłam się jednak tym co miałam: rodziną i wolnością. Wybudowaliśmy dom, mąż dokupił trochę ziemi i założył szkółkę krzewów owocowych. Urodził się drugi syn — Andrzej. Po ojcu odziedziczył smykałkę do ogrodnictwa, skończył szkołę w Mszanie Dolnej i zajął się uprawą krzewów. Niestety, zmarł mój ojciec (tak jak marzył — na swojej ziemi), nie żyje już mąż. Nie zostałam jednak sama. Mieszkam z Andrzejem, starszy — Janusz gospodarzy w sąsiedztwie. Odwiedzam siostry i córkę Krystynę mieszkającą z rodziną w Lubieńcu, dochowałam się trojga wnucząt. Przed dwoma laty mieszkańcy Bałażówki wybrali Andrzeja sołtysem. Niedawno we wsi wybudowano most, przybywa nowych ładnych domów.

Czasem wspominam tamte trudne lata w tajdze, ludzi, którzy odeszli i miesiące spędzone w wojsku. Wiele dziewcząt z batalionu imienia Emilii Plater zginęło w pierwszych walkach, były i takie, które doszły aż do Berlina. Szkoda, że zbyt rzadko się o nich mówi i pamięta.

Notowała LUCYNA KASZUBA

Fot. ANTONI ŁOPUCH

TADEUSZ STUDZIŃSKI

MAŁY ZBÓJNIK

Późnym wieczorem dowiedziałem się przez Zawieruchę, że w Suchej Horze na Słowacji jest kupiec na cztery konie. Zapłaci lepiej niż przemytnik z Nowego Bystrego, któremu sprzedaliśmy parkę myszatych arabków. Cena po tamtej stronie jest lepsza, bo kupiec nie ryzykuje z końmi na granicy. Zawierucha miał lichą gazdówkę w Chochołowie. Siedziało z nim na kupie trzech dorosłych braci. Wszyscy żyli z przemytnictwa. Mieszkali dogodnie, bo prawie przy moście na Czarnym Dunajcu, którędy prowadził trakt z Chochołowa do Słowacji. Półtora kilometra za mostem szła w poprzek granica państwowa nie zmieniona od 1919 r. Komora celna była kilometr dalej, w Suchej Horze. Przed marszem do Słowacji musieliśmy zabrać z Cichego cztery araby.

Wieś już spała. Na polu zamieć. Z wyprowadzeniem pierwszej pary poszło gładko. Góra pamiętał miejsca wszystkich końskich melin. Ogiery prowadziliśmy na linewkach z Bielanki. Ukryliśmy konie w małym zagajniku nad potokiem, gdzie trochę mniej wiało. Zostało z nimi kilku naszych chłopców. We trzech z Pumą i Górą poszliśmy po dwa następne źrebaki. Żeby nie budzić psów zboczyliśmy z drogi poza opłotki, na prawym brzegu potoku i na przełaj, polami brnęliśmy pół kilometra w śniegu, czasem po pas. Gazdówka stała na uboczu. Góra ominął chałupę i wlazł wprost do obórki, zamkniętej tylko na skobel. Błysnął latarką: konie stały, więc wszedł głębiej, żeby im założyć za pysk linewki.

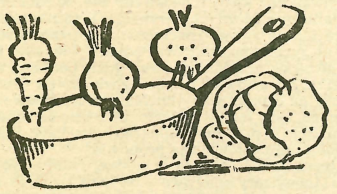

Tymczasem Puma zapukał do okna. Otworzył gospodarz. Weszliśmy chętnie, bo dużo śniegiem złośliwie po całym podwórku. W środku izby kopciła się wisząca lampka. Poznałem górala po czarnych kudłach na głowie. Był w lnianej siermiędze, to jest w koszuli i portkach, jakie tam noszą po domu, na polu, do obrządku żywiny, i w jakim śpią. Gaździnka, również brunetka i także w „umownie" białej bieliźnie, trzymała bachora przy wiotkiej piersi. Do ramion spływały jej rzadkie, przylizane włosy, pachnące naftą. Wyglądała wiedźmowato. Na nasz widok zaczęła zaplatać włosy w cienkie warkoczyki. Oboje z chłopem nie byli już pierwszej młodości, która na biednej wsi jest bardzo krótka. W izbie nędza. Oprócz wyrka, stołu, szafki i kołyski na belce pod sufitem, nie było więcej sprzętów. No, jeszcze kilka zydli na trzech nogach.

— Dobry wieczór, — powiedziałem — zabieramy gaździe oba nasze deresie, co stoją tu prawie tydzień. Czy aby dawaliście im obroku? Czy nie głodowały? Bo dziś muszą mieć siłę do spaceru po śniegu do brzucha. Należy się wam od nas specjalne podziękowanie za opiekę nad konikami...

Przerwałem, bo chłopu oczy stanęły w słup, złapał się za głowę, okręcił po izbie i z tą dziwną, przerażoną twarzą buch plackiem na podłogę przede mną. Cofnąłem się o krok, aż tu kobieta zrobiła ruch, jakby chciała uczynić to samo. Przeszkodził jednak niemowlak ciągnący kolację z matczynego sutka. Więc tylko kucnęła obok rozpłaszczonego męża i postawiła małego przy kolanie.

— Cóż to, za biskupa mnie bierzecie? Podnoście się! — powiedziałem do małżonków.

Chłop jęczał z podłogi, żeby mu nie dziękować „specjalnie", ale darować. Przysięga na wszystkie grzechy, że tych koni nie kradł i niczemu nie jest winowaty. Z oczu gaździny od razu trysnęły łzy. Prostymi słowami błagała, żeby nie robić krzywdy ich maluchowi, gdyż oboje są biedni. Dopiero po dwunastu latach od ślubu Bóg się nad nimi zlitował i dał im pierwszego syneczka. A jej chłop od samego wesela nie potrafił nic cudzego przynieść do chałupy, bo od urodzenia jest za głupi na to, żeby kraść. Na tym kawałku ziemi, na wierchu, nic się nie chce urodzić, ino trochę siana dla krowy. Ona się co dzień modliła, żeby ktoś przyszedł po te konie, bo już sąsiedzi nieraz słyszeli, jak rżą w obórce. Na podziękowanie naprawdę nie zasłużyli...

Zaszło najwidoczniej nieporozumienie. Chłop nas nie poznał, bo kiedy przyjmował araby, zerwaliśmy go ze snu nad ranem i po ciemku rozmawialiśmy z nim przy płocie. I dziś dopiero przy lampce zobaczył nasze twarze. Jędrek, jedyne ogniwo znajomości z gazdą, nie wrócił jeszcze z obory. Nie pomagały wyjaśnienia, że nic złego się nie stało, bo przecież konie nasze, więc o co chodzi?

— Czyście gazdo zgłupieli? Podnieście się! — uniosłem go lekko za koszulę.

Pewnie chłop wziął nas wtedy za opryszków, a obecnie za prawnych właścicieli arabków. Mogło też być i odwrotnie: poprzednio za partyzantów, zgodnie z rekomendacją Góry, a dziś za zbójców, którzy przyszli kraść wojskowe ogiery. W jednym i drugim przypadku przegrywał gospodarz. Albo przed sądem za paserstwo i spółkę w kradzieży, albo przed partyzantami za nasłanie znajomych złodziei. Być może, iż w czasie naszej nieobecności w Cichem stało się we wsi coś takiego, o czym się jeszcze nie zdążyliśmy dowiedzieć.

Gdy małżonkowie klęczeli, Puma przysiadł na trójnogu pod lampą i położył stena na kolanach, a ja nadal próbowałem uspokoić lamentujących biedaków.

Zupełnym kontrastem małżonków okazał się ich czarny maluch. Ani niezwykłe zachowanie się leżącego ojca, ani płacz matki nie poruszyły go zupełnie. Przytrzymywany przez kobietę stał boso z miną tak chmurną, jak dzisiejsza noc i patrzył podpuchłym okiem to na nas, to na automat, który Puma trzymał na wysokości jego nosa. Zerknąłem na karaluszka raz i drugi, bo w zastygłym wyrazie grubych rysów mały czorcik wydawał się okrutnie ponury.

Nagle stała się rzecz piękna. Chłopczyk oderwał rękę od matki i ruszył wolno do Pumy. Z trudem łapiąc równowagę przeszedł dwa metry i schwycił wyciągniętą garścią za muszkę automatu. Jeszcze kilka sekund chwiania... podciągnął się bliżej... i palec drugiej ręki usiłował wkręcić w lufę.

Gaździnka oniemiała. Na jej twarzy zamazanej łzami wykwitł radosny uśmiech.

— O, Jezusie, osiem miesięcy! O Nazareński! — krzyknęła. — Osiem miesięcy dziś skończył i już chodzi!

No i mały rozładował napięcie. Zaśmialiśmy się z Pumą, a w chwilę później coś podobnego do uśmiechu mignęło przez twarz kudłatego ojca. Widocznie obawa o swój los i los rodziny powoli spływała z gazdy, tym bardziej, że wszedł Góra.

— Pochwalony... — powiedział Jędrek.

— Czy teraz dajecie wiarę, że nie będziemy was krzywdować? — spytałem.

— Ano... — odpowiedział góral.

Praprawnuk państwa Wielkomorawskiego sprzed wieków, mieszkający w coraz to innych granicach, używa ciągle słowa „ano", zamiast naszego „tak".

Puma zmrużył oczy swoim zwyczajem i mruczał nad głową dziecka, raz do mnie, raz do małego zdobywcy: — Podoba ci się ta zabawka, co? Oj, źle się tym bawić za młodu, bo będziesz cierpiał... Prawdziwie zbójnicka krew: od razu za lufę... I wie, bajtlok, że gwintowana, bo kręci. Ciebie można poznać z kilometra, żeś chłopak. Taki nie krzyknie choćby go kołem pieścili w Lewoczy, albo pięty smerali ogniem w koszyckiej więźnicy. Żebyś trochę był większy, to poszedłbyś z nami w partyzantkę.

W czasie rozmowy zbójnicki potomek, obojętny na słowa, których nie rozumiał, stał milcząc przy automacie, groźny ciągle, i przeczyszczał lufę paluszkiem. Jego żółtawa buzia bez rumieńca była nadal zasępiona. Matka wyciągała chude ręce, chroniąc go przed upadkiem i coraz ocierała koszulą nowe łzy. Choć kapały z tych samych oczu, co łzy rozpaczy przed chwilą, i choć gorzkie jak tamte — były to chyba łzy szczęścia.

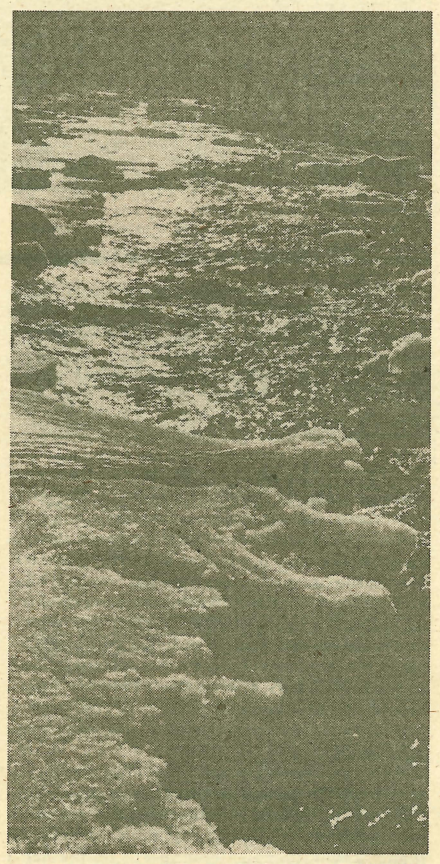

Fot. JULIUSZ JAROŃCZYK

Chłopscy wynalazcy

Wojciech Kułach z Gliczarowa Dolnego (w dawnym powiecie nowotarskim), urodzony w 1812 roku, pracował w kuźni ojca jako pomocnik i sam nauczył się czytać, pisać, rysować. Posiadł też sztukę rzeźbienia w drewnie i kamieniu. Podobno władze powiatowe rozważały, czy nie wysłać go do Wiednia na naukę, ale skończyło się na obietnicach. Mimo to Kułach dotarł do stolicy Austrii. Odezwała się w nim żyłka podróżnicza. Pewnego dnia spakował swój skromny tobołek i pieszo z Gliczarowa udał się do Budapesztu, stamtąd zaś do Rzymu. Popasawszy nieco w Wiecznym Mieście, powędrował do stolicy monarchii austriackiej, gdzie nawiązał kontakty z dostojnikami dworskimi i przez pół roku wykonywał różne prace zdobnicze, a także budowlane w ich siedzibach.

Kułach był niespokojnym duchem. Ciągle chciał wszystko ulepszać. Miał znakomitego partnera w swym bracie Piotrze, młodszym odeń o dziewięć lat, również rzeźbiarzu — samouku i cieśli, wykonującym kunsztowne zegary, meble, broń. Obaj bracia zasłynęli z wytwórni gontów, którą zbudowali na potoku Skrzypne. Miała wymyślone przez nich mechaniczne urządzenie, składające się z frezów profilujących gont oraz piły tarczowej na stoliku. W tym samym budynku Kułachowie uruchomili młyn wyposażony w jeden mlewnik kamienny. Do wytłaczania oleju z siemienia lnianego zbudowano olejarnię — z trzema stępami nożnymi i prasą systemu śrubowego, o śrubach wykonanych ręcznie dłutem z drzewa jaworowego. Zrobili także kilka sieczkarni i żaren obrotowych.

Najsłynniejszym ich wyczynem było zbudowanie czegoś w rodzaju „skrzydeł Lilienthala" czy lotni. Podobno udało im się wzlecieć ponad Tatry i poszybować nad górami.

Ponadto — Wojciech Kułach wykonał ołtarze dla kościołów w Zakopanem, Białce Tatrzańskiej, Jurgowie, Klikuszowej, Szaflarach i Szczawnicy.

Wojciech zmarł w 1897 roku, zaś Piotr — w 1910 roku.

Bracia Kułachowie nie byli jedynymi znanymi w regionie wynalazcami chłopskimi. W Szaflarach działał (urodzony w 1855 roku w Murzasichlu) Maciej Łukaszczyk, pochodzący z biednej rodziny góralskiej. On również sam nauczył się czytać i pisać, a ponadto opanował rzemiosło kowalskie i ciesielskie. Od wczesnej młodości interesowały go różne urządzenia techniczne. W 1875 roku zawarł związek małżeński w Szaflarach, gdzie osiadł i prowadził młyn i kuźnię. Prócz tego konstruował różne urządzenia przemysłowe i usprawniał je. M. in. udoskonalił pług żelazny oraz siekierę ciesielską powszechnie używaną na Podhalu, koparkę do ziemniaków i urządzenie do produkcji gontów, zaopatrując je w osłonę zabezpieczającą przed skaleczeniem.

Łukaszczyk zainteresował się także urządzeniami technicznymi do wyzyskania energii wodnej dla młynów, foluszów i tartaków. Wykonał całą serię takich urządzeń na Podhalu, Spiszu, Orawie oraz Żywiecczyźnie. Jego autorstwa jest również krzyż grunwaldzki mający dziesięć metrów wysokości, ustawiony na szczycie góry Ranisborg koło Szaflar w 500 rocznicę bitwy.

Łukaszczyk, jak to zwykle bywa z wynalazcami, borykał się dość nieskutecznie z problemami codziennego życia. Młyn, który prowadził w Szaflarach, przyczyniał mu wielu kłopotów. Sąsiedzi utrudniali dopływ wody do młyna. Łukaszczyk procesował się z nimi przez całe lata, wskutek czego stracił majątek. Musiał szukać zajęcia poza Szaflarami. Zmarł w wieku 80 lat.

Józef Maciasz był od wyżej wspomnianych chłopskich wynalazców młodszy. Urodził się w 1888 roku w Łopusznej koło Nowego Targu. Od młodości interesowało go wykorzystanie energii wodnej dla celów produkcyjnych. Miał okazję zapoznać się z tymi zagadnieniami jako żołnierz pułku strzelców alpejskich. Blisko Linzu, gdzie stacjonowała jego jednostka, widział zapory i elektrownie wodne. Tak go to zafascynowało, że po powrocie wraz z bratem Franciszkiem wzniósł w Łopusznej młyn, tartak, folusz — wszystko o napędzie wodnym. Niedługo potem uruchomił zaporę wodną i skonstruował turbinę napędzającą generator prądu elektrycznego. Energia ta służyła do uruchomienia młyna, a także zbudowanej przez Maciasza wcześniej wytwórni gontów i heblarni, wiertarki mechanicznej i prasy do wyciskania moszczu oraz przecieru jabłkowego. Urządzenia te znajdowały się w dużej drewnianej hali, oświetlanej również prądem uzyskanym z ujarzmienia energii wodnej.

Józef Maciasz zmarł w 1948 roku. Jego brat Franciszek (straszy o dwa lata) tak przejął się ideami Józefa, że także odkrył w sobie zamiłowanie do wynalazczości i myślał nad udoskonaleniem urządzeń wynalezionych przez brata.

Jak podaje **Henryk Jost**, autor biogramów Kułacha, Łukaszczyka i Maciasza w „Słowniku Polskich Pionierów Techniki" — Franciszek Maciasz skonstruował drewniane sprzęgło — przekładnię umożliwiającą wykorzystanie napędu wodnego za pośrednictwem pędni pasowej do rozmaitych czynności gospodarskich: młócenia, mielenia, rżnięcia sieczki itp. Co ciekawsze — urządzenie to wykonał dłutem z drewna bukowego.

Franciszek Maciasz zmarł w 1955 roku. Część wzniesionych przez obu braci urządzeń uległa zniszczeniu. A le tartak i folusz znalazły się w skansenie w Zubrzycy Górnej na Orawie, aby zaświadczyć o wybitnych talentach konstruktorskich góralskich wynalazców z Łopusznej.

RYSZARD DZIESZYŃSKI

Co czytamy? (5)

Pięć najczęściej pożyczanych książek w roku 1989 — informują bibliotekarze:

Anna Sekuła z Biblioteki Publicznej w Grybowie

Dorośli:

1. Alistair MacLean — *Tylko dla orłów*
2. Mika Waltari — *Egipcjanin Sinuhe*
3. Ken Follett — *Igła*
4. Roj A. Miedwiediew — *Ludzie Stalina*
5. Anatolij Rybakow — *Dzieci Arbatu*

Młodzież:

1. Małgorzata Musierowicz — *Kłamczucha*
2. Karol May — *Róg Rodrigandów*
3. Zbigniew Nienacki — cykl przygód *Pana Samochodzika*
4. Krystyna Siesicka — *Jezioro Osobliwości*
5. Alfred Szklarski — seria przygód Tomka Wilmowskiego

Dzieci:

1. Komiksy
2. Kornel Makuszyński — *Przygody Koziołka Matołka*
3. Hans Christian Andersen — *Baśnie*
4. Wilhelm i Jakub Grimm — *Baśnie*
5. Jan Brzechwa — *Pan Kleks*

Janina Kozielec z Gminnej Biblioteki Publicznej w Krościenku nad Dunajcem

Dorośli:

1. Anatolij Rybakow — *Dzieci Arbatu*
2. Igor Newerly — *Zostało z uczty bogów*
3. Tadeusz Konwicki — *Kompleks polski*
4. Jerzy Kosiński — *Malowany ptak*
5. George Orwell — *Rok 1984*

Młodzież:

1. Krystyna Siesicka — *Jezioro Osobliwości*
2. Małgorzata Musierowicz — *Opium w rosole*
3. Hanna Ożogowska — *Za minutę pierwsza miłość*
4. Juliusz Verne — *Tajemnicza wyspa*
5. Wiesław Wernic — *Skarby Mackenzie*

Dzieci:

1. Jan Brzechwa — *Oto bajka*
2. Hans Christian Andersen — *Baśnie*
3. Hugh Lofting — *Doktor Dolittle i jego zwierzęta*
4. Julian Tuwim — *Wiersze dla dzieci*
5. Maria Krüger — *Karolcia*

Teresa Arendarczyk z Gminnej Biblioteki Publicznej w Łącku

Dorośli:

1. Jerzy Kosiński — *Malowany Ptak*
2. Alistair MacLean — *Mroczny krzyżowiec*
3. Anatolij Rybakow — *Dzieci Arbatu*
4. George Orwell — *Rok 1984*
5. Eugéne Sue — *Tajemnice Paryża*

Młodzież:

1. Karol May — *Ród Rodrigandów*
2. Karol May — *Syn łowcy niedźwiedzi*
3. Christian W. Sanders — *Czarny gość*
4. Janina Zającówna — *Podróż poślubna*
5. Janina Zającówna — *Uczepiona wiatru*

Dzieci:

1. Hans Peterson — *Magnus w porcie*
2. Czesław Janczarski — *Niezwykła przygoda kapitana Łukasza*
3. Alan Alexander Milne — *Fredzia Phi-Phi*
4. Baśnie narodów Związku Radzieckiego
5. Barbara Winklowa — *Tu był jej dom*

Grażyna Biskup z Gminnej Biblioteki Publicznej w Łukowicy

Dorośli:

1. Jan Dobraczyński — *Błękitne hełmy*
2. Alistair MacLean — *Mroczny krzyżowiec*
3. George Orwell — *Folwark zwierzęcy*
4. Sigrid Undset — *Krystyna, córka Lavransa*
5. Stanisława Fleszarowa-Muskat — *Przerwa na życie*

Młodzież:

1. Janusz Domagalik — *Zielone kasztany*
2. Benno Voelkner — *Dolina gniewnego potoku*
3. Elżbieta Jackiewiczowa — *Wczorajsza młodość*
4. Karol May — *Król naftowy*
5. Alfred Szklarski — *Tomek w Gran Chaco*

Dzieci:

1. Otfrid Preussler — *Malutka czarownica*
2. Wilhelm i Jakub Grimm — *Baśnie*
3. Maria Ewa Letki — *Wakacje z cynamonem*
4. Hans Christian Andersen — *Królowa śniegu*
5. Komiksy

ANNA SZOPIŃSKA — POLE NICZYJE

Na gminną kulturę mogą jeszcze przyjść siwe mrozy i srogie wichury. Obok miejsc wyniesionych swoją historią czy rozsławionych imionami przybyszów są bowiem na szerokim Podhalu i biedniejsze kąty, zapadliska, nawet pustacie. Nie wszędzie góralszczyzna ma się dobrze.

W mroźne przedpołudnie u schyłku roku bogatego w nadzieje lecz i troski przyjrzał się podhalańskiej kulturze „z tamtej strony Gubałówki" **JÓZEF ZATŁOKA.**

★

— Czarny Dunajec to zawsze był teren „sąsiadujący" — jakby na pograniczu. Moja babcia mawiała, że *dunajcany ni mieli ani urody ani bogactwa — takie dziady...* Owszem, żyły tu stare rody góralskie: Miętusów — założycieli parafii, Rafaczów, Chlebków, Podczerwińskich, Kantorów. Józef Kantor *dunajecki* pisał przed wojną monografię — trochę w niej było historii i poruseństwa, poza tym rody i role. Rodziny jakoś się rozprosyły — ten się przyżenił, tamten umarł. A przecież nasi prapradziadowie osadzali Stare Bystre pięć wieków temu — w dziewięćdziesiątym drugim będzie okrągła rocznica. Mój dziadek, z rodu Gadowskich — sołtysów starobystrzańskich — przyżenił się do Czerwiennego, a Czerwienne nazywało się wcześniej Godowo. Role zaś brały nazwy od szlacheckich rodów nowotarskich.

Tu się otwiera pole — może dla Związku Podhalan: niechby wykształceni ludzie spróbowali szukać korzeni i uświadomili góralom, że nie wyrośli na skale, niechby powiedzieli, kto jest kim i dlaczego. Sam szperam, żeby poznać historię Starego Bystrego i dzieje swojego rodu, chcę zmobilizować starobystrzan do uczczenia rocznicy.

Ale tutejsze kompleksy miały też starsze podłoże — „artystyczne". Góral był zawsze sprytny — jak zobaczył, że się *wydre, pośpiewo, poskoce* i jeszcze mu za to zapłacą — zaczął z tego czerpać korzyści. Po dalekim Podhalu goście nie jeździli, zresztą nie było dróg dojazdowych, a słyszeli: — *Nie jedźcie, bo tam bida...* Moje i nie tylko moje odczucie jest takie, że zakopianie to *nadludzie*. Ten okres wykształcił pewność siebie, ale ma też ona swoje uzasadnienie, jeśli chodzi o muzykę, taniec, śpiew. Inaczej będzie tańczył ktoś, kto tańczy w chwilach wolnych od pracy na roli, inaczej będzie grał ktoś, kto gra ze świadomością, że na tym zarobi i jakoś z tego żyje. Z folkloru, który jest jak towar sprzedajny, idzie zagrożenie autentyzmu. Dawniej śpiewało się z żalu, z radości, całą duszą.

Kiedy zaczęto organizować święta gór i inne konkursy, nasi — chłopy od pługa — nieraz słyszeli: — *Co oni tu robiom, te wsioki?* No i zakompleksiło się trochę Podhale z tej strony Gubałówki, choć nasza muzyka była autentyczniejsza i ciekawsza. Tu przecież są korzenie kultury podhalańskiej — z rozwoju cywilizacyjnego to wynika: najpierw był Nowy Targ, potem osadnictwo szło na południe. Najpierw są korzenie, potem liście, a Zakopane to już kwiat, na który siadają pszczółki i zbierają miód.

Dobrze, gdyby ten kwiat pomyślał, że ma liście i korzenie — chodzi mi o świadomość i szacunek. Bo każda zagrzypiała nuta jest coś warta. Trzeba widzieć człowieka, jak gra z potrzeby serca — wtedy trzeba na niego patrzeć... Knapczyk-Duch to była postać kontrowersyjna i nie wiem prawdy o tym człowieku, ale zostawił coś własnego i byłoby krzywdą dla kultury, gdyby to przepadło. Jego nuty są w częstym użyciu, a nikt nie odda mu honoru, nie pokusi się nawet o podanie autora, kiedy słychać je w radiu. Mówią, że Duchowe nuty zanikły po śmierci Ducha — cóż, on wiedział, że jest dobry, miał hyr i swoich słuchaczy, grał „bez względu". Nie z każdym muzykantem potrafił grać, nie z każdym chciał, nie każdy przy nim odważył się zagrać — jak przy Jankielu. Ale to przecież nie zanikło.

★

— Ano, trzeba mieć „ptoka", żeby robić w kulturze. I wiele rzeczy trzeba wiedzieć: o zależnościach, w jakich ona funkcjonuje, kiedy i jak się wykształciła. Trzeba też być ostrożnym, żeby nikogo nie urazić i nie powadzić ludzi — niech się zakopiany nie obrażą o to, co wcześniej powiedziałem, ale tak wynika z rozmów i głosów, które słyszę. Podziwiam zakopiańskich muzykantów, ale jeśli ktoś nawet zazgrzypi, a robi to skromnie, z chęcią i ochotą — taką samą wartość ma jego granie jak i tego, kto gra świetnie i go oklaskują. Niech przez swoją umiejętność i wprawę zakopianie nie spoglądają z „jesce wyssa".

W zespole mam dzieci z zerówki i trochę starsze. Prowadzę naukę tańca i śpiewu, ale teraz jestem jakby w zastoju i pewnym kłopocie. Bo doszedłem do wniosku, że praca z dziećmi nad tańcem i śpiewem jest pajacowaniem, kiedy dziecko nie wie, co robi i robi to mechanicznie. Może moje wymagania są zbyt duże, ale patrzę też na swoje dzieciństwo, na przeszłość i codzienne życie mieszkańców Podhala — w czym ja rosłem, gdzie się uczyłem śpiewać, gdzie podpatrywałem tancerzy. Jak człowiek usłyszał gdzieś śpiew — w wierchu czy na drugiej wsi — chciało mu się śpiewać przy baranach, żeby też się rozległo. Uczył się od echa innej pieśni. Było to przejmowanie tradycji w locie. Wpadała w ucho nuta i człowiek ją próbował.

A teraz dzieci są bardzo biedne, choć mają może video i telewizory kolorowe — okno na świat. Po latach zrozumiałem, że nauczyć je tańczyć to nie wszystko, że trzeba wpierw pracować nad świadomością. Dlatego nie robię żadnego programu — teraz warunkiem pozostania w zespole będzie podstawowa wiedza o swojej miejscowości i Podhalu. Wiem, że ten styl pracy może nie odpowiadać i dzieciom i rodzicom, że może skończyć się fiaskiem. Pogodzenie świadomości z umiejętnością jest utrudnieniem, ale już się raz powstydziłem w Warszawie za niewiedzę, bo strój góralski rodzi pytania. Rozwiązałem więc stary skład zespołu — większość odeszła, bo pokończyli VIII klasę — i mam narybek. Chłopaków jednak brakuje — na *hop* — *hop* jeszcze by się znaleźli, potem się zniechęcają. Tym najwytrwalszym wskazałem książki, do których mogą sięgnąć i już zadają pytania, często sobie gwarzymy — nie przeraził ich egzamin z wiedzy o regionie. Dla mnie to też będzie sprawdzian — co się udało a co nie, co trzeba jeszcze zrobić i co zmienić.

★

— Ludzie tak zostali przygnieceni cywilizacją, warunkami zewnętrznymi, środowiskowymi, sytuacją w kraju, zjawiskiem amerykanizmu z drugiej strony, że to wszystko zabiło w nich tożsamość i są zagubieni. Gdyby spytać, czym jest dla nich kultura i czy potrzebna — mieliby trudności z odpowiedzią. Są jeszcze rodziny, są ludzie, którzy popróbowali wszystkiego, co ich otacza i stwierdzili, że ich kultura jest coś warta. Druga

„Zakopane czasu okupacji"

Ta bardzo cenna pozycja pióra **Henryka Josta** ukazała się obecnie na półkach księgarskich. Autor, doktor inżynier mechanik, znany w Zakopanem i szanowany erudyta, jest człowiekiem skromnym, o wielkiej kulturze osobistej. Niezwykle pracowity, ma w swym dorobku blisko dwieście prac naukowych, głównie z dziedziny hutnictwa i górnictwa w Tatrach oraz wykorzystania energii wodnej w ludowych urządzeniach mechanicznych na Podhalu. Henryk Jost to także wnikliwy obserwator i rzetelny dokumentalista, kronikarz lat minionych i dni dzisiejszych, *chodząca encyklopedia* naszego miasta — Zakopanego.

Z kart jego nowej książki dowiadujemy się, jak wyglądało Zakopane w mrocznych latach terroru hitlerowskiego — i chociaż Autor zaznacza na wstępie, że są to tylko wspomnienia, czytając mamy pewność, że są one oparte na faktach i dokumentach. Książkę czyta się doskonale, gdyż napisana jest prosto i dla każdego czytelnika, którego mogą interesować tamte trudne lata wojenne pod Tatrami. I chociaż wydawać się może, że okupant oszczędzał to piękne miejsce dla siebie, dla swoich licznych rekonwalescentów ze wszystkich frontów — to mamy wreszcie prawdziwy obraz tamtych dni i wydarzeń oraz ludzi tego regionu, ludzi z różnych środowisk — górali i „ceprów", tych, którzy poszli na lep niemiecki i tych przede wszystkim, którzy swoją postawą i walką dali świadectwo patriotyzmu i polskości.

Zakopane czasu okupacji to przewodnik po miejscach, które jeszcze się zachowały, albo jeśli ich nie ma, to pozostały w dokumencie i w pamięci starszych zakopiańczyków. W książce znajdziemy ponad dwadzieścia fotografii, z których zwłaszcza jedna bulwersuje swoją odrażającą wymową: w góralskim wnętrzu portret Hitlera zawieszony między świętymi malowanymi na szkle.

Jest też załączony szkic-układ ulic Zakopanego z 1939 roku, a więc plan miasta z oznaczeniami z tamtych lat. Bogaty indeks nazwisk przybliża nam ludzi i fakty związane z ich losami. W książce jest także aneks, smutny wykaz osób zamordowanych przez okupanta w Zakopanem i okolicy oraz osób, które zginęły poza Zakopanem, a mieszkały w tym mieście. Ten suchy, alfabetyczny spis jest hołdem oddanym ich pamięci.

W przedmowie do książki Adam Palmrich napisał, że lista poległych stanowi *niemilknący, przenikający krzyk i protest ofiar przeciwko przemocy, niesprawiedliwości, ludobójstwu, przeciwko deptaniu godności ludzkiej.*

Tę książkę trzeba koniecznie przeczytać.

ANNA KOGUTKOWA

kategoria to ci, co nutę i zwyk przejęli z rodzinnej tradycji, ale dopiero na imprezie odkrywają, że one coś znaczą. Jeszcze inni, stali bywalcy, przychodzą, nagrywają, ślęczą — to dobry objaw.

Po większej części jednak życie kulturalne wsi zostało przykryte czapką nowoczesności. Ci, w których drzemie chuć góralska, chcieliby czasem zaśpiewać i wstydzą się, że to już niemodne. Wielu potrzebuje rozmowy o dawnych sprawach, dawnych czasach. Trzeba im też takiej atmosfery albo sytuacji, żeby mogli się odblokować. Starczy jakaś pogawędka, rozmowa przy „pocieszycielce" i piękne rzeczy wychodzą, człowiek potrafi się otworzyć. Ale to jest chwilowe i mija. Niechby było takich trzech, czterech, pięciu we wsi — z nich stworzyć jądro i doklejać młodych... Tylko jak to robić, gdzie ich zegnać? Dawniej przekaźnikiem kultury była izba góralska, było obejście. Teraz wszystko to zostało wyrzucone ze wsi i nie stworzono nic w zamian, nawet „rezerwatowego" pomieszczenia. Jest też kwestia podejścia władz terenowych, gospodarzy wsi, samorządów. Z zazdrością patrzę, gdy Koło Gospodyń, Straż Pożarna i ktoś tam jeszcze żyją tą świetlicą, sami robią coś dla siebie, wspólnie szukają złotówki. Bo moje doświadczenia były smutne i smutne znam konkrety. Z bojaźnią patrzę w przyszłość, gdy przyjdzie to nowe finansowanie i budżet centralny ograniczy pieniądze na kulturę. Wszystko może przejść w gestię gminnych rad. Obawiam się, że wtedy kultura przegra w batalii o środki, bo ważniejsza będzie droga, most, telefonizacja, może gazyfikacja albo sklep — wszystko, co powinno być na wczoraj. Wiem, że nie trzeba przeciwstawiać, ale rzeczywistość jest właśnie taka. Na szczeblu gminnym kultura na pewno przegra z oświatą — wiemy, jakie są potrzeby i zaniedbania. Na razie nie wiadomo, jakie będą te środki na kulturę, wiele zależy od społecznej świadomości i sumienia tych, którzy będą decydować o losie wsi lub gminy, od ich poziomu i wyczucia.

Możliwości jest bardzo dużo i gdyby je mądrze wykorzystać, pewnie dałoby się odblokować w ludziach chęć współdziałania, połączyć wysiłki, środki i cele. W wielu wsiach stoją gotowe remizy — obiekty niewykorzystane. Są albo powstaną różne organizacje — dobrze, gdyby zwłaszcza młodzież się odezwała, powiedziała, co chce robić, a nie tylko, co jej trzeba dać. Myślę też o dzieciach z podstawówki — dla nich przychodzenie do świetlicy to poznawanie świata inaczej, pozbywanie się ograniczeń, które narzuca szkoła. Jeśli będzie miejsce, to znajdzie się i osoba umiejąca pokierować, reagująca na potrzeby. Argumentem przeciwko obecności młodzieży w takich obiektach nie może być to, że strażacy musieli po zabawie myć i sprzątać; tak trzeba się ułożyć, takie stworzyć warunki, żeby młodzi mieli okazję wyrabiać w sobie odpowiedzialność. A kilku strażaków niechby też przyszło na dyskotekę — doglądnąć, pomóc.

Do świetlicy może zaglądnie jedno dziecko, potem przyjdzie pięcioro, za rok dwadzieścia — choćby dlatego nie wolno opuszczać rąk. Ludzie z iskrą jeszcze nie wyginęli i etaty dla nich były do tej pory, tylko okazuje się w pewnym momencie, że ktoś taki nie odpowiada schematom, jakie panują w danej miejscowości i szuka się pretekstu, żeby mu rzucać kłody pod nogi. Kończy się zapał i kończy się wszystko.

Tego też oczekuję od nowej pani minister, żeby się dogadała z tymi na górze w sprawie obiektów użyteczności publicznej na wsiach — czyje są, komu mogą służyć i na jakich warunkach. Bo są i nie są. Ten GOK na przykład, obiekt niby Straży Pożarnej, a Straż nie ma osobowości prawnej ani pieniędzy. Oprócz GOK-u, Straży i Urzędu Gminy mieści się tu ZSL i ZBoWiD. Tak się utarło, że GOK jest gospodarzem, bo ma w dyspozycji największą salę, a ja nie mogę występować o fundusze na remonty, bo nie jest to obiekt kultury. Gdybym nawet zdobył pieniądze — nie jestem właścicielem. Mam więc działać na pograniczu prawa, płacąc za remont instalacji, gdy szambo jest zatkane i ścieki nie spływają?

★

— Rozmawialiśmy w środowisku ludzi kultury też o jej instytucjonalnym kształcie. Bezsensownym się wydaje dotowanie etatów w kulturze, kiedy lepiej chyba zrewaloryzować sumę, a ja sobie poradzę — nawet z mniejszą ilością zatrudnionych. Druga myśl może zabrzmi jak herezja, ale w nowej strukturze Wojewódzki Wydział Kultury byłby niepotrzebny. Wojewódzki Ośrodek Kultury po przekazaniu mu kompetencji Wydziału mógłby przecież sterować całością, pracownicy WOK dobrze znają teren, ludzi i warunki.

Niechby też ustalono, jaki procent budżetu centralnego zostanie oddany kulturze. Żeby wiadomo było, na co możemy liczyć, jakie mieć nadzieje. Jeżeli będzie niepewność, to wielu z „ptokiem" odejdzie, a wielu działaczy społecznych i kulturalnych już straciliśmy. Kultura jest niezbędnie potrzebna — może w innym kształcie, ale zawsze i na dzień powszedni. Muszą to zrozumieć ci, którzy będą tworzyć przyszły porządek Polski terenowej. Nadzieję osadzałbym w ludziach — tych, co wiedzą, że kultura jest konieczna. A nadzieję na wyrost wiążę jednak ze wzrostem prestiżu naszego zawodu. Bo w tej chwili jesteśmy, można powiedzieć, kamerdynerami — nie służymy a usługujemy. Do tej pory był to niewdzięczny zawód — wymagano od nas, żeby imprezę zrobić, krzesełka podstawić... Od okazji do okazji. Oby wreszcie ktoś się zaczął liczyć z nami i naszymi potrzebami.

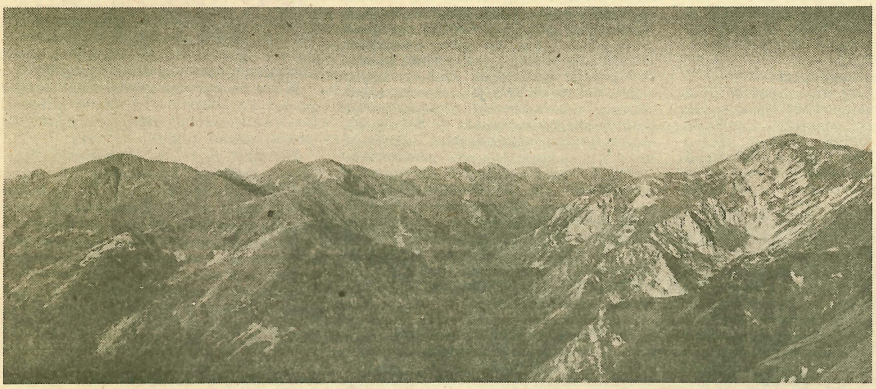

Fot. ADAM GRYCZYŃSKI

Gorliczanin w Kanadzie

Edmonton — miasto liczące osiemset tysięcy mieszkańców — znajduje się w kanadyjskiej prowincji Alberta. Zamieszkują je różne grupy etniczne. Tamtejsza Polonia liczy około 20 tysięcy osób, przy czym połowa to emigracja najnowsza. Polacy pracują w różnych zawodach, a zrzeszeni są w trzech organizacjach: Towarzystwie Polsko-Kanadyjskim (mającym około pięciu tysięcy członków), Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów i Stowarzyszeniu Weteranów Polskich.

W Edmonton znajduje się Dom Polski stanowiący własność wszystkich trzech organizacji, z dużą salą teatralną. Tam też znalazł siedzibę Zespół Pieśni i Tańca „Polonez".

Zespół założył w 1982 roku dr **Walenty Michalik.** Doktor pochodzi z Gorlic, studia kończył na Wydziale Elektrycznym AGH w Krakowie, wtedy też rozwinęły się jego zainteresowania choreografią. Tańczył w działającym przy Akademii Zespole Pieśni i Tańca „Krakus", potem był w nim choreografem i szefem baletu.

W Edmonton otworzył firmę elektryczną, ale prowadzenie byznesu nie zaspokajało jego aspiracji życiowych.

— *W folklorze rodzinnego regionu szukałem inspiracji* — mówi. — *W Edmonton były zespoły folklorystyczne węgierskie, rumuńskie i ukraińskie. Chciałem udowodnić, że polskie tańce wcale nie są gorsze. Dałem komunikat do miejscowej rozgłośni radiowej, a także do biuletynów parafialnych, że organizuję zespół. Przyszło ponad stu chętnych. Zacząłem próby. Pomogli mi koledzy z „Krakusa". Ofiarowali nagrania i stroje.*

28 kwietnia 1983 roku odbył się w Muzeum Prowincji Edmonton pierwszy występ zespołu. Publiczność kanadyjska była zachwycona. Zaraz potem, w święto 3 Maja, „Polonez" zaprezentował swój program w Domu Polskim. Od tej pory występował blisko dwieście razy w szkołach, szpitalach, domach opieki społecznej, na festiwalach „Heritage Day", „Clondike Day", „Kelowna Regata", a także w czasie świąt narodowych Polski i Kanady. Dużym wyróżnieniem dla zespołu było zaproszenie do uczestnictwa w imprezach towarzyszących Zimowej Olimpiadzie w Calgary.

Dotychczas zespół utrzymywał się z dotacji rządowych i — w mniejszym stopniu — polonijnych. Wspierany był przez Koło Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, któremu prezesował **Ludwik Lechoński.** Dużo pomogli działacze polonijni: **Zofia Wójcicka, Janina Muszyńska, Jan Kucy.** Zadeklarował wsparcie **Marian Strzelecki** — prezes Kongresu Polonii Kanadyjskiej na okręg Alberta, a także Stowarzyszenie Weteranów Polskich.

Zespół liczy 35 osób i ma w programie tańce krakowskie, sądeckie, rzeszowskie i łowickie. Uczestniczył w VII Światowym Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie, gdzie szczególnie zapamiętałe ćwiczył tańce sądeckie. Potem członkowie zespołu odwiedzili różne miejscowości województwa nowosądeckiego.

Dr Walenty Michalik pojechał oczywiście do Gorlic.

— *Chciałbym popularyzować folklor rodzinnych stron. Może uda mi się nawiązać kontakt z zespołem z Nowosądeckiego. W przyszłości moglibyśmy doprowadzić do wymiany turystycznej i współpracy artystycznej. Mamy bowiem w naszym repertuarze także tańce innych narodów, między innymi folklor indiański. Na pewno zaciekawiłyby polską publiczność.*

Walenty Michalik wyjechał z kraju obładowany materiałami programowymi, które zdobył zarówno w Krakowie, jak w Rzeszowie, Gorlicach i Nowym Sączu. Teraz na pewno zespół zostanie wzbogacony o nowe tańce polskie. Należy więc życzyć mu sukcesu i oczekiwać znowu w kraju. Marzeniem Walentego Michalika jest pokazanie „Poloneza" w Gorlicach i Nowym Sączu.

RYSZARD DZIESZYŃSKI

JAN POPRAWA

GWIAZDOZBIÓR

Rinn

Z telewizora dowiedziałem się, że na estrady powróciła Danuta Rinn. Przyznam jednak, że nie wiedziałem, iż kiedykolwiek z nich zeszła!

Danuta Rinn jest piosenkarką dojrzałą, zasłużoną, mającą spore grono miłośników i poważny dorobek artystyczny. Zaczynała w Krakowie — i to w dziwnym zgoła towarzystwie. Była mianowicie studentką, uczyła się muzyki, gdy współpracę zaproponował jej nowo utworzony big band Krakowskiego Jazz-Klubu, kierowany przez Janusza Szewczyka. Rinn nie nazywała się zresztą wtedy wcale Rinn, lecz najzwyczajniej w świecie — Danuta Smykla. Jako Smykla też zaprezentowała się krakowskim miłośnikom jazzu.

Potem przyszły lata kariery. Przez długi czas kojarzyła się Danuta Rinn z Bogdanem Czyżewskim. Stanowili zgrany duet, którego repertuar nie był specjalnie wyszukany, zaś sukcesy ogromne. Duet Rinn — Czyżewski podobał się tzw. „przeciętnemu słuchaczowi". Śpiewał bowiem niczym znajomi na wczasach — piosenki tak tuzinkowe, że przypominały coś znanego i lubianego. Zresztą pewien znawca przedmiotu powiedział mi kiedyś, że taka właśnie winna być piosenka: niezbyt oryginalna, przypominająca jakby coś, co już było — choć nie na tyle, by się można dopatrzyć plagiatu...

Czyżewski i Rinn stałą klientelę mieli w Kołobrzegu, na rozmaitych telewizyjnych rewietkach i temu podobnych. Jakość ich ówczesnych piosenek (i w ogóle „*image*") była tak licha, że nie mogli występować na poważniejszych niż kołobrzeska estradach...

Przyznać trzeba jednakże, iż jeszcze dziś spotkać można ludzi, którzy z sentymentem wspominają prościutkie przeboje („Na deptaku w Ciechocinku", na przykład) stanowiące ówczesną specjalność duetu. Więcej, znam ludzi, którzy wciąż uważają, że Rinn najlepszy swój okres przeżyła właśnie w czasach spółki z Czyżewskim, w pogodnym, bezpretensjonalnym wcieleniu estradowym...

Po zakończeniu współpracy z B. Cz. Danuta Rinn zasadniczo zmieniła swój repertuar. Zmieniła też adresata swych piosenek.

Rinn jest postacią bardzo charakterystyczną, z urody przypomina nieco murzyńskie śpiewaczki *spirituałsów* — w każdym razie nie kojarzy się z obowiązującym wzorcem estradowego wampa. Do tej osobliwej powierzchowności zaczęła więc dobierać repertuar. Wprowadziło ją to wkrótce w krąg artystów kabaretu. Jak się okazało — bardzo szczęśliwie.

Kabaret polski opierał się zawsze na tekstach. Były jego znakiem firmowym i siłą. Zwłaszcza w ostatnich latach polską sztukę kabaretową zdominowali wręcz *autorzy z własnym tekstem*, satyrycy mówiący monologi i czasem śpiewający własne piosenki. Wszelako zawsze brakowało w kabarecie (przynajmniej kabarecie literackim, o którym myślę wymawiając to słowo) odpowiedniej klasy piosenkarzy. Owszem, wspaniale i niepowtarzalnie śpiewali autorskie ballady poeci z gitarą, wielkie (niekiedy) kreacje tworzyli w piosenkarskich etiudach „*śpiewający aktorzy*". Ale piosenkarstwo jest kategorią szczególną, jest dyscypliną sztuki bardzo odległą od ballady i „*piosenki aktorskiej*". I takich wykonawców, którzy w odpowiedni i stosowny sposób ów gatunek uprawialiby w kabarecie — nie było, przynajmniej od czasu, gdy Maria Koterbska produkowała się w „Wagabundzie"...

Danuta Rinn stała się gwiazdą kabaretu „Pod Egidą". A niektóre wyniesione z tej scenki piosenki stały się prawdziwymi, komercyjnymi przebojami! To była nowa Rinn, wciąż wesoła — ale nie bezmyślna. Raczej złośliwa, sarkastyczna, uszczypliwa...

Wtedy też — a rzecz miała miejsce gdzieś u schyłku lat siedemdziesiątych — wróciła Danuta Rinn do jazzu. Wielkie wrażenie zrobiły jej wokalne umiejętności na publiczności zachodnioniemieckiej, gdy próbowała się ze słynnym big-bandem Kurta Edelhagena. Także współpraca z polskimi muzykami przyniosła Rinn szacunek środowiska jazzmanów. Tymi sukcesami, mniej może znaczącymi dla *masowej widowni* — ugruntowała artystka swą pozycję na firmamencie polskiej estrady. Powszechnie uznano, że jest jedną z najwybitniejszych polskich piosenkarek schyłku lat siedemdziesiątych...

Gdy przyszły burze naszej obecnej dekady, Danuta Rinn przyłączała się do „frontu odnowy" znacznej części środowiska aktorskiego. Związała się zawodowo z „drugim obiegiem polskiej estrady". Z rzadka pojawiała się na oficjalnych imprezach — ale za to była na koncertach organizowanych przez Kościół, przez rozmaite ośrodki opozycyjne i nieformalne. Śpiewała m. in. teksty Ernesta Brylla, podobnie jak ona zdecydowanego na czyściec półkonspiracyjnej działalności artystycznej (czyżby dla odkupienia przecudnej dramy pt. „Zagrajcie nam wszystkie srebrne dzwony"?)...

Come back Danuty Rinn nastąpił oczywiście wcześniej, niż to ogłosiła telewizja. Przed kilku laty w Warszawie odbył się ciekawy jej recital, prowadzony (bez wielkiego triumfu) przez samego profesora Aleksandra Bardiniego. Nie czepiajmy się wszakże drobiazgów. Cieszmy się raczej z zapowiedzi, że jedna z niewielu kompetentnych i oryginalnych piosenkarek naszych oficjalnie potwierdza, że będzie nam śpiewać.

Stanisław Czepiel

Pastorałka z Pienin

Siod se anioł na grani
i woło do juhasów:
Wstońcie moi kochani
wartko wyjdźcie z sałasów.

Idźcie witać Dziecine
do sopy na polanie
Bóg, malućko krusyna,
we złobku jest, na sianie.

Krzyknął anioł: gloria!
Ziyrojcie sie pastyrze,
Panna Syna powiła,
zaniyście mu po syrze.

Weźcie gęśle i basy
piscołecki, trombity,
zagrojcie mu lulanke,
niek posłucho powity.

Weźcie tyz, co mozecie
dlo Maryji, Józefa,
chudobe wspomozecie,
zbawienie mieć bedziecie.

Aniołecku kochany,
co weźniemy nie wiemy,
syrek sie nom juz skończył,
ale zaroz idziemy.

Zagromy mu cieniućko,
niek śpi mały Jezusek.
Domy mu owcé mlecko
i cieplućki kozusek.

Dzieciątku na powijok
domy płótno bielutkie,
a do złóbka mu domy,
górskie sianko mięciutkie.

Moskolicka nimomy,
bułke kupimy w sklepie,
owsa juz nie siejemy,
bo tak nom teroz lepiej.

Kto by sie ta uganioł
z oraniem i ze sioniem,
lepiej jechać traktorem,
jeko poganiać koniem.

Bułecka bedzie lepiej
Jezuskowi smakować
jako moskol owsiany
i trza by go smarować,
a masła u nos nima,
chyba w mieście daleko.
Jakoz jechać po niego,
kie teroz wielgo zima.

Jako mi sie juz rzekło,
co momy to weźniemy,
a jak by co chybiało,
to zaroz uzdajemy.

Pódźmy z całą gromadą,
Bogu sie kłaniojmy
i z całego serca
pieknie zaśpiywojmy.

Z Pienin Ci sie kłaniają
wszyscy podhalanie,
zostoń z nami tu, w górach,
Wiekuisty Panie.

14 DUNAJEC

Zwierzenia Walentego Ziętary

Dwanaście lat występował w reprezentacji Polski w hokeju na lodzie (1967—79). Uczestnik Olimpiad w Sapporo '72 i Innsbrucku '76. Po dziś dzień rekordzista pod względem ilości występów w reprezentacji narodowej (178) i goli zdobytych dla niej (71). Dwanaście razy reprezentował barwy Polski w mistrzostwach świata. Czternaście sezonów bronił barw KS „Podhale" Nowy Targ (strzelił krajowym rywalom 467 bramek). Kolejny rekord Ziętary — 46 krążków ulokowanych w bramce I-ligowych rywali w sezonie 1973/74, za który to wyczyn otrzymał Puchar „Przeglądu Sportowego". Był też trzykrotnie laureatem „Złotego Kija", ufundowanego przez redakcję katowickiego „Sportu". Dziś jest trenerem I zespołu seniorów w swoim macierzystym klubie — „Podhalu".

Jego pierwszym nauczycielem gry w hokeja był Mieczysław Chmura. Mając 17 lat trafił do reprezentacji Polski juniorów. Wystąpił wówczas na Mistrzostwach Europy w Finlandii, gdzie zdobył tytuł „króla strzelców". Dziennikarze i obecni na mistrzostwach trenerzy uznali go za najlepszego napastnika, stawiając przed zawodnikami radzieckimi takiej klasy jak Charłamow czy Malcew.

Miał być bokserem

— Czy Pan wie, że zaczynałem od boksu? Miałem wówczas 11, może 12 lat. Chodziliśmy patrzeć, jak w hali nowotarskich „Gorców" walczą starsi koledzy. Trener, brat Zbigniewa Pietrzykowskiego, nieżyjący dziś „Teddy", zaproponował mi próbną walkę w ringu. Rówieśnikom nie dawałem szans. Potem wygrywałem i ze starszymi od siebie. Ale zimą, na zamarzniętym stawku grywaliśmy w hokeja. Podczas ferii — od rana do wieczora. Uczęszczałem wówczas do Szkoły Podstawowej nr 5 w Nowym Targu. Nauczyciel, Zdzisław Adamczyk, zestawił drużynę. Dotarliśmy do finału ogólnopolskich zawodów o „Złoty Krążek".

Pierwszy tytuł

— Tego nie da się zapomnieć. W „Podhalu" na przełomie lat 1965/66 nastąpiła zmiana hokejowej generacji. Czechosłowacki trener František Vorišek zrezygnował z usług kilku starszych zawodników. Ich miejsce zajęliśmy my, 17-latkowie. Oprócz mnie bracia Pyszowie, Tadeusz Kacik, Józef Słowakiewicz, Jan Kudasik.

Do decydującej rozgrywki „wielka czwórka" ekstraklasy — wyłoniona ze wstępnej fazy gier — przystąpiła z punktami zaliczonymi w meczach między sobą. „Podhale" dzięki temu miało już sześciopunktową przewagę. W końcówce rozgrywek zawodnicy nowotarscy grali nieco nonszalancko i mało brakowało, a ambitne plany stałyby się nierealne. Tak się jednak nie stało. Sezon 1965/66 „Podhale" zakończyło zdobyciem mistrzostwa Polski. Pierwszy tytuł święcił cały Nowy Targ. Obok Ziętary występowali wówczas: **St. Bizub, Ossowski, W. Kowalski, Szal, Liput, F. Klocek, Rusinowicz, Kacik, J. Bryniarski, J. Słowakiewicz, M. Pysz, W. Pysz, Kilanowicz i Różański.**

Z orłem na piersiach

— W reprezentacji występowałem 178 razy. Który mecz uważam za najciekawszy? Trudno wybrać, każdy był inny, o innej dramaturgii. Przykładowo: mecz Polska — ZSRR podczas MŚ w Katowicach w 1976 r. Sprawiliśmy wtedy ogromną sensację, wygrywając 6:4. Ale bez cienia wątpliwości największymi przeżyciami były dla mnie występy w Igrzyskach Olimpijskich w Sapporo i w Innsbrucku. Nie zapomnę też Mistrzostw Świata w Bukareszcie w 1972. Wygraliśmy wówczas z USA 6:5. Była radość, ale był też i smutek. W meczu z Jugosławią, wygranym przez nas bodajże 6:3, Robert Góralczyk, kolega z reprezentacji, stracił oko. Popełnił błąd, wypuściwszy zbyt daleko krążek. Rzucił się w pogoń za rywalem. Padając na taflę uderzył o tył jego łyżwy, która nie miała wówczas tzw. kominka czyli zabezpieczenia ze sztucznego tworzywa.

W dołku

Był rok 1977. Pewnego dnia Walenty Ziętara zgłosił się o siódmej rano do pracy w Nowotarskich Zakładach Przemysłu Skórzanego. Majster nie bardzo wiedział, co z nim zrobić, ponieważ do tej pory hokeiści nie szyli żadnych butów. Toteż absolwent technikum ekonomicznego dostał do rąk łopatę. Trzeba było wykopać dół pod kabel, więc kopał. Ludzie trochę ze zdziwieniem lecz bez drwin czy docinków patrzyli, jak kończy się kariera jednego z najlepszych sportowców Polski...

— Czy warto do tej sprawy wracać? — zastanawia się głośno Walenty Ziętara. *— To było tak dawno. Z pewnością jednak był to najprzykrzejszy moment w mej długoletniej karierze sportowej. Uważałem, iż zawodnicy zawsze powinni mieć to, co im się należy. Wtedy nie chodziło nam tylko o złe zinterpretowanie nowego regulaminu podziału nagród za mecze przez zarząd, nie szło tylko o pieniądze. Przecież mogliśmy — jak zrobiło to wielu — przejść do innych klubów, bogatszych, dostać od ręki mieszkania, samochody. Chodziło nam o to, abyśmy nie byli traktowani jak maszynki do kolekcjonowania tytułów mistrzowskich. Jako kapitan drużyny musiałem reprezentować interesy zawodników przed zarządem. I upominałem się. Otrzymałem za to najwyższą karę — dożywotniej dyskwalifikacji. Skreślono mnie z listy zawodników. Była to nieprzemyślana decyzja. Poszedłem kopać rowy. Skończyło się jednak szczęśliwie. Ujął się za mną GKKFiS, anulując karę. Mogłem założyć na powrót łyżwy i wrócić na lód.*

Poprzez saksy do trenerki

— W sezonie 1978/79 wywalczyliśmy — choć nie przyszło nam to łatwo — jedenasty tytuł mistrza Polski. Wtedy zakończyłem występy na krajowych lodowiskach jako zawodnik. Zdecydowałem się wyjechać do Austrii. Przez rok grałem w zespole ATSE Graz, prowadzonym przez Václava Bubnika. Razem z Kanadyjczykiem Mc Cutschenem otrzymaliśmy zadanie uratowania ATSE od degradacji z ekstraklasy. Miałem pecha. Podczas jednego z meczów, w starciu pod bandą, złamałem rękę. Jednak w kilka dni po zdjęciu gipsu byłem już na lodzie. Grałem i strzelałem bramki. Potem wyjechałem na dwa lata do Szwajcarii. Znalazłem się w małej miejscowości Dübendorf, którą można określić mianem przedmieścia Zurychu. W pierwszym sezonie grałem. W drugim już prowadziłem zespół. To był początek mej kariery szkoleniowca. Po powrocie do kraju ukończyłem dwuletni kurs trenera II klasy na AWF w Krakowie. Znów związałem się z „Podhalem". Chciałbym wygrywać. Na razie mam już na koncie — jako szkoleniowiec — i mistrzostwo, i trzecie miejsce w Polsce.

Czy będą znów mistrzami?

— Jako zawodnik przyczyniłem się do uzyskania wszystkich tytułów mistrza Polski zdobytych w tamtym czasie przez „Podhale". Jako trener uzyskałem ostatni, dwunasty tytuł — mówi Walenty Ziętara. *— Prowadzę pierwszy zespół hokeistów (z roczną przerwą) już piąty sezon. Skąd przerwa? Odszedłem do pracy z młodzieżą. Sport u nas jest źle zorganizowany. W klubie były wówczas problemy. Zawodnicy, choć wywalczyli — po wielu latach przerwy — mistrzostwo kraju, nadal nie mieli załatwionych spraw socjalnych. Zespół — poza regulaminową premią — nie dostał nic. Nikt z zarządu nie chciał ze mną rozmawiać o sprawach nurtujących zawodników. Wziąłem się za szkolenie juniorów. Jednak gdy zawodnicy chcieli odchodzić z klubu, wróciłem. Zajęliśmy trzecie miejsce w lidze. Teraz uważam, że mamy drużynę na tyle silną, aby powalczyć o mistrzostwo Polski. To, że „Polonia" Bytom jest na czele tabeli, wcale nie świadczy, że nie można z nią wygrać. Raz już udowodniliśmy to w tym sezonie. Dzielą nas od lidera tylko trzy punkty. Najważniejsza będzie końcówka rozgrywek, mecze systemem play-off.*

W sezonie ćwiczymy dwa razy dziennie po 1,5 — 2 godziny. To ciężka harówa. Zawodnik musi być zdyscyplinowany. Za picie alkoholu nakładamy kary.

Zarobki? Hokeista miesięcznie otrzymuje w granicach średniego wynagrodzenia NZPS, a więc ok. 250 tys. zł. Kokosów zatem u nas nie ma. Premie za wygrane mecze są symboliczne — po 20-30 tys. złotych. Nawet gdy wygramy dziesięć meczów, to co zawodnik kupi dziś za taką sumę?

Bodźcem do aktywności w zespole hokejowym winny być: dobra organizacja pracy i pieniądze. A jak ja mam wiele wymagać od chłopaka, skoro on za to, co otrzymuje z tytułu uprawiania hokeja, ledwo utrzyma rodzinę?

Tyle trener Walenty Ziętara. Czy jego chłopcy wywalczą trzynasty tytuł mistrzowski? Na razie, do 11 stycznia, w rozgrywkach ligowych jest przerwa. „Szarotki" wykorzystują ją na treningi i sparringi w Nowym Targu. Klubu bowiem nie stać na obozy wyjazdowe. Całe szczęście, że pomoc Nowotarskich Zakładów Przemysłu Skórzanego jest nadal znaczna.

JERZY RZESZUTO

OGŁOSZENIA

Biuro Obsługi Turystycznej PW „PROKON"
Sp-ka z o.o. 31-908 Kraków, Os. Młodości 4/7
tel. 44-38-31 wewn. „PROKON".

OFERUJE SZEROKI ZAKRES USŁUG TURYSTYCZNYCH

- bazę noclegową
- kompleksową obsługę wycieczek, szkoleń, konferencji itp. imprez na terenie Krakowa
- prowadzimy sprzedaż biletów na przejazdy autokarem do Wiednia i Lwowa
- prowadzimy sprzedaż wczasów narciarskich na Słowacji w okresie ferii zimowych
- wizowanie (indywidualnie i grupowo) — tel. 66-82-46

K-60/12/89.

KUPIĘ starszą, w dobrym stanie karoserię „Tarpana F-237" oraz przednią szybę. Płatne w USD. Krzysztof Zawiślak, Łużna 275. D-49718

PIANINO — sprzedam. Nowy Sącz tel. 255-87. D-49719

PRZEPRASZAM dr Małgorzatę Kozłowską z Poradni Przeciwalkoholowej w Nowym Targu za obrazę słowną. Antoni Bujak. D-49720

FOSZTY sosnowe 8 m³ — sprzedam. Nowy Sącz, tel: 222-77. D-49721

TELEWIZOR kolorowy — sprzedam. Andrzej Głąb, Jamica 159. D-49722

Zachodnie nowoczesne projekty domków, wysyła za pobraniem 15 000 zł. ZRB Kraków 49, skryt. 50. Możliwość wykonania lub nadzorowania robót. g-57513

SAMOTNY pan, lat 42, wykształcenie średnie, posiadający mieszkanie, pozna odpowiednią panią bezdzietną w wieku 35-42 lata, w celu matrymonialnym. Oferty 49713 „Prasa-Dunajec" Nowy Sącz Al. Wolności 49.

OKAZJA! Wyprzedaż nart renomowanych firm — Blizzard, Rossignol, Völkl — 87% taniej niż nowe. Tylko do końca roku. Sklep wielobranżowy — Zakopane, Tetmajera 17 P-199

KOMIS — Zakopane Tetmajera 17 zakupi i poszukuje dostawców towarów pochodzenia zagranicznego: sprzętu narciarskiego, technicznego, mebli, samochodów osobowych. Czekamy na oferty. D-52275

POSZUKUJĘ dla ambasady, domu, parceli budowlanej, kamienicy, pensjonatu lub mieszkania z możliwością kupna lub wynajmu, na terenie Zakopanego lub okolicy. Za wskazanie aktualnego adresu kupujący wypłaci nagrodę zastrzegając sobie prawo wyboru. Zakopane, ul. Tetmajera 17 tel: 666-78.

GABRIELA R. DANIELEWICZ (133)

Pamiętnik sądeczanki

— Dołączcie do nas!

Nieliczni na to hasło wtopili się w szeregi, inni odeszli w przeciwną stronę.

Kiedy przy ulicy Jagiellońskiej koło Kasyna Miejskiego kapela wzmocniła tony, wycofałam się z pochodu i ulicą Szpitalną wróciłam do domu. Jeszcze na moście dobiegały mnie dźwięki muzyki i strzępy rewolucyjnych pieśni. Pochód doszedł do ratusza, tam ktoś przemówił i kolejarze rozeszli się.

Przy obiedzie Joachim wspomniał o pochodzie, ale ponieważ Walka nie było w domu, nikt nie podjął tego tematu. Moim zdaniem uczczono robotnicze święto z powagą, uczestnicy pochodu zachowali się spokojnie, nie zauważyłam żadnej awantury. Nie ośmieliłam się jednak wyrazić swej opinii przed mężem.

Ciekawa byłam wrażeń Wiktora i poszłam do nich pod wieczór. Zięć obojętnie mówił o pochodzie. Nie brał w nim udziału, normalnie pracował i widział zbiegowisko z okien budynku stacyjnego. Na szczęście nie dostrzegł mnie, nie musiałam się więc tłumaczyć. Wiktor nie popiera socjalistów, ale też ich nie gani. Uważa, że do socjalistów należy przyszłość i podkreśla ich rolę w odzyskaniu w przyszłości przez nasz kraj niepodległości.

Bogna zatrzymała mnie na kolacji, podczas której Wiktor opowiadał o nowym prezesie Uniwersytetu Ludowego, panu mecenasie Romanie Sichrawie. Niecały rok jest w naszym mieście i już go wybierają do władz! Zięć chodzi na spotkania do Czytelni Mieszczańskiej, pogadanki są ciekawe, niemniej oddział uniwersytetu napotyka na trudności. Brakuje odpowiedniej sali i funduszy, „Sokół" za wynajęcie liczy dwadzieścia koron. Zarząd chce ożywić spotkania, wprowadzić dysputy o nowych dziełach literackich i z zakresu medycyny, zwerbować nowych członków. Na ostatnim zebraniu Wiktor naliczył sześćdziesiąt osób, to mało jak na Nowy Sącz.

Bogna odprowadziła mnie kawałek, bo Rudolfek usnął w kołysce. Zwierzyła mi się, że jest przy nadziei. Z brzmienia głosu córki nie wywnioskowałam czy się martwi czy cieszy, gdyż oznajmiła to bardzo spokojnie, bez nuty uniesienia.

— To dobrze — powiedziałam bez przekonania, ale z uśmiechem. — Wiktor lubi dzieci. Ojciec będzie uradowany. On tak lubi Rudolfka. I ja bardzo, bardzo się cieszę.

Objęłam serdecznie Bognę i przytuliłam do siebie.

Czerwiec 1902 r.

Kaziu utrzymuje kontakt z profesorami gimnazjalnymi i niektórych odwiedza w domach. Bywa u profesora Karola Gutkowskiego, Jana Dworzańskiego, niekiedy u matematyka, profesora Marcina Drzymuchowskiego, który w ubiegłym roku przeszedł w stan spoczynku po przeszło czterdziestu latach nauczania.

W naszym gimnazjum ciągle następują zmiany. Jedni nauczyciele odchodzą, nowi przybywają. Opuścił Nowy Sącz po stosunkowo krótkim tu pobycie przyjaciel Antosia, pan profesor Franciszek Bizoń, niedługo uczył u nas profesor Jan Magiera, utalentowany literat. Przybył natomiast profesor Józef Miczyński z rodziny sądeckich obywateli ziemskich, profesor Michał Pelczar i ksiądz Paweł Sulma, mianowany pomocnikiem katechety. Dyrektor gimnazjum, profesor Stanisław Rzepiński jest wybitnym humanistą i wychowawcą o dużych zaletach umysłu i serca. Brakowało młodzieży takiego opiekuna i przyjaciela. Nasze gimnazjum szczyci się dobrą renomą i pod rządami obecnego dyrektora ma przed sobą rozległe perspektywy rozwoju. Coraz więcej ściąga do gimnazjum młodzieńców i brak miejsca na nowe klasy dało się odczuć już w ubiegłam roku. W związku z tym dyrektor wynajął pomieszczenie w realności pani Zofii Babińskiej przy ulicy Plebańskiej, aby nie odmawiać chętnym przyjęcia.

W ostatnich latach ciekawą postacią w gronie profesorskim jest pan A. Rafałowski, który dba o rozwój technicznych zainteresowań studentów. Dokonuje eksperymentów fizycznych i elektrycznych, co nęci młodych chłopców. Pokazuje im schematy maszyn i roztacza fantazyjne wizje przyszłych wynalazków. Profesor Rafałowski połączył budynek gimnazjum, gmach Bursy im. T. Kościuszki i realność p. Babińskiej przewodami elektrycznymi w celu równoczesnego rozlegania się dzwonka na przerwy. W gmachu głównym urządził stację telefoniczną dla profesorów. Niedawno udał się profesor z uczniami klasy siódmej do warsztatów kolejowych i inżynier Marynowski objaśniał im działanie maszyn.

Dzięki profesorowi Gutkowskiemu powstała w gimnazjum orkiestra, którą kieruje kapelmistrz „Harmonii", pan Walenta. W maju gimnazjaliści wystąpili po raz pierwszy publicznie w sali „Sokoła", grając utwory kompozytorów polskich. Każdy poranek urządzany w gimnazjum z okazji rocznic narodowych uświetniają obecnie popisy kapeli szkolnej.

Kłopoty Uniwersytetu Ludowego z brakiem sali wywołały oddźwięk na kolei. Czytelnia kolejowa użyczyła uniwersytetowi bezpłatnie sali w każdą środę o ósmej wieczorem. Daleko od miasta, lecz nie trzeba płacić za wynajęcie. Teraz uczestnictwo w spotkaniu łączy się z dłuższą wyprawą. Zamożniejsi państwo jadą powozami lub fiakrami, ubożsym pozostają nogi. Dorożka z miasta na stację kosztuje koronę. Ostatnio pan mecenas Roman Sichrawa wygłosił odczyt o pisarzu Henryku Sienkiewiczu, a redaktor Zygmunt Mayer o instynkcie i duszy.

Kaziu z Dominiką chodzą co środę wieczorem na Planty na koncerty „Harmonii". Muzykanci grają w altance, słuchacze siedzą na ławkach lub spacerują alejkami. Komitet organizacyjny chce pobierać dwadzieścia halerzy wstępu i ludzie to krytykują. Planty są dla wszystkich — powiadają — i dla biednych także. Chyba na razie przerwane zostaną koncerty, bo w mieście grasuje szkarlatyna. Na Piekle zmarło dwoje dzieci.

Koniec lipca 1902 r.

W niedzielę 27 lipca obchodzono w Nowym Sączu uroczyście rocznicę grunwaldzką. O 6 rano orkiestra „Harmonii" przeszła przez miasto i pobudka ta zerwała każdego na równe nogi. Olbrzymie afisze umieszczone w różnych punktach miasta donosiły o święcie zespolenia i zbratania. Z domów powiewały chorągwie o barwach narodowych, ratusz ubrano girlandami zieleni, w witrynach pojawiły się wizerunki orłów.

O 9 godz. odbyło się nabożeństwo u fary, poprzedzone śpiewem chóru kasynowego pieśni „Bogurodzica". Joachim wystąpił w pierwszym szeregu i był bardzo wzruszony uroczystością. Po mszy nastąpił pochód. Zaczynała go banderia konna przy dźwiękach muzyki kolejowej, potem szły organizacje, cechy, przedstawiciele urzędów i młodzież. Na ulicę Jagiellońską wyszły tłumy i wszyscy wiwatowali. Kupcy udekorowali wystawy swoich sklepów i tym razem pani Teresa Jakubowska błysnęła pomysłowością przy ozdobieniu księgarni.

Pochód przeszedł ulicę Jagiellońską, Targowicę, ulicę Długosza i zatrzymał się przy szkole męskiej. Prezes „Sokoła", pan Lucjan Lipiński wygłosił przed statuą króla Władysława Jagiełły porywające przemówienie. Podobno nigdy jeszcze nie mówił z taką swadą jak tej niedzieli. Gdy usłyszałam chóralną pieśń „Z dymem pożarów", nogi ugięły się pode mną, a przy „Jeszcze Polska" rozległ się głośny płacz. Manifestacje takie przypominają ludziom o życiu w niewoli i krzepią ducha narodowego. Dzięki podobnym uroczystościom budzi się w nas tęsknota za niepodległością i wolną ojczyzną.

Po południu odbył się festyn na Wenecji i Jordanówce. Poszliśmy całą rodziną z wyjątkiem Maryjki i Julka, bo ich najmłodsza córeczka Agata choruje na szkarlatynę, więc jej pilnują. Słuchaliśmy koncertu, graliśmy na loterii, Anzelm strzelał. Julcia szczebiotała wesoło i zabawiała nas dowcipami. Ubrana była w seledynową suknię z riuszkami, kunsztowne dzieło Femci i Honorki. Bogna miała powiewną suknię z żółtego muślinu z bufiastymi rękawami i owalnym wycięciem na przodzie. W uszach jej lśniły drobne perełki, na szyi zawiesiła srebrny łańcuszek z kameą. Włosy ułożyła w duży kok tuż nad karkiem, cera jej była gładka i świeża, oczy płonęły silnym blaskiem. Joachim patrzył na nią z zachwytem i ojcowską dumą, istotnie córka wypiękniała i wyszlachetniała.

(ciąg dalszy nastąpi)

Wigilijna opowieść

Ponad pięćdziesiąt pasterek w Ropie zaczynał kolędą „Wśród nocnej ciszy" tamtejszy organista, **Leon Pisarczyk.** Do dziś czynny i aktywny zawodowo, przeżył kilku proboszczów i kilkunastu księży katechetów. Ale najtragiczniejszą dla niego była wigilia w 1944 roku, kiedy ktoś doniósł na gestapo, że ksiądz katecheta **Tadeusz Kozieja** wraz z organistą Pisarczykiem mają w kościele za organami ukryty aparat radiowy i że prowadzą nasłuch o sytuacji na frontach. Podejrzani zostali zabrani na gestapo w Gorlicach i tak skatowani, że ledwo mogli chodzić. Wnet ich zwolniono, ponieważ zbliżał się front (jak wiadomo, Gorlice i Ropa zostały wyzwolone 17 stycznia 1945 roku) i zdenerwowani gestapowcy nie byli już tak agresywni w dochodzeniu winy Polaków, jak wtedy, gdy hitlerowskie wojska odnosiły sukcesy. Toteż ksiądz Kozieja już na Nowy Rok 1945 odprawił mszę, ale podczas podniesienia nie mógł unieść rąk z bólu. Po wojnie wyjechał do Stanów Zjednoczonych.

Zawstydzającym obyczajem były na wsiach (między innymi w Ropie) przez kilka lat po wojnie tzw. *krwawe pasterki.* Może to odzywały się złe echa niedawnej wojny, tych okrutnych i brutalnych przeżyć, których dostarczał każdy dzień okupacji niemieckiej? Dość, że nie zdarzało się wówczas, aby w Ropie ktoś nie został krwawo pobity w drodze na pasterkę, a często tuż przed kościołem, na oczach zebranego tłumu. W ten sposób kawalerowie, ale i młodzi gospodarze, załatwiali jakieś całoroczne porachunki, jakieś urazy, jakieś spory o miedzę, o urodziwą dziewczynę, o nie oddane rzeczy czy pieniądze. W następnym dniu szła po wsi wieść, kto został pobity, kogo odwieziono do szpitala i kto bił. Bijący uchodzili w opinii społecznej wsi za świątecznych bohaterów. O nich się mówiło, ich krwawy czyn komentowało. Możliwe, że to zainteresowanie społeczności wiejskiej pobudzało następnych do owych — jak to później modnie zaczęto nazywać — chuligańskich wybryków. Mogę też przypuszczać, że wówczas, kiedy na wsi nie było światła elektrycznego, nie było radia ani filmu, te bijatyki przed pasterką spełniały taką rolę, jak dziś telewizyjne dreszczowce i horrory. Wybierający się na pasterkę młodzian sprawdzał swój ekwipunek: „Sztylet mam, gałkę mam, mogę iść". Sztylet jako narzędzie krwawej bójki nie wymaga dziś objaśnienia, ale gałka — tak. Była to metalowa kula wielkości jabłka, często umocowana na rączce, rzemyku, czy sznurku i służąca do bicia przeciwnika. Używali też młodzianków metalowych kolców (nie pamiętam już ich nazwy), które zakładali na palce jak pierścienie, a kolce te służyły do zadawania krwawych ran np. na twarzy przeciwnika. O ile więc chłopcy w wieku szkolnym zajęci byli w czasie adwentu budowaniem gwiazdy, to podrostki i kawalerowie szykowali własnym przemysłem lub u znajomego kowala narzędzia bójki.

Wydawało się, że owe bójki przed pasterką lub po niej to obyczaj nie do pokonania. Dopiero w latach pięćdziesiątych, gdy kolegia karno-administracyjne zaczęły wymierzać wysokie kary pieniężne — obyczaj krwawych bójek w dzień wigilijny odszedł w niepamięć.

Wspomnę jeszcze, że tuż po wojnie był zwyczaj wyrabiania domowym sposobem biżuterii. Z przedwojennych srebrnych monet wyklepywano na kowadełku obrączki, broszki, kolczyki. Wszystko to ozdobnie grawerowano. Warto również przypomnieć powojenną modę. Za szczyt elegancji uchodziło na wsi pozowanie na przedwojennego oficera. *Na gotowo* robiono więc u szewca buty z wysokimi cholewami, tzw. oficerki i noszono je wyczyszczone na wysoki połysk. Do tego spodnie typu „rajtki", kurtka z wojskowego płaszcza i czapka jak przedwojenna narciarka, rękawice z owczej wełny, ręcznie robione na drutach.

Dziś oczywiście moda jest zupełnie inna, choć chęć stosowania się do niej równie silna. Teraz rodzice kupują już synom w wieku szkolnym elektroniczne zegarki, motorowery, modne ubrania, sprzęt sportowy, radioodbiorniki na baterie itp. nie mniej pożądane niż niegdyś oficerki i wełniane rękawice.

MARIAN JANIGA

Łakomy miś

Któregoś jesiennego wieczoru sympatyczna „Chmurka" po telewizyjnej prognozie pogody opowiedziała mrożącą krew w żyłach historię. Zdarzyć się ona miała w górach, gdzieś *na granicy słowackiej.* Groźny niedźwiedź napadł był bezbronnego lekkomyślnego turystę, który wybrał się na ryby. Wędrownik cudem tylko uniknął śmierci, jakoś wydostał się z borów i dotarł do ludzkiej osady, ale jest w szoku, pogryziony i poturbowany przez wściekłego, być może, niedźwiedzia.

W jakiś czas potem byliśmy blisko miejsca wypadku, wysłuchaliśmy, co mówią okoliczni chłopi. Otóż wszystko zdarzyło się zaledwie kilkaset metrów od przygranicznej szosy do Jurgowa, i może kilometr od zamieszkałej polany Rynias. Białka jest tu piękna i nic dziwnego, że lubią w niej mieszkać pstrągi.

Ludzie opowiadają, że silny, młody chłopak z Rzepisk czy z Czarnej Góry wybrał się tutaj na pstrągi. Znał dobrze miejsce i szybko nałapał całą siatkę ryb. A że zbliżał się wieczór, postanowił wracać do domu. Miał stąd jakieś 10 kilometrów. Aby nie przekroczyć granicy musiał się cofnąć ku Ryniasowi i iść „bez las" ku Brzegom. Zarzuciwszy siatkę na plecy poszedł znanymi sobie skrótami. Zboczył z drogi i szedł na przełaj przez młodnik. I wtedy na coś nadepnął. Był to właśnie miś, który się już ułożył na wieczorny spoczynek. Chyba nieźle się przestraszył, ale kiedy poczuł zapach świeżych ryb, rzucił się — ale nie na chłopa bynajmniej — lecz na jego siatkę z pstrągami. Szamotali się przez jakiś czas i kotłowali, bo chłopak nie był tchórzem i wcale nie zamierzał uczynić prezentu misiowi. W trakcie szarpaniny znaleźli się nad brzegiem Białki. Brzeg jest tutaj urwisty i niemal prostopadły. Niedźwiedź trzymał siatkę obiema łapami i nie puszczał. Chłopak miał siatkę na ramieniu i ręce swobodne. Popchnął misia a ten stracił równowagę, puścił wreszcie ryby i zleciał do Białki z wysokości blisko dziesięciu metrów. Podobno okropnie wył biedaczysko, bo rzeka kamienista i musiał się potłuc dotkliwie, a może i złamał łapę. Zaś chłopak z siatką wrócił do domu, trochę się martwiąc, czy przeciwnik sobie karku nie złamał.

Tak tutaj opowiadają. Mówią jeszcze, że niedźwiedź jednak przeżył. Ktoś tam widział go niedawno na Łysej Polanie. Próbował podobno wsiadać do małego „fiata". Ale ktoś inny mówi, że to nie jest prawda. Do samochodu wsiadał całkiem inny niedźwiedź, starszy i tutejszy, znany celnikom.

Komu wierzyć? Jedno tylko da się ustalić z całą pewnością. To mianowicie, który z uczestników leśnej przygody bierze teraz zastrzyki przeciwtężcowe i — na wszelki wypadek — przeciwko wściekliźnie.

ZOFIA SZLACHTA

Jan Wielek

Od kiedy górale fajki kurzą?

Mniej więcej do czasów I wojny światowej bez fajki — jak pisał w 1910 r. Antoni Kurzeja z Zabrzeży — *góral w ogóle, a zwłaszcza do kościoła się nie puszczał.* Na początku naszego stulecia w okolicach Łącka w modzie były fajki długie, cienkie, wyrabiane z drzewa gruszkowego, zapuszczane polituną na kolor ciemnopomarańczowy, nakryte mosiężną przykrywką. Fajki o cybuchu krótkim, barwione na kolor wiśniowy, zwane były *skawickimi* — kupowano je bowiem od wytwórców ze wsi Skawce podczas tradycyjnych pielgrzymek do Kalwarii Zebrzydowskiej. Chłopi z Ochotnicy nabywali fajki na jarmarkach w Nowym Targu — te składały się z glinianego kubka, oprawionego w mosiężną lub bakfonową blachę, bogato zdobione odciskami stempelków. Do kubka przymocowane było również zdobione wieczko. Cybuszek drewniany, lekko esowato wycięty. W okolicach Limanowej w początkach XX w. znano trzy rodzaje fajek: *sandecanki, józkowianki i olszowianki. Sandecanki* miały szczelny, głęboki cybuch, okuty metalem, tak że można było z fajką wchodzić nawet do stodoły bez obawy zaprószenia ognia. *Olszowianka* to fajeczka nieduża. *Józkowianka* zaś miała płytki cybuch. Przed I wojną światową „porządna" fajka była nabytkiem stosunkowo drogim — kosztowała bowiem około 3 koron austriackich. Fajki wyrabiano również na wsiach, najczęściej z *fląderów* — czyli narośli na gałęziach drzew. Często zdobiono je pomponikiem przypiętym do cybucha metalowym łańcuszkiem.

Do przechowywania tytoniu, zwanego *tabakiem* albo *habryką*, służyły mieszki — *kapciuchy* i *macherzyny*. Kapciuchów używali z reguły młodsi *kurzyce*. Szyte były z pozbawionej włosia i wyprawionej skóry królika lub kota, rzadziej barana. Gaździe przysługiwała *macherzyna* sporządzona ze świńskiego pęcherza, zdobiona sukiennymi lub aksamitnymi aplikacjami i mosiężnymi kabzlami, przez które przewlekano sznurek z ozdobnymi zakończeniami, ściągający górą mieszek, co zabezpieczało tytoń przed wysypaniem. Był to tradycyjny podarunek dla dziadka lub innego starszego krewnego. Niezbędna każdemu palaczowi była również druciana przetyczka, zamocowana zazwyczaj do końca pasa, mieszka na tytoń lub — u górali — do spinek spinających odświętną koszulę.

Od kiedy chłopi w górach fajki kurzyli?

Tytoń — jak to wszyscy zapewne wiedzą — trafił do Europy z Ameryki w XVI w., za sprawą marynarzy angielskich. Od Anglii zaczął swój zwycięski marsz przez Europę, w szybkim tempie zyskując sobie zwolenników wszędzie — od królewskich i książęcych dworów po domy mieszczan, rzemieślników i chłopstwa. Do jego szczególnej popularyzacji przyczyniły się wojny o europejskim zasięgu, tak częste w XVIII i XIX w.

W nasze strony, pod chłopskie strzechy, tytoń dotarł w XVIII stuleciu. W 1795 r. sąd łącki zaleca Antoniemu Potońcowi, *aby wziąwszy węgiel do fajki nie ważył się gdzie indziej kurzyć, po stajniach, stodołach chodzić, tylko w izbie, jeżeliby zaś przeciwko tej dyspozycji miał sobie postąpić, tedy za pierwszym doniesieniem na ośm dni kajdan i taczek osadzony będzie, za powtórnem zaś doniesieniem ta kara dublowana zostanie.*

Zapis ten wskazuje, iż palenie tytoniu było wtedy jeszcze zjawiskiem odosobnionym i potępianym. Nie znano co prawda jego fatalnego wpływu na zdrowie palacza, ale bano się strat materialnych, jakie mogły powstać w wyniku zaprószenia ognia. Pochodząca z 1756 r. „Ustawa według której gromada Ptaszkowa sprawować się powinna", w punkcie 9 nakazuje, *Aby żaden kart, kości, tytoniu, zkąd obraza P. Boga, chudoby utrata y częste ognia niebespieczeństwo przypada, pod karą 3 grzywien nieważył się zażywać.*

Interesujący przypadek związany z fajką opisany jest w książce sądowej miasta Limanowa pod datą 1819 r. Otóż przed sądem rozpatrywana była sprawa mieszczanina limanowskiego — Jakuba Piątkowskiego, u którego rozpoznano fajkę „srebro oprawną" jako własność jednego z mieszczan Cieszyna. Indagowany przez sąd Piątkowski tłumaczył, iż wraz ze wspólnikiem Janem Dutką, włościaninem ze Starej Wsi, pędził bydło do Ołomuńca. W drodze powrotnej kompan chciał od niego pożyczyć 2 złote reńskie i 30 krajcarków, obiecując w zastaw ową fajkę, znalezioną ponoć na drodze. Piątkowski pożyczył mu tylko 1 krajcarka, zatrzymując sobie proponowany zastaw. Nie zwrócił fajki dlatego, że *owego Dutkę wzięto do regimentu* (czyli wojska) i długu nie miał kto zwrócić.

Zwyczaj palenia papierosów dotarł w nasze strony w początkach XX wieku; wprowadzili go amerykańscy reemigranci, upowszechnili zaś zdemobilizowani po I wojnie światowej żołnierze austro-węgierscy. Atrybutem palacza stała się wtedy krótka, wiśniowa lufka oraz posrebrzana, rzadko zaś srebrna papierośnica, służąca do przechowywania zakupionych lub „ukręconych" papierosów. *Co się teraz podziało — wszyscy porobili się na panów* — opowiadał w 1905 r. stary mieszkaniec Ujanowic — Rosiek. *Patrzę się, gdy wchodzę do kościoła, każdy wstaje, wyjmuje książeczkę, wyrywa kartkę, kładzie na nią tytoń, kręci cygaro i pali — fu, fu — Panowie!* Książeczki — to specjalne zestawy bibułek, z których skręcano papierosy. Biedniejsi i mniej wymagający do tego samego celu używali kawałków papieru lub gazety.

Pierwszych palaczy papierosów często wyśmiewano, o czym świadczy chociażby zapisana w Starej Wsi koło Limanowej piosenka:

Jechoł chłop na koniu,
kapało mu z nosa.
Bo ni mioł fajecki,
Poluł papiyrosa.

STANISŁAW KULASIK (9)

PORWANY Z GNIAZDA

W roku 1943 przywieziono w nasze strony bardzo dużo Polaków i rozrzucono ich po wioskach i pobliskich miasteczkach. Nawiązałem nowe kontakty. Godna szczególnej uwagi była przyjaźń pomiędzy mną a Stanisławem Rudkiem pochodzącym z Brzeska. Do końca wojny byl mi druhem we wspólnej niedoli. Byliśmy w jednym wieku, mieliśmy jednakie upodobania i związaliśmy się przyjaźnią, która nie znała granic. On pracował w innej gminie — Rottenbach, oddalonej o 4 km i właśnie dzieliła nas granica administracyjna. W imię przyjaźni często paliliśmy do spółki jednego papierosa, dzieliliśmy się jednym jabłkiem, przyłapani przez policję w drodze zbieraliśmy w równych ilościach policzki, pożyczaliśmy sobie pieniądze na płacenie mandatów i wreszcie często siedzieliśmy razem w niedzielę w więzieniu. Jego nazywano „Stasiek blondas", a mnie „góral". Mieliśmy wiele przygód. Po wojnie Stasiek zginął tragiczną śmiercią w czasie pełnienia służby wojskowej, o czym powiadomili mnie jego rodzice.

Przywieziono również całe polskie rodziny do pobliskiej miejscowości Ratzenhofen. Skierowano do robót w cegielni, a zakwaterowano w niewielkim drewnianym domu za wioską, pod lasem. Dom ten był jednopiętrowy i pomieścił pięć rodzin. Przypominam sobie p. Orłowskiego z żoną, p. Frendla, państwa Malinowskich z córką i dwoma synami oraz p. Śliwę, bodajże z pięciorgiem małych dzieci. Byli to warszawiacy — z wyjątkiem rodziny Śliwów. My wszyscy, zamieszkujący w pobliskich wioskach, spotykaliśmy się w tym domu w niedzielę, a czasami w inne dni wieczorem. Politykowaliśmy. „Odżywialiśmy" ducha, dodawaliśmy sobie otuchy. Każdy przynosił jakąś wiadomość polityczną. Jeden cichaczem podkręcił radio i wysłuchał zakazanej stacji, inny rozmawiał z zaufanym Niemcem. Bywało, że z domu w Ratzenhofen wychodziło około 30 ludzi, jak z zebrania wiejskiego. Rodziny pracujące w cegielni były o wiele gorzej sytuowane niżeli my u bauerów. Musiały żyć z przydziałów kartkowych — i to „polskich kartek", przy których ciężko pracując można było nogi wyciągnąć.

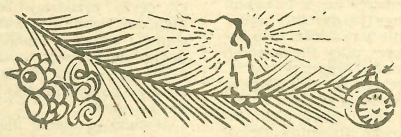

Policja wkrótce zainteresowała się naszymi schadzkami. A było nam tak dobrze i swobodnie! Czuliśmy się w tym domu wyśmienicie, bo przecież stanowiliśmy jedną wielką rodzinę Polaków-wygnańców. Śmiało wygrywaliśmy na ustnych harmonijkach „Jeszcze Polska nie zginęła", a nawet śpiewaliśmy nasz hymn. Można było śpiewać coraz głośniej, bo zaczynał się kryzys hitleryzmu. Nie tylko śpiewaliśmy, ale nawet tańczyliśmy. Ciemiężeni, każdy krok nasz był śledzony — a przecież bawiliśmy się. Ciesząc się z każdej porażki wroga na froncie, wbrew wszystkim szpiclom śpiewaliśmy i tańczyliśmy. Szkoda, że tak prędko policja „zaopiekowała" się nami. Często w niedzielę wieczorem przyjeżdżali policjanci na motorach, obstawiali dom, po czym jeden wchodził do wewnątrz i wszystkich zaganiał do jednego pomieszczenia. Było to czasem zabawne: tego wyciągał za nogę spod łóżka, innego z szyderczym ukłonem, rozchylając ubranie w szafie — prosił, aby był uprzejmy wyjść, jeszcze innemu zwracał uwagę, że przecież jest bardzo gorąco za piecem. W drugim pomieszczeniu stawaliśmy wobec uzbrojonych policjantów. Każdy z nas płacił 10 marek kary, a na dodatek w drzwiach otrzymywał parę policzków i kopniaka. Nie pamiętam, ile razy nas tam przyłapano. Natomiast pamiętam wieczór, kiedy przyjechało tylko dwóch policjantów i jeden stał w drzwiach od podwórza, a drugi poszedł przeszukiwać mieszkania. Byliśmy na pierwszym piętrze. Zauważyliśmy, że z drugiej strony budynku, pod oknami, nikt nie stoi. Otwarliśmy okno i jeden po drugim wyskakiwaliśmy na ścieżkę. Żadnemu nic się nie stało. Jednego tylko przyłapano, który nie zdążył skoczyć. Najczęściej przyłapywano mnie i Staśka, bo myśmy mieli stosunkowo blisko i często tam bywaliśmy. Nie kazano nam już płacić, tylko przez trzy kolejne soboty wieczorem przyjeżdżał policjant i odstawiał nas do więzienia. W poniedziałek rano wypuszczano nas i w ciągu godziny kazano zgłosić się u burgermeistra w swojej wiosce, a potem iść do pracy. Lecz i to nie zmieniło naszego postępowania.

Pewnego wieczoru Stasiek został przyłapany przez policjanta u mnie w pokoju. Rozwścieklony policjant od razu zabrał się do policzkowania mego przyjaciela. Stałem w rogu i patrzałem, jak bezlitosne razy spadały na twarz Staśka. Nie mogłem pomóc. Na koniec policjant krzyknął: — *Jak jeszcze raz złapię cię tutaj, to zastrzelę jak psa!* Stasiek niespodziewanie, wskazując na mnie — powiedział: — *To jest mój najlepszy przyjaciel i możliwe,że tu będę zastrzelony.* Dostał kopniaka i został wyrzucony za drzwi. Ja zainkasowałem tego wieczoru tylko dwa policzki.

Na rozrachunek z ciemiężycielami jeszcze nie nadszedł czas. Prawdę mówiąc, nie zemściliśmy się nigdy, bo policjant, który specjalnie lubował się w maltretowaniu nas, zaginął bez wieści. Różne krążyły pogłoski. Najprawdopodobniejsze były te, które głosiły, że Rosjanie rozprawili się z nim, bo i oni ucierpieli od tego drania.

Bez względu na kary i wszystkie przykrości, jakich doznawaliśmy od policji i cywilów, spotykaliśmy się nadal. Odwiedzaliśmy rodaków nie tylko w drugiej czy trzeciej wiosce, ale nawet w dziesiątej. Byliśmy już dostatecznie ubrani i mogliśmy się „zgubić" w pociągu pomiędzy Niemcami, zdejmując literę „P". Zdejmowanie tego znaku było już teraz powszechne. Można było skorzystać z kina czy zwiedzić jakieś miasteczko lub dalszą okolicę. Czasami się nie udawało, bo jakiś znajomy Niemiec, podpatrzywszy nas, nasyłał policję i wówczas na peronie dworca odbywała się „zabawa w chowanego". Sięgnęliśmy i po inny sposób. Ubieraliśmy się w krótkie skórzane spodnie, przypinaliśmy różne broszki do skórzanych szelek (jak to było w zwyczaju młodzieży niemieckiej w Wirtembergii) i w tym przebraniu mogliśmy się bezpiecznie poruszać w terenie. Kasjer i dyżurny ruchu na naszej stacji znali nas dobrze, ale uśmiechali się tylko. Oni patrzyli na nas jak na ludzi, a nie Polaków czyli przymusowych robotników. Wiele niedziel spędziliśmy daleko poza swą gminą, przywożąc wiadomości od rodaków z dalszych terenów. Wkrótce jednak policja wykryła, że Polacy zdejmują swoje oznakowanie. Zaczęła więc zaczepiać różnych podejrzanych (trochę gorzej ubranych), w tym wielu rdzennych Niemców. Zdarzyło się to również mojemu sąsiadowi, który niedzielę spędzał poza miejscem zamieszkania. Gdy opowiadał mi o tym — spytałem, czy było przyjemnie, bo my takie „przyjemności" przeżywamy prawie każdej niedzieli. Uśmiechnął się, poczęstował papierosem i powiedział, że ... wojna wnet się skończy.

Między różnymi wspomnieniami utkwiła mi w pamięci przygoda z nauczycielem (tym gnębicielem, o którym pisałem na początku). Pewnego roboczego dnia, gdy jechałem do pola na rowerze, spadł mi łańcuch i musiałem się zatrzymać akurat przed szkołą. Natychmiast podszedł nauczyciel i bezczelnie oglądając klapy mej marynarki spytał: *Wo hast du „P"?* (gdzie ty masz „P"). Złość mnie ogarnęła — nawet w czasie pracy nie dają mi spokoju. Miałem ochotę trzepnąć go po rękach, ale tylko udzieliłem odpowiedzi, jakiej często używaliśmy: — *du — „P" to u nas jest...* — pokazałem ręką odpowiednie miejsce — *i właśnie tu mam.* Znalazł wreszcie okazję, by wyładować nienawiść, która pałał do Polaków. Złapał za łopatę i z krzykiem zamierzył się na mnie. Nie dałem mu satysfakcji i nie uciekłem. Może dlatego łopata zawisła nieruchomo w powietrzu, a potem spadła na ziemię. Niemiec narobił krzyku, lecz nie odważył się uderzyć, a przecież mógł. Na pewno nie odwzajemniłbym się. Spokojnie odchodząc, pomyślałem: Tchórzu! Zdradziłeś swego Hitlera. Bałeś się, że Polak ci się odwzajemni. Przyjdzie czas, że dostaniesz!

Tego wieczoru był u mnie znów policjant. Grzecznie wyjaśniłem mu zajście z panem nauczycielem i wytłumaczyłem, że nie noszę litery „P", bo wszystkie zdarły się na gałęziach w lesie. Na drugi dzień otrzymałem 10 sztuk liter „P": prawie wszystkie przywiozłem do Polski na pamiątkę.

(ciąg dalszy nastąpi)

Fot. ANTONI ŁOPUCH

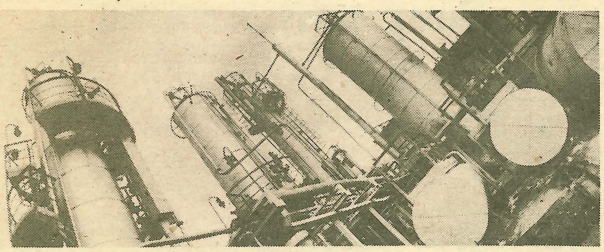

Sprawy Glimaru

Dobry rok

Mijający rok 1989 był dla nas bardzo pomyślny — ocenia **Adam Marmuźniak**, dyrektor ekonomiczny „Glimaru". — Zadania produkcyjne zostały przekroczone, wartość wytworzonych produktów osiągnęła sumę około 85 miliardów złotych, wypracowaliśmy 25 miliardów złotych zysku. Powiodły się również nasze zamierzenia eksportowe: utrzymaliśmy podobną jak w roku ubiegłym ilość produktów wysyłanych za granicę, zaś wartość tego eksportu — w wyniku wzrostu cen — była wyższa. Tak dobre efekty ekonomiczne naszego przedsiębiorstwa osiągnęliśmy przede wszystkim przez zwiększenie — mimo znanych kłopotów surowcowych — przerobu ropy naftowej.

Zwiększając produkcję i zysk, proporcjonalnie do nich podwyższaliśmy płace. Średnie miesięczne wynagrodzenie w roku 1989 wyniesie około 300 tysięcy złotych, a jeśli doliczyć nagrody wypłacane z zysku — około 320 tysięcy.

Chciałem podziękować tym, których wysiłek przyczynił się do tak dobrych wyników, oraz pogratulować najlepiej opłacanym pracownikom... podatku wyrównawczego, jakim najprawdopodobniej zostaną obciążeni w styczniu 1990 roku.

W trosce o bezpieczeństwo

Mówi **Jan Łopata**, zastępca komendanta zakładowej straży pożarnej:

— Chciałbym zaproponować inne spojrzenie na działalność zakładowych strażaków, kojarzącą się wielu ludziom jedynie z gaszeniem pożarów. Niektórzy pracownicy uważają, że skoro pełnimy dyżur, to oni o bezpieczeństwie myśleć nie muszą. Są w błędzie, bo choć straż rzeczywiście jest najmocniejszym ogniwem systemu ochrony pożarowej, to prócz nas istnieje wiele innych zabezpieczeń.

W Rafinerii obowiązuje wewnętrzny regulamin ochrony przed pożarami, określający obowiązki wszystkich pracowników i komórek organizacyjnych. Przedsiębiorstwo musi w taki sposób planować swą produkcyjną działalność, aby w możliwie największym stopniu wyeliminować zagrożenie, a jeśli już ogień się pojawi — być na taką ewentualność przygotowane. Dlatego ważnym zadaniem zakładowej straży jest kontrolowanie przestrzegania regulaminu, musimy więc być wszędzie tam, gdzie przepisy pożarowe są łamane, a o przypadkach zagrożenia powiadamiać kierownictwo przedsiębiorstwa. Chcąc dobrze wywiązywać się z tego obowiązku, musimy dysponować sporą wiedzą, pozwalającą znaleźć wspólny język z pracownikami o różnych fachach i wykształceniu. Pomoc i wyobraźnia pracowników umożliwia nam wspólne przewidywanie niebezpiecznych następstw remontów i modernizacji, wykonywanych podczas normalnego funkcjonowania zakładu — a więc w utrudnionych warunkach.

Przerabiany w „Glimarze" surowiec — ropa naftowa — wymaga szczególnej ostrożności w obchodzeniu się z nim, zaś prowadzone najczęściej na „żywym" zakładzie przez konserwacyjne, remontowe, itd., narzucają bardziej rygorystyczne niż gdzie indziej przestrzeganie przepisów bezpieczeństwa. Szczególnie niebezpieczne są roboty spawalnicze, dlatego niejednokrotnie naszym sprzętem chronimy place robót.

Duże znaczenie przywiązujemy do prowadzonego regularnie wśród pracowników Rafinerii szkolenia przeciwpożarowego, na praktycznych i teoretycznych zajęciach uczymy ludzi bezpiecznej pracy w warunkach zagrożenia. Załoga musi znać występujące w zakładzie niebezpieczeństwa, umieć im zapobiegać, a w razie potrzeby — podejmować samodzielnie odpowiednie decyzje, i współpracować ze strażą pożarną. Oto przykład charakterystycznego dla tego rodzaju przedsiębiorstw zagrożenia: w czasie napełniania, przepompowywania i transportu płynnych produktów ropopochodnych zdarzają się przypadki wybuchu, spowodowanego statyczną elektrycznością.

Na szkoleniach uczymy również posługiwania się różnego rodzaju gaśnicami. Nawet zatrudnione w „Glimarze" panie świetnie radzą sobie ze sprzętem gaśniczym.

Świeżym okiem

Od kilku tygodni zakładowa straż przemysłowa ma nowego komendanta. Choć **Jerzy Stępień** dopiero rozpoczyna pracę w Rafinerii, to — jak twierdzą niektórzy — już widać pewne zmiany w sposobie postępowania strażników.

— Moje dotychczasowe kwalifikacje na pewno przydadzą się w „Glimarze": byłem zatrudniony w wydziale kryminalistyki Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, a wcześniej — w referacie kryminalistyki Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Przez krótki czas byłem emerytem. Powróciłem do pracy, by — przyznaję — poprawić sobie warunki życia, ale i dlatego, że zebrane w ciągu wielu lat doświadczenie mogę jeszcze wykorzystać z pożytkiem dla siebie i dla firmy.

Od ponad miesiąca „uczę się" Rafinerii, poznaję pracujących tu ludzi. „Glimar" produkuje poszukiwaną benzynę i smary, więc „okazja czyni złodzieja" i zdarzają się kradzieże przede wszystkim tych produktów. Ważną sprawą jest bezpieczeństwo pożarowe: dotyczy to nie tylko odpowiedniej obsługi instalacji produkcyjnych i maszyn, ale i ludzi. Jeśli — pomimo naszej kontroli — na teren zakładu prześlizgnie się osoba nietrzeźwa, skutki mogą być bardzo poważne. Tu muszę podzielić się spostrzeżeniem: pracownicy Rafinerii są na ogół zdyscyplinowani, czego nie można powiedzieć o osobach z obcych firm, wykonujących prace w naszym przedsiębiorstwie.

No cóż, jestem „nową miotłą", która chce to i owo zmienić. Poprzedni komendant miał inne wymagania, ja spróbuję niektóre metody pracy, z jakimi zetknąłem się wcześniej, wykorzystać dla dobra „Glimaru". Już teraz widzę, że wiele można ulepszyć, natomiast sporo starych sposobów działania — odrzucić. Na przykład: wartownik powinien mieć stałą łączność z dowódcą warty przez radiotelefon.

Mam ponad dwudziestu ludzi, wielu z nich to osoby w starszym wieku, niektórzy mają za sobą czterdziestoletni staż. Niestety, praca wartownika jest zajęciem dla ludzi młodych, sprawnych fizycznie. Ale nie znaczy to, że pozbędę się doświadczonych weteranów.

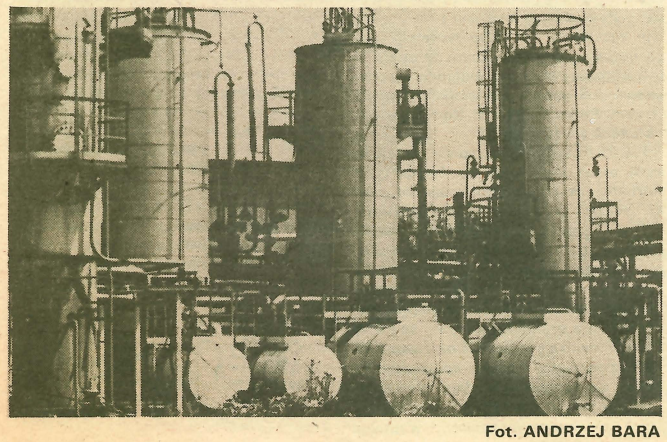

Fot. ANDRZEJ BARA

Pożegnanie

Dyrektor **Bronisław Niemaszyk** do załogi „Glimaru":

— Z końcem bieżącego roku, po ponad 45 latach pracy — głównie w przemyśle rafineryjnym — przechodzę na emeryturę. Fakt ten, jak i ćwierćwiecze sprawowania przeze mnie funkcji kierowniczych w Rafinerii, skłania do podsumowań.

Lata 1960-1980 to czas — o czym może nie wszyscy wiedzą — kilkakrotnych prób zlikwidowania zakładu, którym się zdecydowanie przeciwstawialiśmy. Centralnie rozdzielane fundusze inwestycyjne z ledwością starczały na podtrzymanie technicznej kondycji przedsiębiorstwa, podczas gdy olbrzymie środki przeznaczono na rozbudowę płockiej Pertochemii, a później Rafinerii Gdańskiej. Wiedząc, że warunkiem przetrwania „Glimaru" jest zwiększenie produkcji, wszelkimi sposobami dążyliśmy do rozwoju; w omawianym dwudziestoleciu powstał wydział destylacji rurowo-wieżowej, oddział wytwarzający mikrowoski, instalacja ługowania benzyn. Kadra techniczna Rafinerii — przy współudziale instytutów naukowych — opracowała wiele nowych technologii. W trosce o załogę wybudowaliśmy sanatorium „Chemik" w Wysowej, powstało osiedle pięciu bloków mieszkalnych, wyremontowaliśmy stare zakładowe domy.

Kolejna dekada — lata osiemdziesiąte — przyniosła nam oczekiwaną samodzielność. Podjęliśmy się modernizacji i rozbudowy technicznej infrastruktury, mającej poprawić jakość mediów energetycznych, polepszyć warunki pracy i zmniejszyć obciążenie środowiska. Działania te są przygotowaniem do dalszej modernizacji zakładu.

Planując strategię rozwoju „Glimaru", mieliśmy świadomość, że kłopoty z zaopatrzeniem w ropę naftową nie będą maleć, a nasilą się. Uwzględniając wiele czynników doszliśmy do przekonania, iż szansą przedsiębiorstwa jest wyspecjalizowanie się w produkcji wysoko przetworzonych specyfików, poszukiwanych również na rynkach zagranicznych. Sposobnością do realizacji tych zamierzeń są nawiązane kontakty z renomowanymi, zachodnimi firmami.

Przyznaję, że minione lata — prócz osiągnięć — przyniosły również sporo błędów, zaniedbań i nie przemyślanych decyzji. Wierzę jednak, iż otwierające się w nowych warunkach społeczno-ekonomicznych szanse i perspektywy powinny wyeliminować te ujemne zjawiska. Już teraz zaś mogliśmy skorzystać z wyjątkowo obfitych w tym roku owoców naszej pracy, co pozwoliło znacznie podnieść zarobki.

Dziękując całej załodze za wieloletnią, dobrą współpracę i więzy obustronnej sympatii — życzę pomyślności w życiu osobistym i sukcesów zawodowych, obracanych na pożytek sędziwego „Glimaru".

Potrzebny sklep

Parokrotnie w „Sprawach Glimaru" wspominaliśmy o konieczności otwarcia zakładowego sklepu, który sprzedawałby nasze produkty indywidualnym odbiorcom — tak, jak robią to niektóre krajowe rafinerie. Dziś kolejny głos w tej sprawie, wypowiada się zaopatrzeniowiec z Łambinowickiej „Celpy":

— *Przyjechałem do „Glimaru" aż z opolskiego. Przez całą drogę denerwowałem się myśląc, czy cokolwiek tu załatwię. W Rafinerii jestem już któryś raz i zawsze to samo: dzwoniąc przed wyjazdem nie można się dowiedzieć, kiedy będzie towar, jadę więc kilkaset kilometrów „w ciemno" i nierzadko wracam nic nie kupiwszy. Będąc tu, czasem rozmawiam z zaopatrzeniowcami z innych firm, którzy tak samo jak ja psioczą na brak informacji i ślimacze tempo załatwiania spraw. Tracimy czas, spalamy drogą benzynę.*

Krótko

● 110 pracowników Rafinerii przekazało z końcem listopada na Fundusz Wspierania Inicjatyw Społecznych i Gospodarczych Premiera Mazowieckiego kwoty od 1 do 20 tysięcy złotych.

● Projektant spalacza po raz kolejny zainteresował się swą nieudaną konstrukcją: specjaliści zaproponowali szereg zmian, koniecznych, by urządzenie mogło funkcjonować. Tak więc złoże piasku ma być podgrzewane od dołu przez dennicę. Należy zmienić kształt komory fluidyzacyjnej na bardziej „gruszkowatą". Piec jest zbyt niski, zatem trzeba dobudować dwudzielną komorę dopalającą. Przypomnijmy, że spalacz — według pierwotnych założeń — utylizować miał 2,1 tony odpadów porafinacyjnych w ciągu godziny, teraz zaś mówi się o najwyżej 750 kilogramach.

● Zakończono wartościowanie rafineryjnych stanowisk pracy. Z przecieków na ten temat można wnioskować, że ocena niektórych miejsc pracy wzbudzi duże zastrzeżenia, skoro zdarza się, iż pomiędzy podobnymi zajęciami jest różnica aż około stu punktów. Te dysproporcje wzięły się najprawdopodobniej stąd, że wartościowaniem zajmowało się kilka osób, różnie interpretujących takie subiektywne kryteria — jak np. prestiż pracy.

● Dokonano wstępnego odbioru naprawionych filtrów zakładowej oczyszczalni ścieków. Gdy dwa z trzech filtrów będą funkcjonowały normalnie — już to wystarczy do uzdatniania wody, zrzucanej do ściekowych kolektorów. Jeśli rozruch urządzeń przebiegnie bez zakłóceń, do końca bieżącego roku oczyszczalnia powinna osiągnąć pełną sprawność.

● Jak wynika z obliczeń komisji odwoławczej, pięciu członków Rady Pracowniczej (w tym również szef zakładowej „Solidarności") nie zdobyło zaufania swych wyborców. Z pracy w Radzie zrezygnował jej przewodniczący, Tadeusz Majka: — *W trakcie zebrania samorządu padł wniosek o odwołanie mnie. Przewagą jednego głosu pozostałem na stanowisku — ale zdecydowałem się odejść uważając, że w tej sytuacji nie ma sensu dłużej sprawować funkcji.*

● „Tech-Ekon" wciąż nie może skupić większej ilości członków. Z dziewięćdziesięcioosobowej kadry inżynieryjno-technicznej „Glimaru", kilkudziesięciu pracowników działa w związkach branżowych, zatem nowa organizacja może liczyć najwyżej na 50-60 deklaracji członkowskich. Przepisy stanowią, iż w ciągu trzech miesięcy od daty zarejestrowania, nowo powstały związek nie może skupiać mniej niż 50 osób. W przeciwnym razie wniosek do sądu o wyrejestrowanie organizacji składa jej komisja rewizyjna, lub odwołuje się związek na podstawie informacji wpływającej do sądu z innych źródeł.

Kolumnę „Sprawy Glimaru" redaguje JANUSZ WÓJCIK

Głos Glinika

Wobec trudnych wyborów

W zakładach pracy z niecierpliwością oczekuje się na sprecyzowanie głównych kierunków polityki rządu w dziedzinie socjalnej. W warunkach hiperinflacji i rosnącej z dnia na dzień biedy coraz częściej stawiane jest pytanie, co dalej ze świadczeniami i jaka rola przypada macierzystym firmom w niwelowaniu skutków drożyzny? Zwłaszcza że tu i ówdzie nadal nadużywa się tezy o nadopiekuńczości państwa, które przecież w coraz mniejszym stopniu chroni obywateli zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej przed rozbojem cenowym.

Każdy zakład ma swój fundusz socjalny, który może podbudować środkami z zysku. Oczywiście wysokość funduszu socjalnego dotychczas określano w planie rocznym. W sytuacji względnej stabilizacji można było tak planować, by wystarczyło na najpilniejsze potrzeby, a więc na finansowanie kolonii, wczasów, obozów młodzieżowych, wczasów „pod gruszą", świadczeń dla emerytów i rencistów, zapomóg, sportu masowego i rekreacji. Fundusz socjalny „Glinika" w bieżącym roku (bez kosztów dowozu pracowników oraz utrzymania bloków zakładowych) szacuje się na 330 mln zł. Dowóz pracowników pochłonął 300 mln zł, zaś utrzymanie zakładowych mieszkań — 280 mln zł.

Fabryka należy do firm, które mają opinię troszczących się o załogę. Kiedy planowano środki na wydatki socjalne, uwzględniono, choć oszczędniej niż w roku ubiegłym, wszystkie potrzeby pracowników. To co stało się później z cenami, musiało zaskoczyć wszystkich. Wielokrotny ich wzrost postawił przedsiębiorstwo w bardzo trudnej sytuacji. Ustalone przez organ samorządowy (po wcześniejszej konsultacji ze związkami zawodowymi) regulaminy i tabele odpłatności obowiązywały, a ceny pięły się w górę. Jeśli wczasy nad morzem kosztowały 140 tys. zł, to pracownik płacił z tego niewielki procent, np. 33 tys. zł. Wszystkie dzieci pracowników Fabryki wyjechały na kolonie, niezakłócony został także tok wyjazdów na wczasy. Niestety, wzrosło obciążenie funduszu socjalnego. W sytuacji tak wielkiej inflacji trudno coś zaplanować. Obowiązująca dzisiaj cena może za kilka dni wzrosnąć nawet kilkakrotnie. Jest to wielki dylemat dla zakładów. Wszystkich bez wyjątku, ale zwłaszcza tych, które do tej pory nie szczędziły środków na cele socjalne.

Jak więc planować świadczenia socjalne w 1990 roku? Tu i ówdzie pojawiają się propozycje, by kierując się zasadą, że wszyscy wypracowują środki na fundusz socjalny i powinni z niego korzystać w jednakowym stopniu, każdemu pracownikowi przyznać równą kwotę. Być może, iż propozycja taka jest logiczna, ale czy naprawdę sprawiedliwa? Jakie środki zostaną do podziału dla tych, którzy mają po kilkoro dzieci?

Każda szanująca się firma musi mieć atuty socjalne, żeby nimi oddziaływać na ludzi. Owe atuty wiążą załogę z zakładem, nawet jeśli korzysta z nich w ograniczonym zakresie. Dobrze byłoby spojrzeć na tę kwestię przez pryzmat doświadczeń firm japońskich, w których świadczenia socjalne, zwłaszcza dla pracowników związanych od pokoleń z nimi, są znaczne. Drugiej Japonii na razie nie zbudujemy, ale z doświadczeń warto skorzystać.

W tych ważkich kwestiach rząd powinien wypowiedzieć się co rychlej i to bardzo konkretnie. Dziś w zakładach właściwie nic nie wiadomo. Nawet w jaki sposób ustalić odpłatność za wyżywienie w szkołach przyzakładowych.

Fabryka, jak wiele innych przedsiębiorstw, stoi przed trudnymi wyborami w sprawach socjalnych. Będą one zależały od kierunków polityki rządu wobec zakładów przemysłowych, a więc od tego, jakie reguły ekonomiczne w tej sferze zostaną ustalone. Związki zawodowe nie mają łatwego zadania, bo możliwości zakładu w warunkach hiperinflacji trudno jest określić. Na co się zgodzić, a przeciw czemu zaprotestować? — na to pytanie trzeba będzie znaleźć odpowiedź.

Mamy nowy samorząd

29 listopada odbyło się pierwsze posiedzenie nowo wybranej Rady Pracowniczej IV kadencji. W tajnym głosowaniu powołano prezydium samorządu: przewodniczącym został **Tadeusz Horowicz**, zastępcami — **Jan Gotfryd, Marian Mikołajczyk i Zbigniew Augustyn**, sekretarzem — **Tadeusz Michalik**. Nowy przewodniczący przedstawia siebie i koncepcję pracy Rady:

— Z „Glinikiem" związany jestem od szesnastu lat, pracuję w wydziale głównego mechanika w kuźni. Na to, że zostałem wybrany szefem Rady Pracowniczej, miały wpływ — jak mi się wydaje — wydarzenia z marca bieżącego roku. Byłem w komitecie strajkowym a później w grupie ludzi, którzy odwoływali poprzedni samorząd. Myślę, że wówczas zdobyłem zaufanie załogi.

Jestem technikiem i zdaję sobie sprawę, że moje wykształcenie nie wystarcza, by orientować się we wszystkich sprawach, z jakimi będę się stykał na tym stanowisku. Przydałaby się znajomość ekonomii i prawa, dlatego — choć pewne doświadczenie w ciągu lat pracy zebrałem — nie będę się wstydził korzystać z wiedzy fachowców z tych dziedzin. Wierzę też, że problemy naszego zakładu są do rozwiązania. Jak cudów nie ma w technice, tak nie ma ich i w funkcjonowaniu przedsiębiorstwa.

O starym i nowym stylu pracy

— Chcę wyciągnąć wnioski z błędów poprzedniej Rady. Wydaje mi się, że zasiadający w niej ludzie nie potrafili nawiązać kontaktu z pracownikami Fabryki i nie dbali, aby praca samorządu była w zakładzie powszechnie znana. Nie zarzucam naszym poprzednikom, że zdziałali niewiele: dopiero teraz widzę jak wieloma rzeczami się zajmowali, ale załoga nie znała bliżej tych wysiłków.

W czasie wyborów padały głosy: — *Po co nam Rada Pracownicza? Poprzednie nic nie zdziałały, to i ta lepsza nie będzie!* Chcielibyśmy więc odzyskać zaufanie załogi i udowodnić, że nie jesteśmy tylko po to, by przytakiwać kierownictwu, ale mamy rzeczywisty wpływ na życie zakładu, jesteśmy jego współgospodarzami.

Przygotowujemy szereg działań, które pomogą zrealizować nasze zamierzenia. Przede wszystkim członkowie Rady i pracownicy zakładu muszą dobrze znać uprawnienia i obowiązki samorządu. Dlatego w najbliższym czasie statut Rady będzie wielokrotnie odczytywany przez zakładowy radiowęzeł albo powielony na piśmie i rozdawany zainteresowanym. Wszyscy zatrudnieni w „Gliniku" powinni wiedzieć, czego można od nas żądać, a czego nie, jakie prawa mają delegaci na Walne Zgromadzenie. Zakładowy radiowęzeł będzie na bieżąco informował o pracach Rady, ludzie muszą znać podejmowane przez nas uchwały, naszych działań nie może okrywać tajemnica, dająca początek plotkom. Zatrudnieni w różnych wydziałach Fabryki członkowie samorządu powinni propagować w swoich miejscach pracy nasze poczynania. Informacje muszą bez przeszkód iść z „dołu" do „góry": na naszym pierwszym posiedzeniu apelowałem, aby bez owijania w bawełnę mówić o tym co dzieje się w zakładzie, co ludzie naprawdę o nas myślą. Byłoby wspaniale, gdybyśmy potrafili zachować krytycyzm w stosunku do siebie.

Jak zorganizować pracę Rady, aby działała najsprawniej? Poprzedni samorząd miał cztery podkomisje robocze — my powołaliśmy trzy: do spraw socjalno-bytowych, gospodarczo-ekonomiczną i trzecią, kontrolującą wykonywanie podejmowanych uchwał. Trzecia podkomisja ma czuwać, by możliwie wszystko, co postanowimy, było wykonywane. Jeśli nam się to uda — odzyskamy zaufanie załogi, bo samego gadania robotnicy nie traktują poważnie.

Nie możemy polegać na mądrości i doświadczeniu tylko członków samorządu. Do pracy w podkomisjach zaprosimy ludzi o dużej wiedzy — ekonomistów, kadrę inżynierską. Byłoby dobrze, gdyby udało się spożytkować ich chęć do współpracy z nami. Chodzi również o to, by komisje były otwarte na pracowników spoza Rady, chcących przysłużyć się zakładowi. Doszliśmy do wniosku, że przewodniczącymi podkomisji mogą zostać ludzie spoza samorządu, jeśli tylko są cennymi fachowcami.

O trudnych decyzjach

— Jeśli kierowanej przeze mnie Radzie uda się realizować postulaty idące z „dołu", będzie to spory sukces. Oczywiście, robotnicy nie zawsze mają rację, kierują się nieraz grupowymi interesami, a samorząd przecież nie może popierać jednej tylko grupy zawodowej. Jeśli konieczne zmiany, przed jakimi stoi „Glinik", będą musiały się odbywać kosztem którejś z pracowniczych grup — trudno, powinniśmy myśleć przede wszystkim o dobru zakładu. Dlatego też możliwe, że będziemy zmuszeni podejmować niepopularne decyzje, narażając się na konflikty ze związkami zawodowymi. Chodzi o to, aby trudne decyzje wyrządzały szkodę jak najmniejszej ilości pracowników, a na dłuższą metę — przynosiły korzyści. Dla przykładu: atestacja, którą zakończono kilka miesięcy temu, nie spełniła pokładanych w niej nadziei, bo przeprowadzano ją w nieodpowiedni sposób. Myślę, że w najbliższym czasie trzeba będzie coraz uważniej przyglądać się każdemu stanowisku pracy.

Miło szaleć, kiedy czas po temu

Obrzęd to stary, ma w sobie coś z misteriów: kobietom tu wstęp wzbroniony, ze dwustu chłopa zapamiętale celebruje złocisty napój. Jak na wiekowy obrzęd przystało, również i jego forma obrosła w tradycję, ściśle przestrzegany rytuał obwarowano niezrozumiałymi dla laika słowami. Mowa, oczywiście, o „gwarkach".

Tego wieczora sala glinickiego Domu Kultury przemieniła się w kopalnianą komorę. Tak więc w kamiennej, rozświetlonej żółtym blaskiem lampek pieczarze, na honorowym miejscu zasiada szanowne Prezydium, spoglądając z góry na nobliwą Tablicę Wyższą i pełną niesfornych, rozgadanych gwarków Tablicę Niższą. Pokazuje się Lis Major (w stroju przypominającym — bez obrazy — Papkina z fredrowskiej „Zemsty"), ze słowami: „Witam najstarszą na Gliniku Strzechę", przekazuje Prezesowi szpadę — symbol władzy na dzisiejszej biesiadzie.

Gwarkowie witają Prezesa, intonują „Niech żyje nam górniczy stan". Zostają teraz obrani Kontrapunkci, czyli przełożeni obu tablic. Kontrapunktem Tablicy Wyższej zostaje Jan Domiczek, Tablicy Niższej — Czesław Oruba. Z rąk prezesa otrzymują barty — górnicze toporki, symbol władzy — z upomnieniem: — *Władajcie twardą ręką i jak trzeba, używajcie bartów nie tylko symbolicznie.* Prezes rozkazuje Fuksom nalać trunku starszyźnie, pospólstwo na razie czekać ma cierpliwie na werdykt o jakości piwa. Prezydium z powagą konsumuje, ostrożnie badając każdy łyk. Wreszcie Prezes powiada: — *Po dodennej analizie i na podstawie rozważań nie tylko teoretycznych, stwierdzam autorytatywnie, że ta złocista ambrozja potocznie i wulgarnie piwem zwana jest godna gardziołków Starych Strzech. Fuksy, lać piwo! Mam uczulenie na widok pustych kufli!*

Pienisty napój w mig nalany zostaje do kufli, przez dłuższą chwilę słychać tylko siorbanie, pracowicie poruszają się grdyki. Prezes przerywa ogólne żłopanie: — *Przekazuję na czas Gwarków — i tylko Gwarków! — władzę nad zakładem w ręce Konwentu Gwarków. Symbol tej władzy, klucze do bramy głównej, wręczam Lisowi Majorowi. Władajcie godnie, statecznie i bez przesady.* Wszyscy śpiewają teraz „Zieleni się jodła..." Rozgrzani śpiewem gwarkowie tęsknie spoglądają na kufle, ale Prezes nie daje wytchnąć: — *Muszę powołać organ wykonawczy naszych nieomylnych zaleceń. Wzywam więc przed nasze oblicze kandydatów na gwarkowe ZOMO.* Dziarscy, dobrze zbudowani chłopcy stawiają się na wezwanie, wysłuchują poleceń Prezesa, a po chwili idą pomiędzy stoły, groźnie spoglądając na boki, potrząsając pałkami przed bardziej rozochoconymi gwarkami.

A teraz — skok przez baranią skórę, czyli pasowanie Młodych Lisów na górników. Przed beczką, przy której ma się odbyć ceremonia, stają „ojcowie chrzestni", trzymając w rękach skórę. Zbliżają się Młode Lisy, chór intonuje pieśń „Kto z góry idzie tam..."

Na sali coraz gwarniej, Fuksom ręce omdlewają od ciągłego, coraz częstszego dolewania, brać górnicza bawi się już w najlepsze. Jeszcze wręczenie Medalu Starego Piwosza, upominki, zmagania z Babą Piwną, Piwna Anarchia — gwarkowie sprawnie, bez zbytniego zamieszania opuszczają gościnną pieczarę, w garściach trzymając kufle — na pamiątkę.

Powoli w podziemnej sali gasną lampki, Fuksy szybko sprzątają — i nagle czar pryska, kopalniana pieczara znów staje się salą gimnastyczną glinickiego Domu Kultury. Tylko odłożona w kąt, rozbebeszona Baba Piwna i przewrócona beczka przypominają o wyczynianych tu przed chwilą — ale nie przekraczających granicy przyzwoitości — gwarkowych harcach.

Młodzi przy głosie

Zygmunt Jodłowski z Zarządu Zakładowego ZSMP:

— Zastanawiamy się, co będzie z naszą organizacją w przyszłym roku. Zrzeszamy obecnie 1 700 osób, ale chętnych do bezinteresownego działania jest może 300... Nie wiem, czy po likwidacji Funduszu Akcji Socjalnej Młodzieży uda nam się uruchomić jakąś spółkę przynoszącą zyski organizacji. Rząd zapowiada likwidację wszelkich dotacji, dalsze istnienie ZSMP staje więc pod znakiem zapytania. Na razie jeszcze działamy: organizujemy spotkania górników z uczniami i przedszkolakami (nawet w Nowym Sączu), Sylwestra na 100 par, spartakiadę zakładową (chociaż brakuje pieniędzy na zakup dyplomów i pucharów). Myślimy o utworzeniu klubu (z video, a w przyszłości z telewizją satelitarną) w piwnicach zakładowego bloku nr 8 przy ul. Tuwima (osiedle Młodych). Obawiam się jednak, czy z braku funduszy i wskutek klimatu, jaki wytworzył się wokół organizacji, uda się zrealizować chociaż niewielką część naszych zamierzeń.

Zbigniew Wantuch, planista z wydziału rotacyjnego:

— Sytuacja wielu organizacji w fabryce przypomina położenie człowieka na dryfującej krze, który mając świadomość, że lód szybko się roztopi, wypatruje gałęzi, aby się jej uchwycić. Trudno jednak przewidzieć, czy mu się to uda. ZSMP chyba nie przetrwa. Po kilku latach znów będzie się mówić o tym, że młodzi powinni mieć swój związek i powstanie nowa organizacja.

Jako zapalony turysta i narciarz, obawiam się, że przy wzrastającej cenie usług, zaginie zupełnie turystyka. Ostatnio udało mi się kupić sprzęt narciarski. Zapłaciłem 300 tys. zł, to sporo jak na moją kieszeń, a co mówić o bardziej luksusowym: na przykład buty „Himalaje" kosztują 985 tys. zł. Turystyka powinna być i dla bogatych, i dla biednych. Tymczasem zakradło się do niej urynkowienie. Tylko w jakim stopniu z tak „urynkowionej" turystyki korzystać będą zwykli ludzie? Czy stać ich będzie na to?

Aleksander Szpryka, kierownik obiektów sportowych:

— Utrzymanie basenu, lodowiska i stadionu sportowego GKS „Glinik" jest kosztowne i w dużym stopniu obciąża fabrykę. Obecnie bilet na basen kosztuje 300 zł, a na lodowisko — 400 zł. To dość wysokie ceny jak na kieszeń młodych ludzi, ale w niewielkim stopniu pokrywają one koszty utrzymania naszych obiektów. A przecież z basenu i lodowiska korzystają wszyscy gorliczanie, wypadałoby więc, żeby pozostałe zakłady uczestniczyły w kosztach remontów, modernizacji i utrzymania tych obiektów. Dzisiaj trudno mi rozpisać harmonogram najpilniejszych remontów, gdyż nie wiem, jakimi środkami przyjdzie nam gospodarować i skąd je otrzymamy.

O metalowych bublach

Mówi **Wanda Kuszyńska**, kierowniczka pracowni metalograficznej zakładowego laboratorium:

— Hutniczym atestom ufać nie można. Często w trakcie obróbki metalu okazuje się, że ma on wady, o jakich nie piszą w żadnym fachowym podręczniku. Dlatego od wielu lat fotografuję i opisuję wykryte przypadki wad hutniczych materiałów, żeby móc tę wiedzę przekazać pracownikom.

Dostarczana z hut stal — mimo atestu — często nie odpowiada normom. Jeśli wada zostanie wykryta w czasie dostawy czy w początkach procesu obróbki — pół biedy, ale bywa i tak, że niektóre defekty materiałów uwidoczniają się dopiero w końcowych fazach obróbki — wówczas straty, jakie ponosi zakład, są znaczne.

Były czasy, kiedy atesty naprawdę świadczyły o dobrej jakości krajowych materiałów. Jednak gdy wady zaczęły pojawiać się coraz częściej, zostaliśmy zmuszeni powtarzać badania, jakie powinny wykonywać huty. Tak więc pobieramy próbkę części przywiezionego materiału: jeśli wszystko jest w porządku — dajemy wiarę, że stal jest dobra, jeśli zaś znajdziemy jakąś usterkę — przystępujemy do dokładnego badania całej dostawy. Koszty dodatkowych analiz pokrywa „Glinik", wstrzymywana jest produkcja, tracimy czas. A przecież za hutnicze atesty sporo płacimy!

Jeśli laboratorium odkryje w stali niepożądaną „niespodziankę" — opisujemy ją, reklamację wysyłamy do producenta bubla. W latach sześćdziesiątych-siedemdziesiątych dostawcy z reguły natychmiast reagowali na nasze zastrzeżenia, zwracając pieniądze albo dając materiał zastępczy. Teraz górą są huty, należy brać to, co dają, bo wybredni nie dostaną nic. Jeśli producent uwzględni reklamację — z reguły zwraca koszty materiałów. Jednak w czasach, gdy ceny surowców rosną bardzo szybko, nawet zwrot pieniędzy jest dla zakładu stratą.

Wpadki zdarzają się również renomowanym, zachodnim kontrahentom. Piętnaście lat temu sprowadzaliśmy specjalny gatunek rur z zachodnioniemieckiej firmy Kruppa. W trakcie próby ciśnieniowej cylindra obudowy górniczej, wykonanej z niemieckiej stali — rura zaczęła pękać, nie wytrzymując naporu oleju. Sprawdziliśmy: przyczyną była tzw. nitka walcownicza, częsty grzeszek i naszych stalowni. Napisałam reklamację. Niemcy, po przedstawieniu im dowodów hutniczych wad — bez szemrania uznali naszą rację.

To znowu ty, inspektorze?

Wincenty Brudnik od dziewięciu miesięcy jest Społecznym Zakładowym Inspektorem Pracy. Wcześniej był rozdzielcą robót i referentem do spraw administracyjnych. Bardzo ostrożnie wypowiada się na temat Fabryki, gdyż warunki pracy w niektórych wydziałach są ciężkie. Pracownicy narzekają na nadmierny hałas, niedogrzanie hal, zły stan maszyn i urządzeń.

Jednym ze „wskaźników" aktywności inspekcji pracy są wiosenne i jesienne przeglądy. Wincenty Brudnik informuje o wynikach ostatniej kontroli: — *Wiosną zapisaliśmy w harmonogramie ponad sto spraw, wymagających rozwiązania. Niestety, nie wszystkie zdołano zrealizować. Cieszymy się, że wreszcie rozpoczęto instalowanie odciągów w matrycowni, wykonano ocieplenie ścian zewnętrznych w spawalni świdrów, modernizuje się przeciągarki w wydziale narzędzi rotacyjnych. Nie zrobiono natomiast nic, żeby poprawić warunki pracy w malarni wydziału obudów. Nie rozwiązano także sprawy wywozu wiórów po obróbce w wydziale obciążników. Odpady składowane są w pojemnikach, które znajdują się w pobliżu stanowisk tokarskich, tarasują więc przejście, a wyciekający z wiór olej stwarza zagrożenie pożarowe.*

Nadal hale są niedogrzane, na okrągło mamy sygnały o wybitych szybach. Nie zamocowano jeszcze siatek ochronnych pod oknami dachowymi w odlewni i starej hali wydziału mechanicznego. W trakcie realizacji jest montowanie — przy obrabiarkach w wydziale obciążników — urządzenia zabezpieczającego przed rozchlapywaniem emulsji. Chciałbym wierzyć, że w przyszłym roku — mimo spodziewanych trudności — sprawy bhp nie będą pomijane. Czasem trzeba kilka razy przypominać niektórym o wykonaniu zadań, zdarza się, że osoby odpowiedzialne za stan bezpieczeństwa i higieny pracy opornie podchodzą do realizacji zaleceń społecznej inspekcji. Nie może nas to jednak zrażać, choć zdarza się usłyszeć na powitanie: — To znowu ty, inspektorze, co tym razem?

Co słychać w Komitecie

— Wbrew opinii niektórych osób partia w fabryce nie umarła — informuje I sekretarz Komitetu Zakładowego, **Tadeusz Karus**. — W drugim półroczu bieżącego roku oddało legitymacje 45 osób, są to przede wszystkim pracownicy umysłowi. Najczęściej powodem odejścia jest zrażenie się do skuteczności polityki partii w sferze społeczno-gospodarczej. Wśród pozostałych w naszych szeregach członków panuje nastrój oczekiwania, co przyniesie XI Zjazd, jaki kształt organizacyjny będzie mieć nowa partia polskiej lewicy. Powszechne jest odczucie, że PZPR spełniła swoją misję i musi ustąpić miejsca organizacji bardziej przystającej do naszej rzeczywistości, skutecznie reprezentującej autentyczne interesy ludzi pracy.

Większość naszych członków zbyt słabo angażuje się w prace Komitetu. Ostatnio przygotowywaliśmy się do wyboru delegatów na XI Zjazd. Zaproponowaliśmy następujących kandydatów: **Wincentego Brudnika** (Zakładowego Społecznego Inspektora Pracy), **Hieronima Dańkę** (kierownika laboratorium pomiarów elektro-energetycznych oraz oddziału utrzymania ruchu) i **Józefa Matuszyka** (frezera z wydziału rotacyjnego). Większością głosów wybrano **Wincentego Brudnika**.

— Podczas spotkań wyborczych zebrani wyrażali niepokój o status partii w przedsiębiorstwach, a także powodzenie przedsięwzięć rządu w gospodarce. Widać było, że ludzie mają świadomość trudnej sytuacji naszego kraju i chcą pomóc w wyjściu z kryzysu, o czym mogą świadczyć uzyskiwane ostatnio w Fabryce wyniki. Ludzie chcą być przydatni, choć niepokoją się wizjami bezrobocia i upadłości niektórych firm. Jestem zadowolony z dotychczasowego współdziałania wszystkich sił społeczno-politycznych w Fabryce, które ogniskuje się przede wszystkim na sprawach przedsiębiorstwa, a nie na politykierstwie.

Barbórkowe migawki

Choć nad Ropą i w Gorlicach — myśmy górnikami — takie motto otwiera „Wybór pieśni górniczych i różnych", wydany z okazji tegorocznego górniczego święta, i w słowach tych jest sporo prawdy. Przypomnijmy wydarzenia i nastrój glinickiej Barbórki'89.

Zakład skrzętnie „oplakatowano". Ale nie była to krzykliwa propaganda i znane sprzed lat, bijące tężyzną hasła. Już w wilię zakładowej uroczystości, pierwszego grudnia, opanowało ludzi — tych w biurach i tych przy maszynach — niecodzienne podniecenie. Jednych emocjonowała wypłacana tego dnia, okolicznościowa premia, innych — radość z bliskości święta, w którym przychodzi się do Fabryki, aby poczuć dumę z wykonywanej pracy.

Sobotni poranek: przez biurowiec, Dom Kultury i bramę zakładu przewija się wiele odświętnie odzianych osób. Dziś nikt się nie śpieszy. Jest czas na pogawędkę ze znajomymi, dyskretnie wskazuje się tych, którzy mają być wyróżnieni i odznaczeni. Otwarto salę tradycji, klubową kawiarenkę, w sali wystawowej zasłużeni pracownicy honorowani są dyplomami i resortowymi odznaczeniami.

Czas szybko mija, delegacja gości i gospodarzy składa wiązanki kwiatów pod pomnikiem pracowników zakładu, poległych w czasie ostatniej wojny. Teraz akademia — uroczystość kojarząca się z pompą, nudą rozwlekłych przemówień, niemrawymi oklaskami. Tym razem — jak mówią ci, którzy zaliczyli niejedną, fabryczną akademię — jest inaczej: wystąpienia krótsze, język żywszy, mówi się nie o „zabezpieczaniu potrzeb na dzień dzisiejszy", ale o kondycji górniczego stanu i „Glinika", o trudnych, ale nie pozbawionych optymizmu czasach. Pogodne, życzliwe gorliczanom przemówienie jednego z gości — wicemarszałka Sejmu **Tadeusza Fiszbacha** — porusza ludzi prostotą, patriotyzmem. Zostają rozdane wysokie odznaczenia państwowe, na podium wbiegają rozśpiewani „Pogórzanie". Teraz szybko po palta, przebieżka na drugą stronę ulicy: zakładowa stołówka gości uczestników akademii obiadem.

Oficjalna część barbórkowego święta niemal zakończona. Ludzie wychodzą ze stołówki, powoli, grupkami rozchodzą się do domów. Część osób — sami mężczyźni — zostaje, oczekując rozpoczęcia gwarkowej biesiady. Na ten moment czeka się cały rok, i przez rok następny się go wspomina.

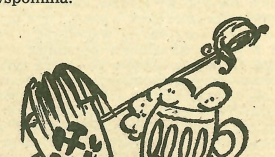

Dowcipy gwarków

Jeden z gwarków zwierzył się kolegom taką anegdotą: — Pracowałem kiedyś w szpitalu wojskowym, obsługiwałem chorych, leżących w olbrzymiej sali. Podchodzę do pierwszego łóżka, pytam:

— Co wam jest?

— Hemoroidy

— Co lekarz zalecił?

— Pędzlowanie.

— Macie jakieś życzenie?

— Nie.

— Rozmawiam z drugim chorym, trzecim, dziesiątym — wszyscy mówią to samo. Pytam trzydziestego:

— A wam co?

— Angina.

— Co zalecono?

— Pędzlowanie.

— Macie jakieś życzenie?

— Tak jest! Żeby mnie pędzlowano pierwszego!

★

Starszy gwarek zaczął narzekać na swe zakładowe mieszkanie o ścianach tak cienkich, że życie prywatne sąsiadów nie jest dla niego żadną tajemnicą. Na przykład niedawno sąsiad z mieszkania obok — miłośnik kultury antycznej — stanął po kąpieli przed lustrem i powiada do żony:

— Wiesz, Jadziu, gdybym był o trzy centymetry wyższy, wyglądałbym jak Apollo.

Na to żona po chwili namysłu:

— Wydaje mi się, że gdybyś miał te trzy centymetry mniej, wyglądałbyś raczej jak Afrodyta!

★

Rozochocony piwem młody gwarek opowiada, co widział niedawno w przyzakładowej przychodni. — Siedzę przed gabinetem lekarza, po chwili drzwi się otwierają, wychodzi młoda dziewczyna. Po dziesięciu minutach dziewczyna wraca, wchodzi do gabinetu i pyta doktora:

— Panie doktorze, czy nie zostawiłam u pana fig?

— Nie!

— A niech to! Musiałam je w takim razie zostawić u dentysty!

★

Gwarek-brygadzista zwierza się kolegom ze swych zakładowych kłopotów, urabiając je w śpiewkę:

A u mnie w brygadzie piwożłopów siedem,
A jak do roboty — to zostaje jeden.
Pięciu znów choruje, kaca leczy jeden,
A jak jest wypłata, to nas zawsze siedem.

Głos Glinika

Elektro GRAFIT

Życzenia pod choinkę

Renoald Sokołowski, przewodniczący Związku Zawodowego Pracowników SZEW:

— Życzyłbym sobie i innym stabilnej sytuacji rynkowej w zakresie zaopatrzenia i cen. Jasnego systemu płacowego. Równości wszystkich sektorów gospodarczych, gdyż obecnie przedsiębiorstwa państwowe płacą największy haracz podatkowy, spółdzielnie — mniejszy, zaś rzemiosło — skromny. Życzyłbym sobie również wymienialności złotówki, choćby po to, żeby się ustabilizowała, a nie traciła na wartości. O hiperinflacji najlepiej świadczą relacje naszej złotówki np. do rubla: w ubiegłym roku za jeden rubel płaciło się (wraz z dopłatą turystyczną) 150 zł, ostatnio — 2400 zł. Chciałbym w przyszłym roku autentycznego pluralizmu w prasie, radiu i telewizji. Jednakowego dostępu do środków masowego przekazu dla wszystkich organizacji, zgodnie z ustaleniami „okrągłego stołu". Niestety, wiele z tamtejszych postanowień realizowane jest na opak. Chciałbym także, aby „Solidarność" wyraźnie opowiedziała się, czym jest: partią, ruchem społecznym czy związkiem zawodowym.

Naszej firmie życzę modernizacji. Pracownikom — zarobków godnych przemysłu elektrodowego, godnych przedsiębiorstwa wyróżniającego się w Sądecczyźnie, i równoważnych zarobkom ludzi z zakładów hutniczych i odlewniczych w kraju. Ponadto stworzenia organizacji pracy zgodnej z aktualnym stanem techniki i technologii wytwarzania, bez przerostów kadry kierowniczej i mistrzowskiej (wymaga to jednak zagwarantowania pełnej obsady stanowisk, zwłaszcza w wydziałach: obróbki końcowej, piecowni, prasowni i grafitowni). Załodze odpoczynku na wczasach zagranicznych; mam nadzieję, że dojdzie do skutku wymiana z zakładami w Czechosłowacji, NRD i Związku Radzieckim, a opłaty będą na kieszeń zwykłego pracownika.

Irma Dziewałtowska, Związek Zawodowy Pracowników SZEW:

— Marzę przede wszystkim o spokoju. Od października mój syn studiuje prawo w Uniwersytecie Wrocławskim, chciałabym więc, żeby mógł spokojnie skończyć studia.

Stawiajmy na nogi naszą gospodarkę, ale rozumnie, bez podsycania emocji. Większość społeczeństwa chce żyć normalnie, nie w klimacie wzajemnych animozji. Deklarujemy Niemcom zapomnienie, a sami się szarpiemy, wypominamy prawdziwe i rzekome przewinienia jedni drugim. Trudno się z tym pogodzić.

Chciałabym, żeby w naszym zakładzie ludzie rzetelnie wykorzystywali swój czas pracy, bo tylko z tego bierze się zysk przedsiębiorstwa, nikt nam nic nie da za darmo. Dbajmy więc o swoją firmę, szanujmy, bo ona daje nam chleb. Tę podstawową prawdę chciałabym pod koniec mijającego roku przypomnieć wszystkim.

Antoni Tomski, kierownik działu bhp:

— Chciałbym wreszcie skończyć — budowany od 8 lat — dom. Musiałoby się jednak poprawić zaopatrzenie w materiały budowlane. Pragnąłbym także dożyć czasów, kiedy każdy, kto chce sobie dorobić, będzie miał ku temu możliwości. Tymczasem coraz bardziej realna staje się wizja bankructwa niektórych firm i bezrobocia. Nie wszyscy sobie z tego zdają sprawę, przecież przez ostatnie czterdzieści lat to praca szukała człowieka, a nie na odwrót. Z niepokojem obserwuję także pogarszanie się opieki zdrowotnej, tendencje do wprowadzania odpłatnej służby zdrowia. Zmniejsza się ilość lekarzy chętnych do pracy w przychodniach przemysłowych. Tymczasem właśnie tam powinna być pełna obsada i nacisk na działania profilaktyczne, bo nadal leczy się skutki, a nie usuwa przyczyn choroby. Podobnie powinno się przywiązywać dużą wagę do badań profilaktycznych w szkołach.

Trudno liczyć, że w przyszłym roku zakłady pracy będą mieć jasno określone reguły gry. Obawiam się, że przez kilka najbliższych lat nie unikniemy szamotaniny między zmieniającymi się przepisami, dążeniami załóg do podwyżki zarobków a realnymi możliwościami przedsiębiorstw. Czego życzyłbym sobie pod choinkę? Żeby ta nasza szara codzienność nieco się zabarwiła. Jeszcze nie tak dawno jeździłem samochodem. Fakt — nie najnowszym, ale zawsze to cztery kółka. Dzisiaj patrzę na świat jako rowerzysta i już chyba tak zostanie. Obliczyłem, że gdybym — jakimś cudem — kupił samochód, jego utrzymanie kosztowałoby tyle, że reszta zarobków wystarczyłaby mi chyba tylko na chleb. Szkoda, że życie, które tak szybko mija, zbyt mało niesie radości...

Małgorzata Pasoń, pracownica działu bhp:

— Jestem zbyt wielką pesymistką, by snuć jakieś marzenia, chciałabym nie martwić się o jutro, mieć dobrze opłacaną pracę. Co mi po studiach skoro zawsze będę zarabiała mniej od robotnika?

Firmie życzyłabym w nadchodzącym roku mniejszej ilości wypadków, gdyż w mijającym zdarzyło się nawet kilka śmiertelnych. Żeby jednak moje marzenie mogło się ziścić, ludzie musieliby żyć inaczej, w większym spokoju. Kłopoty dnia codziennego sprawiają, że pracownicy zupełnie nie angażują się w to, co robią, myślą najczęściej, jak zwiążać koniec z końcem. Nieuwaga na stanowisku pracy często kończy się tragicznie.

Mam kilkunastoletniego syna i nie opuszcza mnie obawa o jego dalszy los. Jakie stworzyłam mu perspektywy? Czy będzie żyć lepiej ode mnie? Pomarzyć można, pragnęłabym więc, żeby moje dziecko nie zaznało tylu stresów i niepowodzeń, co ja. A najważniejsze — żeby żyło w pokoju.

Po przeglądzie

Podczas niedawnego społecznego przeglądu warunków pracy kontrolujący zwracali uwagę na realizację zadań wydanych po wiosennym sprawdzianie, oświetlenie stanowisk i zakładu, ogrzewanie i zabezpieczenie przed stratami ciepła oraz bezpieczeństwo przeciwpożarowe. Bilans nie jest korzystny: zbyt wiele zaleceń zrealizowano połowicznie lub w ogóle nie usunięto usterek. Oto niektóre zadania nie wykonane: zakup suwnicy do grafitowni, odnowienie znaków drogowych, wykonanie instalacji odciągowej wysypu mieszarek, opracowanie sposobu doprowadzania paku i smoły do wydziału piecowni. Odpowiedzialni pracownicy nie zabezpieczyli nadal także instalacji, na której w bieżącym roku zdarzył się śmiertelny wypadek.

Wiele zastrzeżeń mieli kontrolujący do ogrzewania hal i stanu szyb, na przykład w wydziale piecowni brakuje ich aż 328. W protokole pokontrolnym stwierdza się, że w niektórych przypadkach szyby zostały umyślnie wybite, a stolarka okienna zdewastowana. Natomiast uszkodzenia świetlówek spowodowane są brakiem zabezpieczenia przed wiatrem.

W wielu halach stwierdzono nieporządek, na przykład w wydziale obróbek. Te usterki można i należy usuwać na bieżąco. Podobnie jak w wydziale piecowni, gdzie na przykład nie zostały wykonane takie zalecenia z przeglądu wiosennego, jak wydzielenie boksów na piasek, usunięcie starych beczek i uporządkowanie składowiska smoły oraz wykonanie rozdzielaczy wody do pomp próżniowych w maszynowni nr 2.

Kolumnę „Elektrografit" Sądeckich Zakładów Elektro-Węglowych redaguje DANUTA BINEK

Służba zdrowia na cenzurowanym

29 listopada doszło do długo odkładanego spotkania przedstawicieli naszego zakładu z reprezentantem kierownictwa sądeckiej służby zdrowia — **Andrzejem Fortuną**. Obecni byli także lekarze z Wojewódzkiej Przychodni Przemysłowej (**Barbara Cikowska**) oraz przychodni zakładowej (**Alicja Kowalska** i **Zenon Gołdyn**). Omówiono realizację ustaleń narady z 5 maja 1986 roku, a także współpracę zakładu z przychodnią.

Przedstawicieli służby zdrowia zapoznano z wynikami ankiety zakładowej, której część dotyczyła opieki ze strony przychodni. Wypada przypomnieć, że tylko jeden procent ankietowanych wystawił przychodni ocenę bardzo dobrą, 18 procent — dobrą, 51 procent dostateczną, a 25 procent — negatywną. Respondenci proponowali między innymi — skrócenie czasu oczekiwania na wizytę w gabinecie stomatologicznym; zdyscyplinowanie pracy lekarzy; większą dokładność badań okresowych; zwiększenie profilaktyki zdrowotnej na terenie SZEW; ułatwienie korzystania z pomocy specjalistów; kierowanie pracowników z dłuższym stażem pracy do sanatoriów; rozszerzenie możliwości korzystania z gabinetu fizykoterapii i inhalacji.

Wśród spraw zaległych, które nie doczekały się do dziś rozwiązania przypomniano postulat dyrekcji SZEW i załogi, aby we współpracy z Instytutem Medycyny Pracy w Sosnowcu przebadać stu wytypowanych pracowników legitymujących się co najmniej 15-letnim stażem pracy, pod kątem stanu zdrowotnego ich dróg oddechowych. Postulat ten załatwiono połowicznie. Powód — brak pieniędzy, a Instytut Medycyny Pracy żąda przedpłat.

Nie udało się także wydzielić w zakładzie stanowisk pracy chronionej. Zresztą zdarza się, że sami pracownicy bronią się — ze względów finansowych — przed skierowaniem do lżejszego zajęcia. Realizacja tego wniosku wymaga budowy nowego wydziału, co dzisiaj jest niemożliwe.

Podczas narady wiele wypowiedzi, uwag dotyczyło usprawnienia obsługi stomatologicznej. Pracownicy narzekali, że na wizytę u dentysty trzeba czekać około miesiąca. Mówiono także o konieczności zatrudnienia specjalisty, zwłaszcza dermatologa. Dr Andrzej Fortuna obiecał, że po wyprowadzeniu w pierwszym kwartale przyszłego roku poradni chirurgicznej z Biegonic, w części jej dotychczasowych pomieszeń zainstalowana zostanie aparatura rentgenowska, a w drugiej części, być może gabinet specjalisty.

Andrzej Fortuna zadeklarował, iż postara się, aby pracownicy SZEW byli przyjmowani przez stomatologów w innych przychodniach. Ponadto zostanie opracowany ramowy podział obowiązków pomiędzy zakładem a służbą zdrowia. Niestety, nie zdołano załatwić sprawy skierowań sanatoryjnych. Andrzej Fortuna wyjaśnił, że centralne rozdzielnictwo skierowań do sanatoriów, znajduje się w Katowicach, a nasza służba zdrowia nie ma na to wpływu.

Tragedia w grafitowni

59-letni mistrz z wydziału grafitowni do pracy na trzecią zmianę przyszedł jak zwykle o godz. 23. Przebrał się w odzież roboczą i poszedł do WC. Kiedy po dłuższym czasie nie wracał, zaczęto go szukać. Znaleziono zwłoki. Przyczyną śmierci był prawdopodobnie zawał. Śmierć mistrza wstrząsnęła załogą grafitowni, ale czy wyciągnięto z niej wnioski?

Kierownik działu bhp komentuje: — *Zmarły już od dłuższego czasu źle wyglądał. Po dłuższej chorobie otrzymał jednak zgodę lekarza na powrót do pracy. Podobno ją wybłagał. Za rok miał przejść na emeryturę, zależało mu więc na uzyskaniu jak najwyższych świadczeń. Niestety, nie doczekał... Podaję ten przykład ku przestrodze, gdyż w pogoni za dodatkowym zarobkiem zapominamy często o naszym zdrowiu. Coraz rzadziej korzystamy z wczasów i różnych form rekreacji. Co na to wpływa? Niestety, rosnące koszty zorganizowanego wypoczynku. Kryzys gospodarczy i, co tu ukrywać, ustrojowy zniszczył ważny dorobek naszej polityki socjalnej, jakim były tanie wczasy dla ludzi pracy. Skutki tego będą olbrzymie i niekorzystne dla wszystkich. Chodzi bowiem o zdrowie załóg przedsiębiorstw. „Oszczędzanie" na wypoczynku wróci w postaci olbrzymich kosztów zwolnień chorobowych, gorszej wydajności i niższej produkcji. Tak więc odwykanie od wypoczynku, praca ponad siły — to zjawiska groźne społecznie.*

Nie wierzę w cuda!

Andrzej Nowak, ekonomista:

— Czy my Polacy możemy liczyć na cud gospodarczy taki, jaki miał miejsce po II wojnie światowej w paru krajach, między innymi w RFN i Japonii, a ostatnio w Hiszpanii? Niestety nie. Nie uda nam się dogonić rozwiniętych krajów Europy, za którymi jesteśmy daleko w tyle. Bardzo byśmy, oczywiście, tego chcieli ale przecież nie wystarczy chcieć. Zwłaszcza iż sami nie bardzo potrafimy odbić się od dna, a deklarujący pomoc partnerzy z Zachodu nie spieszą się zbytnio z jej niesieniem. Już nawet Lech Wałęsa powiada, że Zachód nas pogania, ale pomocy nie udziela.

Liczyć możemy tylko na siebie. Tymczasem przez całe dziesięciolecia wmawiano nam wbrew faktom, gwałcąc naszą narodową godność, że wszystko zawdzięczamy Związkowi Radzieckiemu i jego pomocy. Teraz dopiero wiemy, jakie były prawdziwe korzyści tej współpracy. Potem z jednej skrajności popadliśmy w drugą. Opozycja zaczęła głosić, że tylko dzięki pomocy Zachodu wyjdziemy z tarapatów, a czas ucieka i dno się jeszcze obniża. Nic więc dziwnego, że niektórzy czują się zawiedzeni. Osobiście nigdy na cud nie liczyłem. I nie czuję się oszukany, bo rachunki trzeba płacić z własnego konta.

Bądźmy realistami w ocenie naszej sytuacji gospodarczej, nie żyjmy złudzeniami. Wówczas bez miraży będziemy mogli żyć i pracować. Jeżeli natomiast owa pomoc nadejdzie, to wzmocni naszą pozycję i ułatwi piekielnie trudne zadanie uzdrawiania polskiej gospodarki.

Jeśli już przestaliśmy wierzyć w cud gospodarczy w oparciu o wielką pomoc Zachodu, który zawsze w historii miał ważniejsze sprawy niż Polska, to zrezygnujmy również ze złudzeń, że cudowny mechanizm rynkowy załatwi wszelkie kłopoty. Puszczona na żywioł gospodarka może nigdy nie osiągnąć celów, które — w co nie wątpię — w dobrej wierze nakreślili reformatorzy rządowi. Doświadczenia Zachodu w żadnej mierze nie przystają do naszej sytuacji. Nie liczmy zatem i na ten cud. Liczmy na efekty naszej pracy i przekształcenia gospodarki. Przekształcenia nie żywiołowe, ale sterowane.

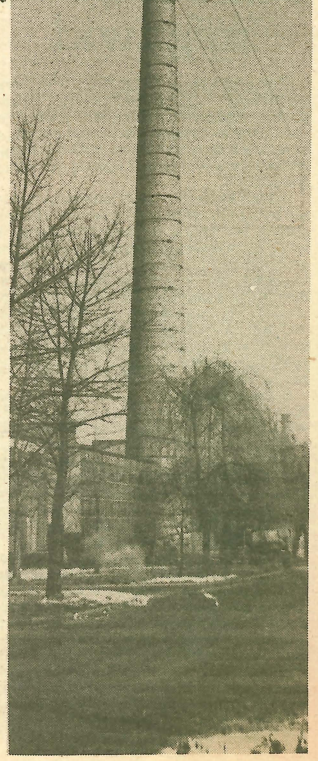

KRZYŻÓWKA NR 51

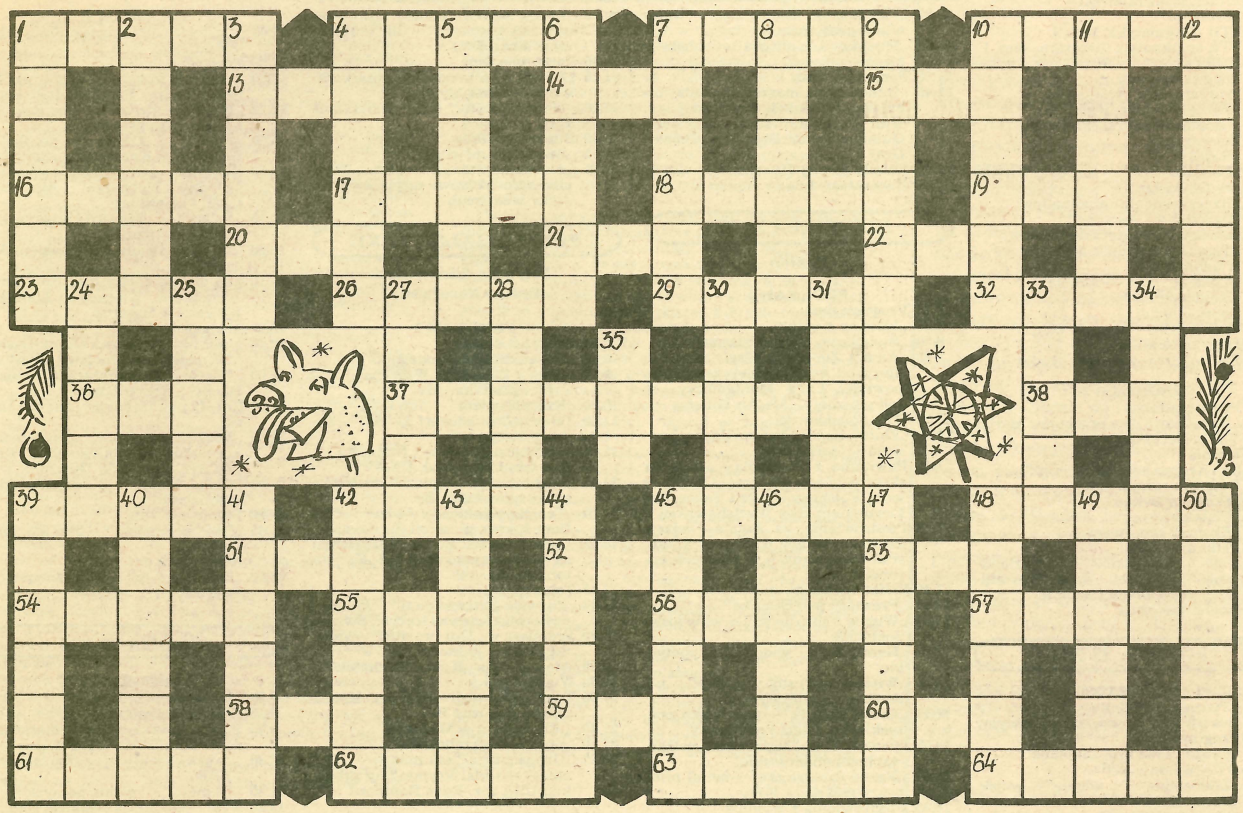

POZIOMO: 1) rumowisko skalne, 4) Indianin, 7) sztuczny kamień budowlany, 10) machina oblężnicza, 13) renifer, 14) aparat fotograficzny, 15) przodek bydła domowego, 16) druga epoka trzeciorzędu, 17) grysik, 18) obrzędy określane przez zabobon, 19) uroczyste nakrycie głowy papieża, 20) sztuczny język międzynarodowy, 21) założyciel Tow. Filaretów, 22) ptak z rzędu kuraków, 23) motyw dekoracyjny w formie splotu liścia, 26) jezioro w Afryce, 29) muzyczne dzieło wokalno-instrumentalne, 32) plac-rynek w starożytnych miastach greckich, 36) zbiornik na paliwo, 37) zespół cech psychicznych właściwych danemu człowiekowi, 38) mocny napój alkoholowy, 39) platforma kontynentalna, 42) małpa z rodziny koczkodanów, 45) beczka na wino, 48) chwastnica zbożowa, zwana prosem japońskim, 51) utwór poetycki, 52) rzeka w CSRS, dopływ Dunaju, 53) imię Sari, 54) jednostka natężenia prądu elektrycznego, 55) pieśń żałobna; lamentacje, 56) hasło, 57) ptak łowny z rzędu chruścieli, 58) prawy dopływ Odry, 59) trójchloroetylen, 60) drzewo iglaste, 61) kwiat jesienny, 62) podróżna, 63) imię żeńskie, 64) pyroza.

PIONOWO: 1) naczynie na ciasta, owoce, 2) kolczaste drzewo, 3) magmowa skała głębinowa, 4) zawilec, 5) palma cukrowa, 6) epidemia, 7) element giętki przenoszący jedynie siły rozciągające, np. pas napędowy, łańcuch, 8) dziewczyny japońskie zajmujące się zawodowo bawieniem gości, 9) imitacja w witrynie sklepowej, 10) powiązane pnie drzew, 11) oznaczenie nieznacznych odchyleń od wyznaczonego rytmu i tempa w wykonywaniu melodii, 12) choroba ssaków w Afryce, przenoszona przez muchy tse-tse, 24) ptak z rodziny sokołów, 25) przyrząd optyczny stosowany jako analizator i polaryzator, 27) zamsz, 28) rysa, 30) wąż-dusiciel, 31) ciastko z kremem, 33) jezioro w Alpach, 34) ptak z rodziny sikor, w Polsce chroniony, 35) cyrk lodowcowy, 39) posąg, 40) polot, bystrość, 41) okleina, 42) pełnomocnictwo, polecenie, 43) torbacz, 44) ćwierć garnca, 45) stan przedśmiertny, 46) świnie, 47) obszar płytkiego dna morza z dala od lądu, 48) biała broń, 49) choroba oka, 50) zaburzenie mowy.

Rozwiązania prosimy przysyłać do dnia 5 stycznia 1990 r.

Rozwiązanie krzyżówki nr 49

POZIOMO: 1) szczapa, 5) korweta, 9) gol, 10) pułapka, 11) antrakt, 12) mer, 13) koperta, 17) amarant, 22) Star, 23) Nobel, 24) Suza, 25) ara, 26) aga, 27) gruz, 28) teren, 29) ront, 30) pastisz, 34) baronet, 38) gar, 39) postawa, 40) osteria, 41) gad, 42) szarada, 43) arkania.

PIONOWO: 1) szpak, 2) chłop, 3) amper, 4) agama, 5) Klara, 6) ratka, 7) elana, 8) astat, 14) Osterwa, 15) e-krazyt, 16) Tanatos, 18) Melania, 19) Rosario, 20) nizanie, 21) obora, 30) popis, 31) sosna, 32) Ława, 33) zgaga, 34) broda, 35) rotor, 36) Neron, 37) tiara.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 49, w wyniku losowania nagrody otrzymują: **Czesław Czyszczoń** z Jazowska i **Zofja Nawrot** z Nowego Targu

Nagrody książkowe prześlemy pocztą.

PRZETARGI

Wojewódzki Zakład Usług Wodnych dla Potrzeb Rolnictwa w Starym Sączu ul. Źródlana 24 sprzeda w DRODZE PRZETARGU NIEOGRANICZONEGO, który odbędzie się w dniu 12 stycznia 1990 r o godz 10 ^{00} następujący sprzęt budowlany:

1. Koparko-spycharka „Białoruś" typ BX 025M. Nr rej. NST 276 Nr fabryczny — 7262, nr silnika — 3X0230, rok produkcji 1984. Cena wywoławcza 10.500.000 zł.
2. Agregat prądotwórczy — PAD-8-3/400/02. Nr fabryczny 34183, rok produkcji 1984. Cena wywoławcza — 1.100.000.-zł
3. Spycharka DT — 75, nr fabryczny 67673, nr silnika 631221, rok produkcji 1982. Cena wywoławcza — 4.500.000.-zł

Wyżej wymieniony sprzęt z pozycji 1 i 2 można oglądać na terenie Zakładu przy ulicy Źródlanej 24 oraz z poz. 3 w Oddziale Terenowym Tymbark-Podłopień, codziennie w dni robocze w godz 10 ^{00} — 13 ^{00} po uprzednim zgłoszeniu się w Dziale Transportu.

Przystępujący do przetargu winni wpłacić w Kasie Zakładu wadium w wysokości 10 % ceny wywoławczej najpóźniej w przeddzień przetargu.

W przypadku nie dojścia do skutku I-go przetargu, II-gi przetarg odbędzie się tego samego dnia i w tym samym miejscu o godz. 12 ^{00}. Zakład nie bierze odpowiedzialności za ukryte wady, uszkodzenia sprzętu, oraz zastrzega sobie prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyny.

Spółdzielnia Usług Mleczarskich — Zakład Transportu Mleczarskiego w Nowym Sączu, ul. Rybacka 1 sprzeda

W DRODZE PRZETARGU PUBLICZNEGO:

1. Samochód Robur LD-3000 furgon, nr rej. NSA 368H, nr silnika 4VD12,5/10SRL, nr podwozia 2932318216, rok produkcji 1983, stopień zużycia 80%, cena wywoławcza 4.000.000zł.
2. Samochód Robur LO-3000 furgon, nr rej. NSA 047G, nr silnika 3404-51006, nr podwozia 2992005052, rok produkcji 1979, stopień zużycia 60%, cena wywoławcza 6.000.000 zł.
3. Samochód Robur LO-3000, furgon, nr rej. NSA 243G, nr silnika 3404-02043, nr podwozia 2981924044, rok produkcji 1978, stopień zużycia 60%, cena wywoławcza 6.000.000 zł.

Przetarg odbędzie się w dniu 8.01.1990 r. o godz. 9 ^{00} w ZTM w Nowym Sączu, ul. Rybacka 1. W przypadku nie dojścia do skutku przetargu I — przetarg II odbędzie się w tym samym dniu i miejscu o godz. 10 ^{00}.

Samochody można oglądać w godz. 8 ^{00} — 14 ^{00} w bazie ZTM w Nowym Sączu, ul. Rybacka 3. Przystępujący do przetargu winni wpłacić wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej, najpóźniej w przeddzień przetargu w kasie Zakładu.

Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez obowiązku podania przyczyn, względnie dowolnego wyboru oferenta.

W sprawie amnestii

Rzecznik prasowy Sądu Wojewódzkiego w Nowym Sączu zawiadamia, że w związku z ustawą o amnestii, która weszła w życie w dniu 11 grudnia 1989, udziela się osobom zainteresowanym szczegółowych informacji w wydziale karnym Sądu Wojewódzkiego, ul. Pijarska 3, pokój nr 109 bądź telefonicznie pod nr 201-02 codziennie od godziny 11 — 13.

Rzecznik prasowy Sądu Wojewódzkiego
JERZY BŁAŻOWSKI

na ekranie TV

PIĄTEK 22 XII

PROGRAM I

8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 Kino teleferii — „Gepard powraca" — film prod. ZSRR
10.30 „Dekalog, trzy" — film TP reż. Krzysztof Kieślowski
11.25 „Domator"
13.30 TTR matematyka, sem. I
14.00 TTR spotkania z literaturą, sem. I
15.30 NURT problemy zdrowia współczesnego człowieka
16.20 Program dnia i telegazeta
16.25 „Rambit" — teleturniej
16.50 „Okienko Pankracego"
17.15 Teleexpress
17.30 „Raport"
17.55 „Lecznica dusz" — film dok. Wiesława Głowacza
18.25 „Rzeczpospolita samorządna"
18.45 Weekend w „Jedynce"
19.00 Dobranoc „Węgierskie bajeczki"
19.10 „Teraz" — tygodnik gospodarczy
19.30 Wiadomości
20.05 „Dekalog, trzy" — film TP
21.05 „Kontrapunkt"
21.35 Sport — hokej
22.25 Spór o jutro — otwarte studio
23.25 DT — echa dnia
23.45 Spór o jutro — otwarte studio

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego"
18.00 Kronika
18.30 Świąteczna antena „Dwójki"
18.50 Program rozrywkowy
19.30 „Dookoła świata"
20.00 „Piątek"
21.00 „Ekspres reporterów"
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino antypodów — „Irlandczyk" — film fab. prod. australijskiej reż. Donald Crombie
23.30 Komentarz dnia

SOBOTA 23 XII

PROGRAM I

8.00 „Tydzień na działce"
8.20 „Na zdrowie" — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 „Drops" oraz film „Jelonek"
10.30 DT — wiadomości
10.40 „Żołnierskie wigilie" — wojsk. progr. dok.
11.25 „Z polski rodem"
11.55 „Oratorium wigilijne" — film dok. Grzegorza Dubowskiego
12.25 Telewizyjny teatr prozy — Henryk Rzewuski — „Pamiątki Soplicy" reż. Mikołaj Grabowski wyk. — Róża Chrabelska, Hanna Molenda, Bogusława Pawalec
14.30 „Trędowata" — film fab. prod. pol.
16.00 Boże Narodzenie z polskimi „Słowikami"
16.25 „Do trzech razy sztuka"
16.55 „Antena"
17.15 Teleexpress
17.30 „Wspomnienie o Kukuczce" — dokument fabularyzowany
18.05 „Butik
18.35 Kolędy śpiewa Ryszard Karczykowski
19.00 Wieczorynka „Kubuś Puchatek"
19.30 Wiadomości
20..05 „Rififi po sześćdziesiątce" — komedia obycz. prod. polskiej reż. Paweł Trzaska wyk.: Mieczysław Czechowicz, Wiesław Michnikowski, Wiesław Gołas, Marian Kociniak
21.25 Sport
21.45 „Kolędy trochę inne" — kolędy patriotyczne
22.30 „Ulica wielkiej kolędy" — wiersze pod choinkę
22.50 „Plotka, miłość, zemsta" — śpiewa Kazimierz Kowalski
23.20 Telegazeta
23.25 „Dwójka karo" — „Przeprowadzka" — film kryminalny prodkucji USA reż. George Menduk wyk. — Nicholas Campbell, Peggy Smithhart, Tony Rosato
0.15 Zakończenie programu

PROGRAM II

13.30 Czas akademicki — katolicki nurt stowarzyszeń akademickich
14.00 „W świecie ciszy" — program dla niesłyszących
14.25 „5 — 10 — 15" — program dla dzieci i młodzieży
15.55 Małe kino — „Pastorałki" — film Jana Łomnickiego
16.25 Telewizyjny koncert życzeń
16.55 Powitanie — Kraków na antenie „Dwójki"
17.00 „Wielka gra" — wydanie świąteczne
18.00 Kronika
18.30 Kraków na antenie „Dwójki" w programie m.in.:
18.55 „Trzepak" — program dla dzieci
19.20 „Święta w muzyce poważnej"
20.05 „Historia cyrku" — reportaż
20.25 „Pan Bóg się uśmiechnął" — widowisko poetyckie
21.10 „Muzyka i polityka" — kolęda — pieśń zgody —
21.30 Panorama dnia
21.45 „Odnalezione marzenia" — film fabularny produkcji angielskiej reż. Willi Patterson wyk. — Kathleen Quinlan, Betsy Brantley, Charles Gray
23.25 Kolędy Hanny Banaszak
23.35 Komentarz dnia

NIEDZIELA 24 XII

Wigilia

PROGRAM I

8.25 Program dnia
8.30 „Idziemy z wilją"
9.00 „Świąteczna niespodzianka"
9.20 „Ania z Zielonego Wzgórza" (1) — film prod. kanadyjskiej ekranizacja powieści Lucy Montgomery — w roli głównej — Megan Follows
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Złoto" (1) — „Śladami Jacka Londona" — serial dok.
11.15 Powitanie z Poznania — „Dziadek do orzechów" — fragment baletu w wyk. Polskiego Teatru Tańca pod kierunkiem Ewy Wycichowskiej
11.25 Pozdrowienia ze świata — relacje korespondentów TVP z przygotowań świątecznych w stolicach europejskich
11.40 Świat wielkiego sportu
12.20 „Prezenty pod choinkę"
12.25 „Wigilie u przyjaciół" — widowisko poetyckie
12.45 „Narodziny" — widowisko poetyckie
13.00 „Wielkopolski stół wigilijny" — widowisko publicystyczne
14.15 „Leśna ballada" — widowisko poetyckie dla dzieci i młodzieży
14.35 „Janka" (14) — serial prod. polsko-zachodnioniemieckiej
15.05 „Panna dziedziczka" — serial prod. brazylijskiej
16.45 Pozdrowienia z Wiednia
16.50 „Wigilijne posłanie"
17.00 „Prezenty pod choinkę" — wigilia u prezydenta
17.15 Teleexpress
17.30 „Maleńka miłość" — kolędy w plenerach wieczornego Poznania śpiewa Eleni
17.50 „Prezenty pod choinkę"
17.55 „Opłatki polskie" — widowisko poetyckie Teatru Nowego w Poznaniu
18.20 „Kolędować małemu..." — kolędy i pastorałki śpiewają Halina Frąckowiak, Krystyna Prońko, Irena Jarocka i inni
19.00 Wieczorynka — „Kubuś Puchatek"
19.30 Wiadomości
20.00 Homilia Prymasa Polski — kardynała Józefa Glempa
20.25 „Trzej mężczyźni i dziecko" — francuska komedia obyczajowa reż. Caroline Serreau — wyk. — Roland Giraud, Michel Boujenah, Andre Dussollier
22.05 „Wigilie polskie" — program poetycko-muzyczny
23.05 „W sercach otucha" — Włodzimierz Korcz zaprasza — kolędy śpiewają — Halina Frąckowiak, Alicja Majewska, Andrzej Zaucha
23.35 „Concerto grosso" — na Boże Narodzenie gra orkiestra kameralna PRiTV pod dyr. Agnieszki Duczmal
23.55 Pasterka z Watykanu

PROGRAM II

10.00 „Przegląd tygodnia" (dla niesłyszących)
10.35 Film dla niesłyszących: „Trzej mężczyźni i dziecko" — komedia prod. francuskiej
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 Kino familijne: „Autostrada do nieba" — „Samotny" — film produkcji USA — reż. Michael Landon
13.20 „Royal Albert hall" — koncert fundacji na rzecz dziecka
14.20 „100 pytań do..."
15.00 „Ulice polskie" — program publicystyczny
15.30 Benefis Ireny Santor
16.25 Podróże w czasie i przestrzeni: "Wędrówki ludów nad Pacyfikiem" (8) — serial
17.30 „Bliżej świata" — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 „W labiryncie" — świąteczne spotkanie z twórcami serialu
19.30 Kolędy Lutosławskiego — śpiewa Jadwiga Rappe
20.00 „Żyłam sztuką... słynne toski o sobie i swym wzorze" — film muzyczny produkcji RFN
21.30 Panorama dnia
21.45 „Adam" — impresja filmowa o twórczości Adama Myjaka
22.10 „Wojna i pamięć" (17) — serial prod. USA
23.10 Komentarz dnia
23.15 „Zwierzęta mówią"
23.25 „Akademia wiersza" — „Brata Franciszka Narodzinowa przypowieść" — Jerzy Weintrcub

PONIEDZIAŁEK 25 XII

Pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 „Świąteczna niespodzianka"
9.20 „Ania z Zielonego Wzgórza", cz. 2 — film prod. kanady.
10.30 „Kupa kamieni" — film dok.
11.00 Telewizyjny koncert życzeń — wydanie świąteczne
12.00 Akademia filmowa: „Ninoczka" — film fabularny prod. USA
13.45 „Biały zeszyt" — gwiazdkowe piosenki śpiewa Jan Bo.
14.10 „Ten najpiękniejszy świat" — Ewa Bem śpiewa piosenki dla dzieci
14.55 „Z dalekiego kraju" — film produkcji włosko-angielskiej reż. Krzysztof Zanussi
17.15 Teleexpress
17.30 „Zaświeć gwiazdo nam" — kolędy i pastorałki śpiewa Grażyna Świtała
18.00 Premiera w „Qui pro quo" — kabaret Zenona Wiktorczyka
19.00 Wieczorynka „Kubuś Puchatek"
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizji — Marian Hemar „Dwaj panowie B."
21.40 „Elton John w Weronie"
22.20 „Sportowe przeboje roku"
23.25 „Dwójka karo" (48 minut) — „Trucizna" — serial kryminalny produkcji USA reż. Rene Bonniere

PROGRAM II

11.15 „Darby O'Gill i krasnoludki" (1) — film produkcji USA
12.00 Powitanie
12.10 „Polacy" — Wałęsa — film dok.
13.15 „Nasz jest ten dzień" — program dok.
13.50 „Bogusław Kaczyński zaprasza" — w programie m.in. „Kolędy polskie" śpiewa Teresa Żylis-Gara i Poznańskie Słowiki
16.50 „Kolędy polskie w Betlejem" — reportaż
17.20 „French Sannders Christmas special" — film muzyczny z udziałem Alison Moyet
18.00 „Kochany tatusiu" — film dok. Blanki Danielewicz i Ewy Sochackiej
18.20 „Wołanie Eurydyki" — recital Hanny Banaszak
19.00 „Wywiady Ireny Dziedzic" — Henryk Skolimowski
19.30 „Gdzie się podziała Madonna" — reportaż
20.00 „Ballada o drodze" — program poetycko-muzyczny
20.55 „Apostołowie pojednania" — reportaż
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino antypodów: „Srebrne miasto" — film fabularny prod. australijskiej reż. Sophia Turkiewicz
23.25 Komentarz dnia
23.30 „Kolędy baletowe" — tańczy Ewa Wycichowska

WTOREK 26 XII

Drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 „Świąteczna niespodzianka"
9.20 „Ania z Zielonego Wzgórza" (3) — film prod. kanad.
10.30 „Tajemnice piękna Japonii" — film dok.
11.20 „Video-top"
11.50 W starym kinie: „Antek policmajster" — polski film archiwalny
13.30 Teatr dla dzieci: Maria Guzy „Dwie Dorotki"
14.40 „Żyłam sztuką, żyłam miłością..." — film. dok. o Wandzie Wermińskiej
15.40 „Dzień wolności" — recital Izabelli Trojanowskiej
16.20 „Ginące zawody" — „Witrażownictwo" — reportaż Krystyny Widerman
17.05 Teleexpress
17.20 „Dodge city" — western prod. USA
19.00 Wieczorynka: „Kubuś Puchatek"
19.30 Wiadomości
20.05 „Rzymianka" (1) — serial prod. włoskiej wg powieści Alberto Moravii
21.35 Sport
21.45 „Gustaw Brom i jego goście"
22.45 „Dziewczyny z platynowej płyty"

PROGRAM II

11.05 „Darby O'Gill i krasnoludki" (2-ost.) — film prod. USA
11.50 Powitanie
12.00 „Błękitna kolęda" — pastorałki Ernesta Brylla i Edwarda Pałłasza
12.30 „Boże Narodzenie" — film dok. Aliny Czerniakowskiej
13.00 „Polacy" — „Droga do środka" — film dok. o Kazimierzu Karabaszu
13.50 Biografie: „Opowieść o Andrew Lloydzie Webberze" — film dok. prod. angielskiej
15:10 „Polacy" — „Bernard Ładysz — król basów" — film dok.
16.00 „Dookoła świata z Michaelem Jacksonem"
17.10 „Za chwilę dalszy ciąg programu" — program Wojciecha Manna i Krzysztofa Materny
18.00 Magazyn „102"
18.40 Modlitwa wieczorna z Sanktuarium Maryjnego we Wrocławiu-Piaskach
19.00 „Goście Daniela Passenta" — Mario Binetti i Wiktor Szostak
19.30 Kolędy polskie śpiewa Andrzej Hiolski
20.00 „Rozświetlona noc" a świąteczny koncert orkiestry kameralnej PRiTV pod dyr. Agnieszki Duczmal
21.00 „Cicha woda" — piosenki lat pięćdziesiątych
21.30 Panorama dnia
21.45 „Lew afrykański" — film fab. prod. USA
23.30 Komentarz dnia
23.55 „Zaśnijże i ty" — program poetycko-muzyczny

ŚRODA 27 XII

PROGRAM I

8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 Kino teleferii: „Baśń o zaczarowanych koralikach" cz. 1
10.30 „Zabawy młodych" — film fab. prod. ZSRR
11.30 „Domator" — giełda pomysłów
13.30 TTR — produkcja roślinna, sem. 1
14.00 TTR — produkcja zwierzęca, sem. 1 — przydatność pasz własnej produkcji
16.20 Program dnia i telegazeta
16.25 Teleferie: „Hocki-klocki"
17.15 Teleexpress
17.30 „Gry wojenne"
17.55 „Telewizyjny Informator Wydawniczy"
18.15 „Dawniej niż wczoraj"
19.00 Dobranoc: „Wyprawy profesora Gąbki"
19.10 Oferty Pegaza
19.30 Wiadomości
20.05 Akademia filmowa: „Gospodarz stadniny" — dramat obyczajowy prod. węgierskiej
21.40 Sport
21.50 „Plus-minus" — program publicystyczny
22.20 „Wokół wielkiej sceny"
23.10 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Śpiewanie w kraju Basków" — reportaż
18.00 Kronika
18.30 Magazyn „102"
19.00 „Hotel Zacisze" (10) — film prod. angielskiej
19.30 Rewelacja miesiąca: — Michaił Barysznikow — komentuje Bogusław Kaczyński
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie" (52) — serial TP
22.15 „997" — kronika kryminalna
23.15 Komentarz dnia

CZWARTEK 28 XII

PROGRAM I

8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 Kino teleferii: „Baśń o zaczarowanych koralikach", cz. 2
10.30 „Policjanci z Miami" — „Bez wyjścia" — serial
11.15 „Domator" — giełda pomysłów
13.30 TTR — fizyka, sem. 3
14.00 TTR — biologia, sem. 3
16.20 Program dnia i telegazeta
16.25 Teleferie: „Hocki — klocki"
17.15 Teleexpress
17.30 „Poligon" — wojskowy magazyn publicystyczny
17.55 „Poza rok 2000" — serial dokumentalny prod. australijskiej
18.25 „Magazyn katolicki"

18.45 „10 minut"
19.00 Dobranoc „Dwa kosy i kurek z ratuszowej wieży"
19.10 „Interpelacje" cz.1
19.30 Wiadomości
20.05 „Policjanci z Miami" — „Bez wyjścia" — serial
20.55 „Interpelacje" cz. 2
21.35 Sport
21.45 „Pegaz"
22.30 „Dance with a Stranger" — recital zespołu norweskiego
23.00 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Psychostudio"
18.00 Kronika
18.30 Spotkanie z psychoterapeutą Anatolijem Kaszpirowskim
19.30 Zielone kino: „Opowieść o owadach"
20.00 Wielki tenis
21.00 „Ekspres reporterów"
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio teatralne „Dwójki" — Feliks Falk „Aktorki"
22.55 Komentarz dnia

PIĄTEK 29 XII

PROGRAM I

8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 Kino teleferii: „Dumbo" — film animowany produkcji USA
10.25 „Dekalog, cztery" — film TP
11.20 „Domator" — giełda pomysłów
13.30 TTR — matematyka, sem. 1
14.00 TTR — spotkania z literaturą
15.00 „W szkole i w domu"
15.20 NURT — edukacja pozaszkolna ...
15.50 Program dnia i telegazeta
15.55 „Intersygnał"
16.25 Teleferie „Hocki-klocki"
17.15 Teleexpress
17.30 „Raport"
17.50 „Skarbiec" — magazyn historyczny
18.30 „Rzeczpospolita samorządna" — program publicystyczny
18.50 Weekend w „Jedynce"
19.00 Dobranoc „Węgierskie bajeczki"
19.10 „Teraz" — tygodnik gospodarczy
19.30 Wiadomości
20.05 „Dekalog, cztery" — film TP — reż. Krzysztof Kieślowski
21.00 Sport
21.10 „Kontrapunkt"
21.40 „Lex"
22.25 „Ściany między ludźmi" — widowisko autorstwa Wojciecha Młynarskiego (1980 r.)
23.20 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego"
18.00 Kronika
18.30 Program publicystyczny
18.50 „Hity z orbity"
19.30 „Dookoła świata" — „Na wyspach odkrytych w Boże Narodzenie"
20.00 „Tele-dziewiątka"
20.50 „Antyczny świat prof. Krawczuka" — Arystoteles
21.30 Panorama dnia
21.45 „Tai Pan" — film historyczno-przygodowy prod. USA.
23.45 Komentarz dnia

SOBOTA 30 XII

PROGRAM I

8.00 „Tydzień na działce"
8.20 „Na zdrowie" — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 „Drops"
10.30 DT — wiadomości
10.40 „Ten czternasty" — film dokumentalny Ryszarda Wareckiego
11.10 „... a miłość przetrwała" — program dokumentalny
11.40 „Laboratorium"
12.10 Telewizyjny koncert życzeń
12.40 Fotomagazyn „Powiększenie" (wydanie ostatnie)
13.00 Telewizyjny teatr prozy: Tomasz Mann „Lotta"
15.15 Stare kino: „Oszuści" — film fabularny prod. francuskiej (1958 r.)
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport — Turniej Czterech Skoczni
18.30 „Butik"
19.00 Dobranoc „Przygody Misia Colargola"
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt"
19.30 Wiadomości
20.05 Sobotni seans filmowy: „Między ustami a brzegiem pucharu" — film fabularny prod. polskiej
22.00 Sport
22.20 „Rok w polityce" — komentuje karol Szyndzielorz
22.40 „Szafa" — program rozrywkowy
23.25 Telegazeta
23.30 Kino sensacyjne: (85 minut) „Stres" — film fabularny

PROGRAM II

10.40 „Trzy godziny z Telewizją Katowice"
13.40 Wrocławskie europejskie spotkania młodych
14.40 Powitanie
14.50 „Zecchino d'oro" — koncert chóru dziecięcego z Włoch
15.45 Studio sport
16.15 „Z batutą i z humorem" (4) — zaprasza Maciej Niesiołowski
17.00 „Legendy filmu" — „The Beatles"
18.00 Kronika
18.30 „Opowiem ci o miłości" — program muzyczny
19.00 „Hale and Pace" — program rozrywkowy
19.30 „Alfa i omega" — „Tajemnice gwiazdy betlejemskiej"
20.00 Teresa Kubiak i WOSPRITV
21.00 „Rytm'89" — konkurs tańca towarzyskiego
21.30 Panorama dnia
22.00 „Wojna i pamięć" (18) — serial
23.00 Jacek Stwora „Co jest za tym murem?" (9)
23.20 Komentarz dnia

NIEDZIELA 31 XII

PROGRAM I

7.25 „Po gospodarsku" — magazyn spraw wiejskich
8.10 „Na ten nowy rok" — program redakcji rolnej
8.50 Program dnia
8.55 Dla młodych widzów: „Pamiętne lato" — film fabularny prod. USA — reż. Robert Lewis
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Złoto" (2) — serial dokumentalny prod. włoskiej
11.10 „Widziane od środka" — przegląd publicystyczny wydarzeń rolniczych roku 1989
11.35 Telewizyjny koncert życzeń
12.20 „Pieprz i wanilia" — „Z wiatrem przez świat" „Czarna Macumba"
13.10 „Janka" (15-ost.) — serial prod. polsko-zachodnioniemieckiej
13.40 „Sport zimą" — impresja filmowa
14.00 Magazyn „Morze"
14.20 „Antena"
14.40 Krystyna Mazurówna przedstawia
15.05 „Panna dziedziczka" — serial
16.45 „Temat na clip" — recital
17.15 Teleexpress
17.30 „Dyskoteka pana Jacka"
18.30 „Party" — recital Wojciecha Gąssowskiego
19.00 Wieczorynka „Siostrzeńcy kaczora Donalda"
19.30 Wiadomości
20.00 Orędzie noworoczne
20.30 „Meandry miłości" — film fabularny prod. angielsko-zachodnioniemieckiej
22.00 Program rozrywkowy
22.55 „Premie i premiery"
24.00 Życzenia Noworoczne
0.25 Kino muzyczne Kydryńskiego „Via las Vegas" — film fabularny prod. USA (1964)
1.55 Program rozrywkowy
3.15 „Peter's pop show" — rewia światowych przebojów 1989 r.
4.00 Zakończenie programu

PROGRAM II

10.25 „Wszystkie chwyty dozwolone" — komedia prod. włoskiej
11.50 Powitanie
12.00 Polska Kronika Filmowa
12.10 Kino familijne: „Bajarz" — „Mój jeż Hans" — film prod. angielskiej — reż. Steve Barron
12.40 Niektórym udaje się dwa razy — „Tina Turner show"
13.30 „100 pytań do ..."
14.10 „Polacy" — „Kocham życie — Pietrzak Jan" — film dok.
15.05 „Strachy na lachy" — serial animowany prod. angielskiej
15.50 Podróże w czasie i przestrzeni „Wędrówki ludów nad Pacyfikiem" (9)
16.50 „Fenomeni sportu"
17.30 „Bliżej świata"
19.00 „Wzrockowe przygotowanie do Sylwestra"
19.30 „Galeria 37 milionów"
20.00 Orędzie Noworoczne
20.30 „Wzrockowe przeboje roku 1989"
21.30 Panorama dnia
22.00 „Barbarosa" — western prod. angielskiej — reż. Fred Schepisi
23.25 „Wzrockowa dyskoteka Marka Niedźwieckiego"
23.55 Życzenia Noworoczne z Placu Zamkowego w Warszawie
0.10 Non stop kolor „Supernoc rock and rolla" — film dokumentalny
1.40 „Powróćmy jak za dawnych lat"

PONIEDZIAŁEK 1 I

PROGRAM I

8.50 Program dnia
8.55 Dla młodych widzów: „Lew, czarownica i stara szafa" — film fab.
10.30 „Złoto" (3) — serial dok.
11.10 „Było, minęło, czyli rok w kulturze"
11.40 DT — wiadomości — oraz powtórzenie Orędzia Noworocznego
12.15 Koncert noworoczny z Wiednia
13.30 W starym kinie „Flip, Flap i inni"
15.30 Studio sport — „Przeżyjmy to jeszcze raz"
16.20 „Największy z największych"
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport
18.20 „Ta chwila na teatr, czyli kompozycje teatralne Wojciecha Głucha"
19.00 Wieczorynka „Siostrzeńcy kaczora Donalda"
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizji — Sławomir Mrożek „Vatzlav" reż. Kazimierz Dejmek
21.35 Sport
21.45 „Musicale" — śpiewa Zdzisława Sośnicka
22.30 Telegazeta
22.35 Życzenia Interwizji

PROGRAM II

11.30 „Iwona Niedzielska zaprasza"
12.00 Powitanie
12.10 „Dziadek do orzechów" — Jak powstaje balet — reportaż
13.10 „Co wróży światu rok 1990?"
13.50 „Jarmark w Nashville" — reportaż
14.40 „Polacy" — „Kisiel" — film dokumentalny Mariana Terleckiego o Stefanie Kisielewskim
15.25 „Musicale" (1) — gra orkiestra Zbigniewa Górnego
16.10 „Złodziejski spadek" — film fabularny prod. francuskiej
17.40 „Godzina z Wojciechem Młynarskim"
18.40 „Podróże Lecha Wałęsy" — film dok.
19.30 „Ravi Shankar w Warszawie"
20.00 „Szansa — dziewczyna roku 1989" — finał teleturnieju
21.30 Panorama dnia
21.45 „Siedem razy kobieta" — film fabularny prod. USA
23.30 Komentarz dnia

Zgodnie z art. 41 ust.1 pkt 3 Ustawy o planowaniu przestrzennym z dnia 12 lipca 1984 r. (Dz. U. nr 35 poz. 185) oraz § 14 ust.4 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 27 czerwca 1985 r. w sprawie podziału inwestycji oraz zakresu zasad i trybu ustalania ich lokalizacji (Dz. U. Nr 31 poz. 140)

informuje się zainteresowane strony, że zostały wydane przez Naczelnika Gminy w Nowym Targu decyzje ustalające lokalizacje inwestycji pn. linia 15 kv GZP „Lasek"-NZPS Nowy Targ

Kanalizacja i oczyszczalnia ścieków w miejscowości Dębno.

Osoby będące stronami w niniejszym postępowaniu mogą w terminie 14 dni od daty opublikowania zawiadomienia wnosić uwagi lub ewentualne odwołania do Dyrektora Wydziału Planowania Przestrzennego, Urbanistyki Architektury i Nadzoru Budowlanego Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu za pośrednictwem Naczelnika Gminy w Nowym Targu. Z ww decyzją i załącznikami można zapoznać się w Urzędzie Gminy w Nowym Targu, Plac Słowackiego 4, pokój 68.

PRZETARGI

„Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska w Gorlicach sprzeda w drodze PRZETARGU OGRANICZONEGO samochód marki Żuk A 09M nr fabryczny podwozia 53195, nr silnika 918305, rok produkcji 1973/82, cena wywoławcza 3.000.000 zł.
Przetarg odbędzie się w dniu 28 grudnia 1989 r. o godz. 10 w budynku SOP Gorlice ul. Gwardii Ludowej 34.
Samochód można oglądać w SOP Gorlice w dni robocze. W przetargu mogą brać udział producenci członkowie oraz pracownicy SOP Gorlice.
W przypadku nie dojścia do skutku I przetargu , II przetarg odbędzie się w tym samym dniu o godz. 11. Przystępujący do przetargu winni wpłacić wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej najpóźniej na dzień przed przetargiem.
Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez obowiązku podania przyczyn". K-11961

Krajowa Państwowa Komunikacja Samochodowa w Nowym Sączu sprzeda w drodze PRZETARGU NIEOGRANICZONEGO samochód marki Wołga — gaz 24. nr rejestracyjny NSA-186C, rok produkcji 1977, cena wywoławcza 4.000.000 zł.
Przetarg odbędzie się na terenie zakładu w dniu 10 stycznia 1990 o godz. 10. Pojazd można oglądać w oddziale KPKS w Nowym Sączu przy ulicy Wyspiańskiego 2.
Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej należy wpłacić w kasie zakładu do dnia 9 stycznia 1990 r.
Jeżeli pojazdy nie zostaną sprzedane w I przetargu zostaną wystawione do II przetargu w tym samym miejscu i dniu o godz. 12.
Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez obowiązku podania przyczyny.

Rejonowa Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu w Limanowej sprzeda w drodze PRZETARGU:

1. Ładowarkę zaczepową „Tur", T-261, ładowność 500 kg, stopień zużycia 42 proc, cena wywoławcza 216.000 zł.
2. Silnik S 312 C nr 157342 plus spawarka wirnikowa (agregat spawalniczy) stopień zużycia 25 proc., cena wywoławcza 2.000.000 zł.
3. Star 666 (bez silnika) stopień zużycia 60 proc, cena wywoławcza 4.000.000 zł. Możliwość zakupu silnika Leyland 6 C.

Przystępujący do przetargu obowiązani są wpłacić wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej w kasie spółdzielni do godziny rozpoczęcia przetargu.
Samochód, silnik, oraz ładowarkę można oglądać codziennie do godz. 15-tej na bazie garażowania przy ul. Targowej.
Przetarg odbędzie się w dniu 4 stycznia 1990 o godz. 10 w biurze działu transportu. W przypadku nie dojścia do skutku I przetargu wyznacza się drugi termin w tym samym dniu o godzinie 12. Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez obowiązku podania przyczyny.

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kaszuba, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka, (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny), Anna Szopińska. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, al. Wolności 49, telefony: 238-36, 238-90, teleks: 0322748, Oddział w Krakowie, ul. Wielopole 1, pok. 502, telefon: 22-75-88 wew. 161, telex: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Kraków al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.

Prenumeratorzy indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III Kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.

Kryzys pani Bovary?

Żegnajcie panie Bovary, Anny Kareniny, Scarlett O'Hary, wielkie romantyczne bohaterki przeszłości. Tak przynajmniej sądzi Gianna Schelet — psychoanalityczka, która niedawno we włoskiej, popularnej gazecie „Corierre della Sera" stwierdziła, iż kobiety w wieku 30—45 lat coraz częściej skarżą się, że *nie mogą się zakochać.* Autorka artykułu uważa, że dzieje się tak dlatego, ponieważ panie w tym wieku stały się w naszych czasach bardzo wyemancypowane ale i bardzo trzeźwe. Stawiają też wobec mężczyzn bardzo wysokie wymagania. Najlepiej świadczy o tym wypowiedź sławnej piosenkarki Sabriny: — *Od mężczyzn zaznałam jedynie rozczarowań; prawdziwego mężczyzny — lojalnego, wykształconego, przygotowanego do miłości — jeszcze nie spotkałam.* Psycholodzy twierdzą, że to nie tylko panowie są tacy marni, ale przede wszystkim potrzeby uczuciowe i kryteria oceny amanta bardzo się dziś zmieniły właśnie wśród kobiet, które osiągnęły samodzielność i wiek dojrzały

Wietrzcie się!

Nie bójcie się przeciągów, w... się! Taki wniosek można wysnuć z badań opublikowanych w amerykańskim piśmie medycznym „The Journal of the American Medical Association". Dotyczyły one flory bakteryjnej w... urzędach i biurowcach. Okazało się, że wiele budynków stanowi prawdziwe siedlisko drobnoustrojów wywołujących różne schorzenia. Stwierdzono np., że podczas epidemii grypy właśnie biurowe pomieszczenia bywają ulubionym siedliskiem wirusów. Wietrzenie zmniejsza koncetrację zarazków!

Otworzyć znów?

Włochy mają temat do dyskusji — czy ponownie zalegalizować domy publiczne. Zakazano ich ustawą z 1958 roku. Obecnie 48 proc. badanych Włochów jest zdania, że trzeba z powrotem zalegalizować domy publiczne, obecne w kulturowej tradycji tego kraju jeszcze od starożytności. 25 proc. ankietowanych było w tej sprawie niezdecydowanych. Inna ankieta wykazała poparcie aż 53 proc. pytanych dla legalizacji burdeli. Powód: obawa przed AIDS (legalne domy publiczne umożliwiałyby sanitarną kontrolę nad prostytutkami) i przekonanie, że lata zakazu nie zlikwidowały prostytucji. Przeciwnie — liczba prostytutek wzrosła w ciągu trzydziestu lat z 40 tysięcy do pół miliona.

Przypomnienie

W Polsce na czasie będzie przypomnienie, że w Niemczech, w 1923 roku, w październiku, inflacja wzrosła 30000 (trzydzieści tysięcy!) procent. Banknoty drukowano wówczas na gazetowych maszynach rotacyjnych. Dzienna produkcja pieniędzy osiągała wielkość dwóch trzecich pieniądza w obiegu. Trzydzieści papierni pracowało przez całą dobę na potrzeby Reichsbanku. Banknoty drukowano aż w 133 drukarniach.

ROZMAITOŚCI

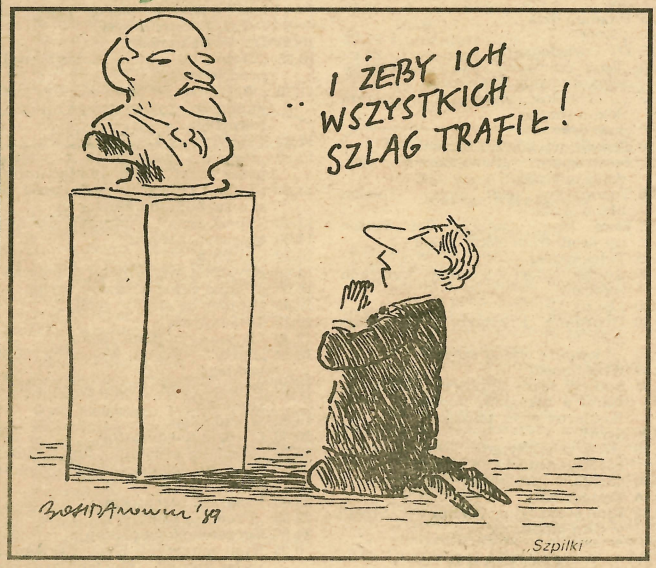

Szpilki

CZEGO NIE WOLNO W USA?

Amerykański system prawny jest dla nas dość dziwny. Ogromną rolę odgrywają w nim precedensy i oparte na nich prawo lokalne; zwłaszcza w tym ostatnim znaleźć można zapisy wręcz kuriozalne. Oczywiście, reguły te od dawna nie są stosowane i często mieszkańcy danego miasta sami w ogóle nie wiedzą, czego im „nie wolno". Ale w teorii owe przepisy obowiązują: nikt ich oficjalnie nie uchylił.

Niedawno jedno z amerykańskich wydawnictw opublikowało ku ogólnej uciesze wykaz tych prawniczych osobliwości. Oto niektóre.

W mieście Wilbur (stan Waszyngton) prawo zakazuje jazdy wierzchem na brzydkim koniu.

W Nowym Jorku przestępstwem jest umieszczenie na wystawach sklepowych manekinów bez odzieży.

W Chicago nie wolno obejmować w miejscu publicznym kobiety bez jej zezwolenia.

W mieście Stark, w stanie Kansas, zabronione jest krakanie jak wrona.

W Kentucky nie wolno rzucać jajkami w mówców.

W Bostonie może być pociągnięty do odpowiedzialności ktoś, kto śpi w wierzchniej odzieży — a także osobnik, pojawiający się na uroczystościach pogrzebowych w rękawiczkach.

W Michigan młodzieniec mający ukończone lat 14, któremu rodzice zakazują noszenia długich włosów, może ich pozwać do sądu.

W Seattle prawo zakazuje noszenia broni, jeśli jej długość przekracza 6 stóp (ok. 180 cm).

W stanie Północna Karolina zakazane jest wykorzystywanie słoni do prac rolniczych.

W miasteczku Winchester nie wolno chodzić po linie w kościele.

W Kansas prawo zabrania jedzenia w niedzielę mięsa grzechotników.

Dawne prawa, których wykorzystanie byłoby przestępstwem w świetle dzisiejszego rozumienia zasad współżycia ludzi — są, oczywiście, na wszelki wypadek uchylane. Na przykład w roku 1871 — ale dopiero wówczas! — anulowano w stanie Alabama przepis, zezwalający mężowi udusić żonę, jeśli w jakikolwiek sposób wywołała jego niezadowolenie.

(KAR)

HOROSKOP

BARAN: będziesz szukał swojego miejsca, to może być bardzo ważny okres w twoim życiu — miej zaufanie do kogoś, kto chce być z tobą i chce, byś osiągnął to, o czym marzysz.

BYK: teraz przyjdzie czas rozważań, analizowania tego, co już osiągnąłeś, i tego, co jeszcze przed tobą — możesz być pewien sukcesów, nie bądź tylko despotyczny w stosunkach z ludźmi.

BLIŹNIĘTA: nowe znajomości, nowe doświadczenia, nowe perspektywy — niech ci nie zaszumi w głowie, bądź rozsądny, zachowaj zimną krew.

RAK: będzie o wiele lepiej niż przypuszczałeś, to wszystko dlatego, że masz wiele szczęścia w życiu — uśmiechnij się, bądź optymistą, wszystko będzie dobrze.

LEW: niepewność może wytrącić cię z równowagi, ale spróbuj zachować zimną krew — mimo wszystko możesz być pewny, że twoje racje zwyciężą, choć możesz mieć trochę kłopotów.

PANNA: powinieneś powrócić do wcześniejszych planów, teraz mogą być dla ciebie najlepsze — zakończ sprawy, które już nie powinny się za tobą wlec.

WAGA: teraz nie zabraknie ci szczęścia, możesz iść spokojnie do przodu — nie obawiaj się niczego, patrz tylko na interesy najbliższych.

SKORPION: wiele niepokojów, które wywołasz własną niecierpliwością i nie przemyślanymi krokami — jeśli poskromisz emocje może jeszcze coś niecoś uratujesz.

STRZELEC: nie możesz zapominać o tym, co powinieneś wykonać, co jeszcze przed tobą — nie wykręcaj się, raczej szybko zrób to, co nie zawsze wywołuje twoje pozytywne emocje.

KOZIOROŻEC: teraz postępuj ostrożnie, dyplomatycznie, obserwuj na jakie możesz liczyć zyski — bądź pewny, że teraz właśnie jest koniunktura na twoje akcje.

WODNIK: zakończą się twoje troski i zmartwienia, nie spiesz się więc z nowymi planami — najpierw wybadaj sytuację i spokojnie zaplanuj następne posunięcia.

RYBY: zapomniałeś już o tym, co kiedyś było dla ciebie ważne, teraz szukasz czegoś nowego, ale nie zakończy się to szybkim sukcesem — jeśli zdecydujesz się na radykalne posunięcia, może coś z tego będzie.

KAWAŁY Z BRODĄ

Sołtys z Ptaszkowej zbudował sobie okrągły dom. Dlaczego? Bo nie chce, żeby mu się córki po kątach demoralizowały. Boi się też, żeby mu kto zza węgła nie przylał.

★

Sołtys postawił sobie także latarnie wokół domu, żeby córki miały bliżej do pracy.

★

Dlaczego w Ptaszkowej ogrodzono strumyk? Żeby wieloryby trawy nie wygryzły.

★

W Ptaszkowej mają rzecznika prasowego: sołtys moczy nogi w rzece i czyta prasę.

★

Mają też zawsze świeże wiadomości, bo gazety trzymają w lodówce.

★

Dlaczego ptaszkowianie mają ostry obraz w telwizji? Bo kładą na aparacie żyletki.

★

Dlaczego w Ptaszkowej szyny rdzewieją? Bo dzieci, którym lekarz przepisał żelazo, chodzą je lizać.

★

Ptaszkowianki bardzo cieszą się z elektryfikacji, bo... jest gdzie pranie wieszać.

★

Dlaczego młode ptaszkowianki chodzą w czarnych majtkach? Żeby się im błona nie naświetliła.

★

Ptaszkowa ma senatora: Wojtek do Franka mówi: — **Usiądźmy se na torze.**

★

Dlaczego w Ptaszkowej rozkopali plac przed Domem Ludowym? Bo sołtys z aktywem szukali organizacji podziemnej.

★

W Ptaszkowej jedną salę w szkole pomalowano na czarno. Otwierają wieczorówkę.

★

W Ptaszkowej wystrzelono konia w kosmos, żeby Wielki Wóz ściągnął na ziemię.

★

Sołtys z aktywem zrobili podkop pod kościołem. Chcieli sprawdzić, jak głęboko sięgają korzenie wiary.

★

Ptaszkowianie wykupili wszystkie grzebienie, bo zginęła żona sołtysa i trzeba było las przeczesać.

★

Sołtys wygrał dwa polonezy, ale... na organach.

★

W Ptaszkowej odwołano wyścig kolarski. Powód? Kury asfalt rozgrzebały.

★

Najdłuższy most jest w Ptaszkowej, bo wybudowali go wzdłuż strumyka.

★

Ptaszkowianie wycięli drzewa wokół wsi, żeby nauka nie poszła w las.

★

W Ptaszkowej otwierają sklep Pewexu, bo sołtys znalazł pół dolara.

★

Dlaczego ptaszkowianie podczas kazania klęczą? Bo ksiądz ma niski głos.

★

Dlaczego nad Ptaszkową była duża mgła? Bo sołtysce mleko wykipiało.

Zebrał TADEUSZ ŚWIDRAK